



michał markowski

---

ocean  
niepokojny



**Michał Markowski**

Ocean niespokojny

1.

Wiedziałem, że po mnie przyjdą. Stałem przy oknie. Widok przedstawiał tył naszego domu, skrawek uliczki i schody przeciwpożarowe. Dzwonek u drzwi był natarczywy. Myśli moje krążyły wokół metalowych schodków... Ucieczka? Nie miało to już żadnego sensu.

Wiedziałem, kto po mnie przyszedł. To prawda, byłem złodziejem. W małym domku dawanej Kopenhagi mieszka z żoną i dwuletnią córką Robert Bar - złodziej. Z pochodzenia Jugosłowianin, ożeniony z Polką, oskarżony o zrabowanie ze sklepu siedmiu puszek kolorowych śniadań. Przed trzystu laty, na niektórych jeszcze częściach kontynentu, za kradzież karano odcięciem ręki. Ówczesnym wydawało się to okrutne. Dzisiaj na całej planecie, zwanej Ziemią, czekała za to śmierć. Dzwonek, dzwonek.

Wolno podszedłem do drzwi. Otworzyłem.

-Pan Bar? - zapytał, a raczej stwierdził niski rangą policjant.

Skinałem głową. Wszedł. Twarz miał tępą, szczękę mocno zarysowaną, zdradzającą okrucieństwo i silną wolę. Rozsiadł się w fotelu, obejrzał mieszkanie, wsadził w zęby pastylkę nikotynową. Usiadłem naprzeciwko.

-Nie ma co siadać. Zabieraj się, pożegnałeś się z żoną?

Mówił mi „ty”, zdjął czapkę i przyglądał odstającą szczecinę, którą Bóg nazywał włosami. Obserwowałem go z dziwną wściekłością. Ostatni raz oglądałem Ziemię. To, co na niej widziałem, to, co siedziało naprzeciw mnie, nie napawało optymizmem.

Wstał, wyprostował się.

-Idziemy.

-Zaraz - odparłem spokojnie - wezmę rzeczy.

Patrzył na mnie sceptycznie, gdy zapinałem małą, skórzaną torbę. Pokręcił głową.

-Zostaw to lepiej w domu. Przyda się facetowi, który zamieszka z nią.

Nie musiał mi tego mówić. Podszedłem do niego. Staralem się zachować spokój.

-Jestem prawnikiem - powiedziałem patrząc w jego głupie, urzędnicze oczy. - Od chwili popełnienia tej zbrodni, w myśl ustawy 2, artykułu 20, chroni mnie do wykonana wyroku azyl polityczny. Proszę zastanowić się, w tej sytuacji każdemu bydlakowi, nawet z dystynkcjami na czapie, mogę dać w mordę.

-I co? - zapytał.

Dałem mu w mordę.

Jechaliśmy kolejką nad miastem. W wagonie: ja, mój przyjaciel z sińcem na twarzy i dwóch przyjaciół mojego przyjaciela, jako eskorta. Patrzyłem na gasnące światła miasta i myślałem o mojej żonie. Wyszła z córeczką na krótko przed ich przybyciem. Nie płakała. Obiecała mi wierność, a ja udawałem spokój.

Dobrze już było po północy, gdy zobaczyliśmy płytę lotniska. Księżyc świecił nad głodną i Ziemią.

Weszliśmy do , pawilonu, oznaczonego literką A. Czekalo na mnie czterech, uzbrojonych w pomyslowe miotacze ognia, żołnierzy. Na ławce, pod zasłoniętym metalową żaluzją oknem, siedział jakiś starzec. Żołnierz wskazał mi ręką miejsce obok niego. Sam oddalił się w kąt pawilonu. Zaś mój przyjaciel z sińcem i jego kumple zmyli się, przesyłając mi trzy urocze spojrzenia. W pawilonie zostali czterej półszepcem rozmawiający żołnierze i my - skazańcy.

-Zarezerwowali dwa miejsca - mruknął starzec i umilkł.

Przyjrzałem mu się. Musiał mieć koło pięć-; dziesięciu lat, był jednak zniszczony, jak stary, używany codziennie kapelusz. Ręce Ułożył na kolanach i patrzył nieruchomo na przeciwległą ścianę. Ciemne żaluzje nie pozwalały zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz.

Czułem się samotny jak nigdy. Nachyliłem się do starca, by z nim, współtowarzyszem niedoli, zamienić kilka ostatnich słów. Nie zdążyłem powiedzieć pierwszego zdania, bo do pawilonu ktoś wszedł i starzec opuścił miejsce pod oknem, prowadzony w niewiadomym kierunku przez dwóch podenerwowanych żołnierzy. Zdołałem zrozumieć, że stało się coś ważnego i nieprzewidzianego. Żołnierze wyglądali jak psy, którym nałożono obroże.

Wstałem. Nagle z lewej strony pawilonu oświetliło mnie coś. Odwróciłem głowę. To były drzwi, przedtem przeze mnie nie zauważone, teraz otwarte, wpuszczające do wnętrza, w którym się znajdowałem, trójkątne ostrze żółtego światła. Bez wyjaśnień pilnujących wiedziałem, że muszę tam iść.

Gdy wszedłem, drzwi oddzielające salę od pawilonu zamknęły się bezszelestnie. Nie było tam nic prócz metalowego stołu i metalowego krzesła. W ścianach, pokrytych grubą skórą, nie znalazłem ani jednego okna.

-Niech pan usiądzie - usłyszałem głos z głośników, umieszczonych pośrodku sufitu. Głos był niski, metaliczny. Siadłem na krześle. Nie rozumiałem nic.

-Darowano panu karę.

Nie słyszałem o czymś podobnym - odparłem głośnikowi. - Czy ten starzec również tego uniknął?

-Raczej nie - brzmiał głos. - Darowane panu karę, a pan, głupi człowieku, może oczywiście pomyśleć, że

tylko ją zamieniono. Może tak jest istotnie. Nie wyleci pan dziś w kapsule na orbitę. Wyruszy pan za tydzień na naszym promie kosmicznym. Daję panu kilkadziesiąt lat życia zamiast siedmiu godzin czekania na śmierć.

Uśmiechnąłem się, przypominając sobie żołnierzy. Przygotowywali śmierć w dwuosobowej, tradycyjnej 'kapsule i pomieszczeni zabawę komuś bardzo ważnemu. Ten ktoś wyznaczył tylko mnie dla swoich celów. Staruszek, jako niepotrzebny, musiał już nie istnieć. Zabili go prawdopodobnie na zewnątrz pawilonu w inny sposób. Nie posądzałem ich o zmarnowanie kapsuły dla jednego człowieka.

-Podróż będzie trwała kilkadziesiąt lat? - zapytałem.

-Tak.

-Jako oskarżony mam prawo wyboru rodzaju śmierci. Wybieram kapsułę. To koniec szybki i bezbolesny. Nie mam najmniejszego zamiaru spędzać życia w zamkniętym pudełku na Drodze Mlecznej. Rozumiesz ty tam, w głośniku? Pakujecie mnie i tego staruszka do kapsuły i w drogę. Jestem złodziejem, trzeba mnie ukarać; starego też, na pewno był pijakiem.

Odczułem coś w rodzaju satysfakcji. Mogłem się kłócić, gadać, wymyślać do woli. Dałem upust tym bardzo ludzkim instynktom. Gdy skończyłem, spocony i czerwony na twarzy, głośnik milczał.

-Hej tam! - zawołałem, poprawiając się nerwowo na krześle. - Jest tam kto?

Cisza. Nie potrafiłbym powiedzieć, ile czasu siedziałem w tej przeklętej sali. Dość, że po chwili miałem ochotę rozbić - stołem drzwi do pawilonu. Potem, uspokojony, zrezygnowany, myślałem o żonie i dziecku... I już nie pamiętałem niczego, straciłem

przytomność, prawdopodobnie za sprawą jakiegoś gazu, dostającego się do środka otworem wentylacyjnym.

Gdy otworzyłem oczy, leżałem na łóżku. Rylem nagi. Ręce moje nosiły ślady ukłuć.. Uniosłem głowę najwyżej, jak mogłem. Przeszkadzały skórzane pasy, przytrzymujące moje ciało w czterech miejscach. Na wprost - drzwi z małym, szklanym okienkiem, na prawo - ścian?, na lewo... Po mojej lewej stronie leżała kobieta. Chyba spała. Była naga, tak jak ja. Usiłowałem przykryć pewne części ciała na wypadek, gdyby się obudziła, lecz wełniany koc, leżący na krawędzi łóżka, znajdował się poza zasięgiem moich dłoni. Odwróciła głowę w moją stronę tak szybko, że chyba zaczerwieniłem się. Głupio jest mówić o palących policzkach w takiej chwili, ale tak właśnie było. Była zbyt ładną na takie spotkanie, przy tym w oczach jej czaił się śmiały; kobiecy ogień,

-Dziwne pomieszczenie - zacząłem rozmowę, oglądając uważnie sufit.

Poskutkowało. I ona skierowała tam wzrok. Wtedy ja zezem bezkarnie oglądałem, Miała

czarne, krótkie włosy, twarz niezwykłą, myślącą, mocne piersi, nogi długie, strzeliste. Poczuliśmy podniecenie. Zauważyła to, odwracając do mnie głowę. Było mi dobrze, ciepło - leżałem wygodnie na miękkim łóżku, mając u boku śliczną dziewczynę.

-Ile dni pan tu jest?

Głos miała niski.

-Wczoraj tu przybyłem. Chyba wczoraj, nie jestem w stanie policzyć godzin mojego snu.

-Leżał pan osiem godzin, podobnie jak ja. Tyle czasu im wystarcza.

Znała metody niewidzialnych strażników - musiała tu przebywać długo.

-Jak się pan tu znalazł?

-Przypadkowo. Od godziny powinienem już nie żyć. Jestem złodziejem. Jednakże kara w kapsule ominęła mnie.

-Dlaczego pan kradł?

-Miałem żonę i dziecko.

-Rozumiem.

Powiedziała to jakby od niechcienia. Zirytowała mnie. Mimo piękności ciała była zimna. Cały czas myślała o czymś intensywnie. Rozmyślania o niej przerwał cichy dźwięk wysuwających się z drzwi szczypiec. Szczypcy rozluźniły i rozpięły pasy, którymi mnie przymocowano. Były tak dokładnie sterowane, im nie dotknęły mojego ciała ani razu. Powtórzyły czynność z pasami na łóżku dziewczyny. Schowały się.

Siedliśmy na łózkach. Wcale nie spieszyliśmy się z nałożeniem koców, nagość dziwnie . przestała nas krępować. Dziewczyna pierwsza okryła się i podeszła do drzwi. Przybliżyła głowę do okienka za szybą i pięściami uderzyła w nie. Jeszcze raz, mocniej. I znowu. Wsłuchiwała się w ciszę. Spojrzała na mnie. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że oczy jej były pełne łez. Odeszła w najdalszy koniec pomieszczenia. Nie miałem zamiaru iść za nią ani jej pocieszać. Sama po jakimś czasie da mnie przysłała. Na początku krążyła przy ścianach, obchodząc pomieszczenie kilka razy. Potem przysiadła na moim łóżku i wreszcie położyła głowę na moim ramieniu. Objąłem ją mocno. Czekaliśmy na przyjscie naszych prześladowców...

Po upływie kilku minut głośnik, umieszczony przy łóżku, odezwał się.

-Za kilka minut przyjdziemy po was!

Podbiegła. Chwyła metalową sprzączką od pasa i z całej siły uderzyła w głośnik. Rozsypał się. Uderzenie było silne,



-Jak się pani nazywa?

Dotknęła czoła palcami, nerwowo poprawiła włosy i została na klęczkach przy rozbitym głośniku.

-Chociaż imię.

-Harriet.

-Dlaczego pani to zrobiła?

Obrzuciła mnie wyzywającym spojrzeniem.

-A pan by tak nie zrobił? - spojrzała na głośnik. - Znam go, znam dobrze tego, który to powiedział.

Wstała. Siadła przy mnie,

-Zabiję go...

-Niech się pani uspokoi. W moim głupim życiu byłem w głupszych sytuacjach.

Mówiła, nie zwracając na mnie uwagi:

-Kilka dni temu zabrano mnie z domu. Ktoś doniósł, że byłam pijana. Ale nie wpakowali mnie do kapsuły. Powiedzieli, że gdzieś polecę... Mój ojciec, gdy tylko dowiedział się, że mnie zabrali, przyszedł tu. Nic nie zrobił, ale chciał polecieć z córką w tę ostatnią podróż. Widziałam go, rozmawiał ze mną. Potem powiedzieli mi, że mój ojciec za dużo wie i sam poleci w kapsule. Błagałam, by mi dali zobaczyć go jeszcze raz. Widziałam, jak siedział w pawilonie... stary... mój...

Opuściła głowę. Przypomniałem sobie jej ojca. Objałem ją jeszcze raz.

-Żyje. Kapsuła nie wystartowała. Na pewno żyje, niech pani się uspokoi.

Potrząsnęła głową.

-Nie. Ja wiem, że nie.

Wstałem. Jej opowieść przypomniła mi zostawiony nie tak dawno dom. Pewnie patrzą z okien w niebo, zastanawiając się, gdzie przemieszały się tysiące moich okruchów z gwiazdnym pyłem. I nie

wiedzą, że żyję i będę długo żył. Harriet już nie płakała.

-Kim oni są? - zapytałem.

Chciała odpowiedzieć, przesunęła wzrokiem po ścianach.

-No to co, że mają podsłuch? Mów i nie bój się. Niech słyszą. Kim są te skurwysyny? Spojrzała na mnie, jakbym zwariował.

-Jest ich trzech.

-Trzech. Którego pani widywała najczęściej? Rozmawiał z panią? No, mów! Jak wyglądał?

Nie odpowiedziała. Wtuliła głowę między kolana. Zbliżyłem się.

-Słuchaj, maleńka. Jasne jest, że czegoś od nas chcą. Ty nic nie tracisz, spodobałaś się im. Jesteś silna i zdrowa. Chcą ciebie. Jesteś im potrzebna, pamiętaj o tym,

-A ty?

-Nie wiem. Chyba też im się spodobałem. Mało prawdopodobne, by znaleźli ochotników na tę wyprawę. Pozostają więc tylko skazańcy, a tych mało. Raz na dwa lata znajdzie się postrzelona dziewczyna, która pije alkohol, i jeszcze większy idiota-amator, dający się złapać na kradzieży. Społeczeństwo się boi, Znaleźli wreszcie wymarzoną parę...

-Oni są zdolni, do wszystkiego.

-Ale z ulicy nie porwą ludzi. Przekonasz się, jak im na nas zależy. Mój kardiogram powinien dostać odznaczenie. Nie bój się.

Nie, ona się nie bała. Wręcz przeciwnie. Dyszała zemstą. Wystarczyło spojrzeć w jej oczy. Zapytałem:

-Co ci robiono?

-Wszystko. We śnie i na jawie. Zastrzyki, elektrosondy, sprawdzano krew, zęby, wzrok. Nawet, czy jestem zdolna... urodzić...

Wyobraziłem sobie, jak stoi nago przed komisją lekarzy. Jak siada, rozchylają jej kolana... Widocznie poznała, że o tym myślę. Opuściła oczy. Wiedziałem, że czeka mnie to samo. Poczułem gniew, szaloną chęć demolowania i mordy. Wreszcie przyszło uspokojenie, niepewność.

Harriet przysiadła na łóżku.

-Jak masz na imię?

-Robert.

-Czemu ich nie ma? Czemu nie przychodzą?

Podeszła do drzwi. Oparła się plecami i patrzyła na mnie.

Położyłem się w poprzek łóżka. Dziewczyna nie spuszczała ze mnie wzroku. Milczeliśmy.

-Ile masz lat? - zapytała.

-Dwadzieścia osiem, a ty?

Krzyknęła. Za szybą zamajaczyła twarz. Krzyknęła jeszcze raz i przybiegła do mnie. Chwyciła mnie za rękę. Ostra biel, którą pomalowane były drzwi naszego więzienia, uczyniła tę twarz ciemną i straszną. Drzwi wsunęły się w ścianę. Przed nami stał wysoki mężczyzna w białym, sterylnym kitlu. Przypominał plastikowy manekin. Ruchy automatu, Nie odezwał się słowem. Długim, lejkowatym korytarzem poprowadził nas do małej, całkowicie oszklonej klatki z dwoma, me większymi ponad metr kwadratowy oknami. Czuliśmy się jak zwierzęta.

Starszy, długowłose lekarz, który nas tam odwiedził, rozkazał zdjąć koce i wejść na salę nago. Harriet widocznie poznała go, bo zbliżyła się do szyby dzielącej ją od lekarza i popatrzyła mu w oczy.

-Zabiję cię - powiedziała spokojnie. - Ty zrobiłeś to z moim ojcem...

Patrzył na nią wzrokiem płaza. Uśmiechnął się. Gdy to robił, twarz nabierała cech sympatycznych.

- Proszę zdjąć koc. Ma pani piękne ciało.

Spoważniał. Gdy to robił, twarz nabierała cech odrażających.

- Pan wybaczy - wymieszalem się. - Wolałbym być przedstawiony jeszcze w okryciu. Pozwoli nam to łatwiej znieść brzemię pańskiego nazwiska, doktorze.

Spojrzał na mnie. Półotwarte usta i jakby zamknięte powieki przypominały oblicze człowieka duszącego się.

- Nie jestem doktorem - grymas. - Nazywam się Tesari. A to moi współpracownicy, małżeństwo o nazwisku nic panu nie mówiącym.

Wskazał wyrosłą przy nim smutną parę niskich okularników. Były to dwa zasuszone ludziki, haniebnego wzrostu, o chciwych oczach. Gdy rozebraliśmy się z Harriet, myślałem, że oczy wyjdą im z orbit. Małżeństwo stało, patrzyło na nas i wysysało wargi. Tesari odszedł. Rzuciłem się za nim, uderzyłem dłonią w szybę i krzychałem,

- Twoje nazwisko też nic mi nie mówi! Tesari, ile masz lat? Ile ci płacą za tę zabawę? Lubisz się bawić, co? Zabawny z ciebie doktorek, Tesari!

Małżeństwo odeszło. Do klatki wdarło się kilku pielęgniarzy i siłą wypchnęło nas przez otwór, Harriet podała mi rękę. To, co zobaczyliśmy, przeszło moje wyobrażenia. Aula wyłożona drewnem, długości kilkudziesięciu metrów, o połowę mniej szeroka, wypełniona ludźmi do ostatniego miejsca,.. Gdy weszliśmy ustały śmiechy i rozmowy. Miejsce jako żywo nasuwało skojarzenia z dwudziestowieczną wykładową salą uniwersytetu.

Ustawiono nas na podwyższeniu wysokości metra. Kopuła sali przypominała planetarium. Harriet opuściła oczy. Czując jej ciało przy mnie, nabrałem odwagi, ciepło jej ramion chroniło mnie przed

spojrzeniami. Przypatrywałem się widzom bezczelnie. Zewsząd dochodziły mnie pokasływania, niemal czułem na ciele setki oddechów, choć przestrzeń nas dzieląca wynosiła dobre dziesięć metrów.

Nagle światła u kopuły przygasły, zostawiając w ciemności jeden, skierowany na nas, wystający spoza najwyższych rzędów, reflektor. Nie widziałem już oczu patrzących. Poruszałem się niespokojnie. Podniosłem rękę wysoko.

-Protestuję. Ja i moja towarzyszka protestujemy.

Martwa cisza. Nie zastanawiałem się nad tym, co mówię. Wściekłość zawsze bierze górę nad rozsądkiem.

-Rozwaliłbym was, gdybym mógł! Oto macie mnie. Mamy XXI wiek, nie zgadzam się, na prawą rządzące tym stuleciem. Mam dość waszych światowych wojen, dyktatury wojskowej w tym kraju. Kodeks karny rozśmiesza mnie i napawa odrazą. Nie pogodzę się z Ziemią i wami. Protestuję przeciwko karze śmierci za kradzież, pijaństwo i posiadanie broni. Nie ponoszę winy za głód, jaki na Ziemi panuje, odpowiedzialność moja nie dotyczy tego. Protestuję przeciwko próbom, jakie na nas przeprowadza...

Słuchali mnie. Nabierałem rozpędu. Pierwszy raz w życiu dano mi stanąć przed tak ogromnym trybunałem. Wykorzystywałem to,

-Czasem wydaje mi się, że to koszmarne sen, światowa moda; ta sama moda, która w XVII stuleciu wręcz nakazywała mężczyznom zdradzać swoje żony, mijający przywilej - taki sam, który w dwudziestym wieku zezwalał na indywidualne pieczenie chleba, nieodpowiedzialne prawa - ot, chociażby rządzące w XXI wieku Indiani. Dziś śmiejemy się. Tak samo będzie za sto lat. Ale w oczach potomnych nie będzie śmiechu. O waszych próbach redukcji instynktu

samozachowawczego będzie się mówić jak o inkwizycji, największej bzdurze z wszystkich bzdur w dziejach Ziemi. Cofamy się, o wy, zdobywcy Kosmosu! Już przypominamy muszlowy wapień -

Harriet mocniej ścisnęła moją dłoń. Opuściłem wyciągniętą w górę rękę, lecz nie uspokoilem się.

-I czym zadziwimy świat? Odkryciem nowego gwiazdozbioru między Strzałą a Koroną Północną? Czy może rodzajem śmierci, bo prostą szubienicę zastąpiła kapsuła? Czy może dawnym Kodeksem Wykroczeń, który zamienił się w Kodeks Karny? Czym?! Myślę, że są jeszcze wśród was ludzie z odrobiną serca. Jeśli tak, skażcie mnie na śmierć. Bo tak musi być. Ale pomyślcie o tym, co powiedziałem, a przestaniecie liczyć na mój udział w waszym przedsięwzięciu, wędrownicy wszechświata!

Zaczynałem wymachiwać rękami jak opętany. Rozpierała mnie duma.

-O waszych planach powiedzą kiedyś - obłęd, o prawach- zezwierżenie! Ja protestuje!

Umilkłem. Staliśmy z Harriet bardzo długo pośrodku milczącej, wyciemnionej sali.

Wreszcie reflektor zgasł, zapaliła się kopała sali. Może trochę żałowałem niektórych słów, ale byłem z siebie dumny. Nagle zrozumiałem trwające i teraz jeszcze milczenie. Słuchawki! Dopiero teraz zauważyłem cienkie nitki, przeprowadzone z uszu słuchaczy do pulpitów małych stolików. Nie słuchano ranie. Oglądano nas tylko. Komentarz nadawany był w trakcie wystawy ze studia umieszczonego gdzieś w pawilonach. Ona również to zobaczyła. Spojrzeliśmy na siebie. Czułem znowu bezsilność, powracający już od kilkunastu godzin, w miarowych odstępach, bezwład i zubożenie.

Wieczorem odbyła się następna seria badań. Ogolono nam głowy, nie pozostawiono na naszych ciałach ani jednego włosa. Na szczęście czynności te wykonano bez udziału obcych. W kabinach, podobnych do kabin łaźni parowej, przeobraziliśmy się w łyse noworodki, Następnie przeszliśmy do trzech pokojów zabiegowych.

To właśnie w pierwszym pokoju poznałem Rata. Harriet już go знаła. Był to wysoki, wyższy od Tesarięgo lekarz, małomówny, dość przystojny i sympatyczny. Posadził nas na obrotowych fotelach. Moja przyjaciółka, otulona w biały szlafrok, wzdrygnęła się.

-Zastrzyki? - zapytała z miną małego dziecka - boję się ich.

-Dla pani przygotowałem tabletki - podał jej.

-Co to jest? - zapytałem.

-Badanie odporności organizmu na choroby. Sprawdzamy,

Wzięła tabletki.

-Na zdrowie - połknęła. - Co zażyłam?

-To już ostatnia próba - odpowiedział Raf, podając jej w małej fiolce neutralizatory.

-Jaką chorobę miałam w sobie? - spytała przechylając fiolkę.

-Odmianę dżumy - powiedział cicho Raf i przypatrywał się Harriet z uwagą.

Odetchnął z ulgą. Chyba podkochał się w niej. Podszedł z kolei do mnie. Nie liczyłem na

tabletki. Zaraził mnie igłą i wyleczył igłą. Wspaniały lekarz!

Podziękował nam. Wychodziliśmy z pokoju.

-Bałem się o panią - powiedział do Harriet.

Słowo daję - żałowałem, że nie jestem kobietą. Współczucia było mi rzeczywiście cokolwiek brak w życiu,

-Więc to dzuma? - zapytała swoim zwyczajem bez emocjonalnego zaangażowania.

-Właściwie coś gorszego. Tak ją tylko nazwaliśmy. Dzuma i jad skorpiona jest przy niej zaziębieniem,.

-Co zawiera neutralizator?

-Laudanum, związki kobalaminy, ferm - wyliczał, patrząc jej w oczy.

Harriet zapamiętała, gdzie trzymał tabletki. Niska, metalowa skrzynia, automatycznie otwierana za naciśnięciem pokrywy śniła się jej dzisiejszej nocy. Raf jej się nie przyśnił.

Po badaniach w trzech pokojach, które przebiegły miło w porównaniu z poprzednimi badaniami Harriet, udaliśmy się do pomieszczenia z łózkami. Szczypce zapięły pasy. Światło na lejkowatym korytarzu zgasło. Leżeliśmy w ciemnościach. Pierwsza odezwała się ona.

-Naprawili głośnik. Widziałeś?

-Widziałem, Harriet.

-Przyznam, że przeżyłam szok, widząc ciebie ogolonego. Ty też przeżyłeś szok?

-Nadal jesteś piękną kobietą.

Pierwszy raz zaśmiała się zadowolona. I ja uśmiechnąłem się.

-Wiesz o czym myślę? - zapytała.

-Wiem, teraz mi nie mów. Spij.

Po północy obudził nas głos z głośnika, Tesari wzywał do siebie. Światło zapaliło się Szczypce uwolniły nas. Ubraliśmy się w postawione nam szlafroki.

Tesari mieszkał na drugiej kondygnacji pawilonów. Z okien jego salonu mogłem wreszcie dojrzeć całą fabrykę nieba". Cztery jednopiętrowe pawilony, hangary, metalowy wieżowiec i kilkanaście mieszkalnych „grzybów" otaczało półkolem rozległy, upstrzony kolorowymi sygnalizacyjnymi światłami



startowy pas. Nad zabudowaniami unosiły się dwie wieże - latarnie morskie niebieskiego oceanu nad naszymi głowami. Mieszkańcy kraju nie oglądali tego nigdy, Zasłaniały i broniły triumfalnie wzniesione bramy z granitu, kształtując teren „fabryki” w prostokąt o przekątnej trzydziestu kilometrów.

Salon Tesariego był równie okazały jak jego „fabryka”. Raf opowiadał Harriet o właścicielu. Wzbudzał strach i podziw. Podobno był mądrym i okrutnym człowiekiem.

Weszliśmy. Ja pierwszy, moja towarzyszka za mną. Rzęsiście oświetlone wnętrze. Na ścianie ekran, cinerama. Podłoga z plastiku, a na niej kilka rzuconych materacy. On sam siedział przy oknie, stanowiącym szklane wyjście na taras. Odwrócił się, gdy usłyszał nasze kroki. Byliśmy bosi; śmieszne plaskania naszych stóp o plastik napełniły salon.

-Dość późna pora na odwiedziny. Przepraszam - powiedział i uśmiechnął się. Poprosił dłonią, byśmy usiedli na materacach.

Wjechał niski stół, na nim szklanki z jakimś sokiem. Teraz zauważyłem dziwnie urządzenie przy oknie. Składało się z dwóch tub z przezroczystego plastiku. Na ich górze zawieszane były miniaturowe wagoniki. Przy tubach stały pudła z jakiegoś tworzywa, a w nich żółwie. Młode i starsze, ogromne i małe. Podobno poddawał je swoim badaniom. Bardzo często wpuszczał do tub zwykły iperyt lub na długie okresy zamykał zwierzęta w próżni. Zasypywał mieszankami gazów i cieczy żrących. Na szczęście dziś nie przygotowywał doświadczeń.

-Przeprowadza pan analogie? - zapytał, widząc moje zainteresowanie zwierzętami.

-Kilka sztuk chętnie dziś zdechło? - zapytałem spokojnie.

-Ale inne żyją - odpowiedział. - Te wybrane przeze mnie.

Przyglądał się Harriet, ona jemu złowrogo. Mogła w każdej chwili uderzyć szkłem w' jego twarz Była do tego zdolna. Tesari przestał się uśmiechać. Odrzucił w tył pukle siwych włosów'. Ujął w długie palce szklanke.

-Mój napój. Kwiaty z domieszką złota. Nie bójcie się, nie jest trujący.

Wypił pierwszy. Potem Harriet i ja. Napój był smaczny. Poczulem się bogatszy o kilka ziaren cennego kruszcu w brzuchu.

-Często mnie nie odwiedzają - skarżył się. - Siedzę w moim królestwie, medytuję i piję napój.

Podniósł szklanke do oczu. Nie zauważyłem, gdzie znajdował się mechanizm, dość, że w jednej sekundzie zgasło światło. Przezroczyta kurtyнка na ekranie rozsunała się i biały obłok filmu musnął nasze głowy. Tesari założył nogi po hindusku, przysunął się do Harriet i szepnął, nadając słowom ton plotki:

-Od jutra zaczną was rewidować, gdy będziecie mnie odwiedzać.

Na ekranie niebo, gwiazdozbiory, Ziemia, widziana z orbity Marsa, wykresy, czerwone imiona gwiazd: Gemma, Deneb, Algol...

Harriet siedziała urzeczona technicolorową barwą wizji. Zapomniała przez moment o otoczeniu, piła sok bezwiednie i patrzyła. Ekran zgasł. Odstawiłem szklanke.

-Piękne - powiedział półgłosem właściciel ekranu.

Przypatrywałem mu się. Miał coś z rozkapryśzonego dziecka.

-Pani mnie nie lubi - dokończył zdanie, dotyczące naszej rewizji. - I pan też.

-Uwielbiam pana - zaprotestowałem.

Wstał i chodził po salonie, omijając materace.

- Wyruszyście za trzy dni. - Na ekranie pokazała się sfotografowana makieta statku. - Oto statek. Wprowadzi na orbitę kabinę załogową, mojej konstrukcji prom. Podróż prowadzi do krańca naszego Słonecznego Układu. Do toru Plutona. I dalej...

Rozkoszował się własną wizją, brzmieniem swoich słów. Jeszcze raz przywiódł mi na myśl bawiące się zabawkami dziecko.

- Na jaką gwiazdę mamy dotrzeć? - zapytałem.

- Wy? - przystanął. - Wy nie dotrzecie nigdy. Wasz syn niewątpliwie tak. Poczęty w czasie, który wskażę.

- Ile trwać będzie nasza...

- Podróż? Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Może znacznie dłużej - wpatrzył się w ekran - dalej, jeszcze dalej...

Podniosłem się. Harriet uczyniła to samo.

- Nie mamy wyboru?

- Nie.

- A jeśli nie urodzę tam dziecka? Jeśli ono umrze, jeśli my umrzemy, nim ono nauczy się prowadzić pojazd? Jeśli nie...

- Jeśli! - krzyknął. - Urodzi pani. Pojedzie z wami kapitan, nauczyciel, opiekun. Jutro go poznacie. Nie macie wyboru! Jedynym wyjściem jest wszechświat.

- Ona może nie chcieć... nikt jej nie zmusi - rzekłem. - Wtedy plan pański runie...

Wybrał nas z tysięcy, wiedząc, że życie i dawanie życia jest u nas jeszcze silne. I my,

zdrowi, młodzi, jakby z przeszłego śwista dziejów, mieliśmy urzeczywistnić jego królewskie marzenia. Któż lepszy od dwojga ludzi, dla których najistotniejszym było wciąż przetrwanie. Miał nas. Wiedział bardzo dobrze, że dziecko urodzi się tam. Odnalazł w swoim kraju rozpacz i rezygnacji radość

istnienia? Nas. Ukradł ogień i chce rzucić gwiezdny bogom. Nas.

Harriet schowała się trochę za moimi plecami.

-Bądź odważna, Harriet - upomniał ją po ojcowsku. - Wszystko zależy od twojej odwagi.

Spojrzała mu w oczy.

-A co będzie, gdy ty umrzesz? - wskazała ręką pierś Tesariego.

-Zabezpieczyłem się - uśmiech. - To małżeństwo kontynuować będzie pracę, a właściwie już ich syn. Będziecie sterowani i prowadzeni z Ziemi. Przedwczesną waszą śmierć oznacza tylko koniec świata, ale on nie nastąpi. Ziemia po wszelkich wojnach odradza się z popiołów.

-I jest coraz czarniejsza,

-Pan, panie Robercie Bar, jest dumny i krnąbrny. Pan jest wyśmienity. Kocham pana, choć trochę się gniewam za obrazę. Słucham i widzę was, pamiętajcie. Nie mówcie o mnie źle.

Odstawił szklanę na stół Jednym skokiem dopadł mnie i przewrócił. Uderzył w twarz sandałem z ciężkiego plastiku. Harriet krzyknęła. Zdażyła mnie zasłonić przed następnym uderzeniem. Otarłem z twarzy krwi Tesari oddychał ciężko. Przymknął jeszcze bardziej powieki i wyglądał bardzo spokojnie.

Przemówił.

-Nikt nie powinien myśleć o mnie źle.

Wstawałem; Odsunąłem dziewczynę na bok. Już miałem pewność. Wiedziałem, jak mu na mnie zależy. Pomyślałem, że byłoby nie od rzeczy oddać mu przyzwocie. Ukłoniłem się nisko. Harriet patrzyła aa mnie szeroka otwartymi oczami.

-Przepraszam pana.

-Tak lepiej, Robercie. Przeraża mnie trochę zbyt zawężony wykres twojej inteligencji, ale przy odrobinie dobrej woli powinniśmy umieć ze sobą rozmawiać.

-Tak, proszę pana.

-Przestań kłamać - uciał.

I nie dokończył. Wypreżyłem się i runąłem na niego, przewracając stół. Obezwładnili mnie strażnicy. Stał teraz przede mną i patrzył na mnie z miną jastrzębia, oglądającego królika. Ręce miałem wykręcone do tyłu, wypiętą klatkę piersiową. Nie skorzystał. Odsunął się.

-Jutro - dał znać strażnikom i zaczęli mnie wlec do wyjścia.

-Harriet! - zawołałem przez ramię.

Stała w salonie jeszcze chwilę.

-Boi się pan o swoje życie?' - spytała Tesariego.

-To zbyt mocno powiedziane. Boję się tylko o utratę- obrazów waszej podróży, dobra dziewczyno.

-Chciałabym, abyś je utracił.

Uśmiechnął się. Pod skórą jednak drgały mięśnie. Nie wytrzymał.

-Wynoś się! - wrzasnął.

Wyszła i podążyła za mną do naszego małego więzienia. Tesari został w swoim plastikowym królestwie. Siedział na dawnym miejscu przy tarasie i gładził pieszczotliwie skorupę ogromnego żółwia.

Minęła doba. Od wczesnego świtu, czekaliśmy w korytarzu, na badania. Dziewczyna była niewyspana, blada i głodna, ale nie skarżyła się.

-Pomożesz mi? - zapytała, bo tu mogliśmy wreszcie rozmawiać.

Skinałem głową.

-Obojętnie, co mnie potem spotka, ale nie opuszczę Ziemi, póki on będzie żył. - Pocałowała mnie w rękę. - Muszę. Raf widział mojego ojca... grób.

Nikt nie zdołałby jej odwieść od zamiaru zgładzenia Tesariego. A ja nawet nie próbowałem. Z korytarza pielęgniarze zabrali nas na śniadanie. Zjadłem dwie porcje, ona ledwo dotknęła u pożywienia. Pielęgniarze przyglądali się nam, jak jemy. Przez cały czas starałem się schować przed nimi twarz.

Rozdzielili nas z Karnet. Raf po nią przyszedł i zabrał do swojego pokoju. Mnie zaprowadzono do celi. Z wyglądu mogła to być nowoczesna komora antygravitacyjna.

Gdy drzwi zasunęły się za mną, zacząłem oglądać to pomieszczenie. Jakbym je znał. Z przerażeniem odkryłem, że kształt ścian celi, ich przezroczystość, barwa, tworzywo, de złudzenia przypominały jedną z tub w salonie Tesariego. Nie miałem wątpliwości, gdy podłoga zaczęła się rozsuwać, a i góry zjeżdżał ku mnie wagonik. Wszędobylski głośnik zaproponował mi przejażdżkę, A więc zminiaturyzowane narzędzie tortur władcy wszechświata miało swój powiększony, przystosowany do ludzkich rozmiarów, odpowiednik... Zjeżdżałem w wagoniku na dno plastikowej tuby. Spojrzałem w górę, ścianka nade mną zamykała się. Byłem pewny, że Tesari nie zamorduje mnie, jednakże odczułem strach tak silny, że straciłem świadomość. Ale to nie był strach, zabrakło mi tlenu.

Gdy już leżałem w swoim łóżku, myślałem o biednych zółwiach. Tesari dotrzymał słowa. Ukarał mnie dziś w sposób wyrafinowany i oryginalny. Na miarę króla.

Zastanawiałem się, co porabia teraz Harriet

Nie przychodziła. Zdałem sobie sprawę, że przywiązałem się do niej. Chyba byliśmy sobie potrzebni jednakowo mocno. Czekanie stało się trudne do zniesienia, o wiele gorsze niż przebywanie w próżni. Zacząłem mieć poważne wątpliwości które z

przebytych cierpień było tą prawdziwą karą Tesariego. Fizyczne zmęczenie było niczym przy ciągle wzrastającym niepokoju o dziewczynę.

Naprawiony głośnik obwieścił mi, że obiad będę jadł w towarzystwie Harriet, w salonie Tesariego. To był jego głos. Czuło się w nim szczyptę ironii i zadowolenia z siebie. Głos z głośnika, umieszczonego wewnątrz tuby, me był mi znany. Niebawem miałem poznać jego właściciela.

Gdy ogromne drzwi od salonu otworzyły się i wpuściły mnie, Harriet już była. Siedziała przy Tesarim, Naprzeciwko nich, za stołem, siedziało zasuszone małżeństwo. Przy oknie stał ktoś i nie odwracał się w moim kierunku, jak to zrobili pozostali,

-O, pan Bar! - udał zdziwienie Tesari, - Mam nadzieję, że został pan zrewidowany?

-Tak - odparłem zgodnie z prawdą.

Wstał i poprowadził mnie do wyznaczonego miejsca za stołem. Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie. Ująłem przygotowaną szklankę złotego soku. Patrzyłem na człowieka, wciąż odwróconego do nas plecami, który, zajęty oglądaniem startowego pasa, zdawał się być całkowicie pochłonięty tą czynnością.

-Jak się pan czuje? - zapytał Tesari z ciekawością.

Małżeństwo przerwało jedzenie i popatrzyło na mnie. Uniknąłem odpowiedzi, Harriet przysunęła mój obiad.

-Nie powinien pan zapominać o moim włoskim pochodzeniu. Zemsta w naszym, nie istniejącym już niestety, kraju stanowiła sól życia.

-Bardzo słony obiad - nie wytrzymała Harriet.

-Słodocze jako deser - zakończył tę denerwującą rozmowę Włoch.

Ubrany był wymyślnie w rodzaj białego kombinezonu, obszytego ulubionymi złotymi nitkami.

Co innego mężczyzna przy oknie, cały na czarno, nawet włosy miał żałobnego koloru. Dobrze zbudowany, wysoki, ponuro milczący, stanowił jeszcze jeden miły akcent w i tak wesoło zapowiadającym się obiedzie u naszego właściciela. Małżeństwo skończyła jeść,

-Od dziś przechodzie państwo pod władzę małżeństwa - rzekł Tesari z powagą. - Mocna to władza i opieka doskonała.

Spojrzałem na małych ludzików. Harriet nie odrywała wzroku od Tesariego. Jej doskonały, ostry profil rysował się na tle mozaikowych ścian.

Nagle zapytała:

-Czemu zabił pan mojego ojca?

-Rozmawiał z panią, był niepotrzebny.

Istnieją jeszcze w tym świecie siły zagrażające mi. Wrogowie są wszędzie.

Zadała kolejne pytanie. Wiedziałem, ile kosztować musiał spokój, jaki okazywała.

-Mógł pan dać mu pracę u siebie, oszczędzić go. Czy aż tak zagrażał?

-Sprawia mu to przyjemność - odpowiedziałem dziewczynie.

-Sprawia nam przyjemność - głos padł od strony okna.

Czarno odziany mężczyzna pokazał twarz. To jego głos zaprosił mnie niedawno do wagonika.

-Harriet i Robercie - przedstawiam wam Kama. Polecą z wami.

Kam wpił we mnie badawczy wzrok. Nie spuściłem oczu. Patrzyłem z siłą w oblicze naszego przyszłego dowódcy, Miał nieruchome spojrzenie.

-Obiecałem, że go wam przestawię. Dziękuję, Kam.

Kam opuścił salon w milczeniu.



-Gdybym miał syna, byłby podobny do Kama.  
Nie odpowiedzieliśmy.

Obiad się skończył, stół zniknął. Tesari obszedł mnie i dziewczynę, stanął i pochylił się nad małżeństwem

-Zaczynajcie.

Mąż i żona podnieśli się równocześnie. Mąż podszedł do mnie, żona do Harriet. Gdy byliśmy już przy drzwiach, Tesari powiedział:

-Jutro zapraszam na kolację. Ostatnią kolację na Ziemi. O północy woduję mój statek. Kurs na OCEAN - uśmiechnął się - przyspieszyłem start.

Próby, próby, próby, nie kończące się próby. W przeciągu kilku godzin odbyłem wszystkie. Badania wytrzymałości, analityczne obserwowanie mózgu. Wykonywałem polecenia i rozkazy. Tak samo dziewczyna. Małżeństwo jakby prześcigało się w pomysłach, w co by tu jeszcze nas wpakować. Pod wieczór zeszliśmy do znanej nam auli. Tam przygotowano dla nas makiety kabin pojazdu. Mali ludzie usiedli w krzesłach. Przez oszklone wizjery wystające ze ścian makiety obserwowali nas. W przerwie żona zapowiedziała kolejną serię prób.

-Połączycie się.

Nie zrozumiałem.

-Połączycie się - powtórzył mąż. - Róbcie to bez skrępowania, szybko.

Zostaliśmy z Harriet w makiecie. Pokręciła głową i zawołała:

-Nie!

Stanęli przed nami. Mąż odezwał się:

-Niech pani nas nie zmusza do użycia siły, Po jednym zastrzyku zechcesz tak szybko, że Robert, będzie zmuszony do obrony przed Tobą.

-Nie - odpowiedziała, - Nie przy was.

Żona odezwała się:

-Użyjemy siły, dziewczyno.

Zrobiono Harriet zastrzyk. Zaczął działać. Staliśmy naprzeciwko w makiecie i patrzyliśmy na siebie. Źrenice Harriet powiększyły się. Wołała mnie wzrokiem.

-Boże! - zakryła usta ręką.

-Chodź - powiedziałem i zdjąłem szlafrok.

Kręciła tylko głową i ciągle stała przy ścianie. Wreszcie skuliła się. Patrzyłem na to.

Małżeństwo weszło do makiety i obwieściło nam przerwę.

Ledwie drzwi ze szklaną szybką zasunęły się za nami, już byliśmy w swoich objęciach. Gdy odpoczywaliśmy, spojrzałem w okienko. Zobaczyłem dwie wysuszone twarze. Oglądali naszą miłość wspinając się na palce. Nienawidziłem tej pary. Lepkie uśmiechy i wiecznie głodne oczy. Byli czymś gorszym od Tesariego. Zimni, odrażający, beż cienia człowieczeństwa. Stanowili parę układnych na pozór zbirów spod ciemnej gwiazdy. Ich twarze, zachowania i reakcje przypominały mi świat, w jakim żyłem. Niczym nie różnili się od spotykanych na wolności Ziemi.

Wieczorem zabrano nas do jednego z trzech pokoi, tam, gdzie badał Raf. Na korytarzu umówiłem się z Harriet, jak przebiegać będzie dialog, gdy wrócimy do łóżek. Ustaliliśmy, że obowiązywać będzie system „dwa, trzy, siedem, jednaście”. Do każdego wyrazu dodawać będziemy ponumerowane spółgłoski alfabetu, przy czym po drugiej sylabie przyłączać je będziemy wymawiając wspak, zaś ostatnią sylabę wyrazu wypowiadać po pauzie. Układ był męczący, ale pewny. Nikt nie powinien go rozszyfrować. Słowo „Tesari” brzmiało „betec-safe-ri”.

Jakiś głupek z Kraju Kwitnącej Wiśni mógłby się z nami dogadać, ale nikt z personelu „fabryki”.

Na razie nie dawano nam wrócić do łóżek. Zajęcia, jakie się odbyły, przypominały wykłady polityczne. W hipnotycznym stanie, w jaki wprowadził mnie komputer, odpowiadałem na pytania. Być może miało to na celu zbadanie i zmienienie mojej świadomości, przekonań, całej mojej osobowości za pomocą propagandowych haseł. Jeśli tak, komputer był wyjątkową tandetą.

Mogli mnie poniżyć, zmusić do wszystkiego, zabić, ale nigdy nie udałoby się im zmienić moich myśli.

Rozmawialiśmy w nocy z Harriet. Było cicho i spokojnie. Podsluch kontrolował naszą paplaninę, ekran w salonie Tesariego na pewno wypełniały podobizny Roberta i Harriet. Czuliśmy się bogaci, posiadaliśmy siebie, swój świat i wspólne plany.

- Nie zmieniłaś planu?

- Uwierzysz w to, co ci powiem, Robert?

- Prędzej, mów.

- Zdobyłam dzumę. Jest teraz w salonie Tesariego w materacu.

- Byłaś przecież rewidowana.

- Ukradłam tabletkę Batowi i przemyciłam do Salonu mimo rewizji.

- : Gdzie ją ukryłaś?

- Och, to tajemnica. Wiesz, co zamierzam dalej?

- To zależy od tego, jakie wiadomości wyciągnęłaś od Rata.

- Słusznie. A więc słuchaj: Tesari wypija cztery szklanki soku dziennie. Precyzyjnie. Rano dwie, w południe i wieczorem po jednej.

- Skąd wiesz?

- Raf oprowadzał mnie po instytucie. Byłam w kuchni. Kucharz musi o tym pamiętać. Powiedział, że przy kolacji Tesari nie pije soku.

-Ostatni raz będziemy u niego jutro, na kolacji. Jak wygląda kuchnia?

-Sok do szklanek nalewa kran, czerpiąc go z kanistra. Ale jutro nie wejść do kuchni. Raf przestraszył się swojej dzisiejszej słabości.

-W takim razie zostaje tylko salon, ale przy kolacji to wykluczone. Powinniśmy już być daleko, gdy to się stanie. Jest połączenie z salonu do kuchni wąskim szybem. Tamtędy wjeżdża stół. Mógłbym przedostać się szybem do kuchni, gdyby nie widział tego Tesari i gdyby w kuchni nie było nikogo.

-Kucharz kończy pracę przed kolacją. Tesarim zaś zajmujemy się sami.. Więc zatruje go sok. Podniesie późnym wieczorem szklankę do ust, zapatrzy się w ekran, na którym będziemy oddaleni już, wyzwoleni z jego łap, i przełknie swój ostatni łyk. Może zaprosi to małżeństwo? Może oni wypiją z nim toast?

-Słuchaj, Harriet.

-Muszę to zrobić. Ty nie znałeś mojego życia z ojcem. Jeśli Ziemię nazywasz pustynią, to dom mój był oazą i znajdowała się tam woda, cień; żywność...

Po raz pierwszy zrozumiałem, ile naprawdę znaczył dla niej ojciec. Patrząc na nią zdawało mi się, że widzę przed sobą moją żonę. Dwa portrety, jeden z wyobraźni, jeden rzeczywisty, nakładały się na siebie. Ale tamtego nie miałem już zobaczyć, ten był coraz wyraźniejszy. W tę noc Harriet zamieniła się w moją żonę. Przyrzekłem sobie, że nie opuszczę jej w niebezpieczeństwach i da końca z nią pozostanę.

To ostatnie przyrzeczenie stało się prawem. Jedynym prawem Tesarięgo, jakie przyjąłem z wdzięcznością.

Ostatni dzień naszego pobytu na Ziemi zaczął się wczesnym świtem. Pielęgniarki znaleźli mnie przy Harriet... W nocy poczułem, że pasy luźniej przylegają

i przedostałem się na sąsiednie łóżko. Mieli zdziwione gęby, nie odezwali się słowem. Zjedliśmy śniadanie, a potem zmienialiśmy sale, gabinety, pokoje. Raf spotkał nas na jednym z korytarzy, uklonił się i tchórzliwie oddalił.

- Miłość czyni cuda - szepnęła Harriet,

Zwiedziliśmy hangary. Poznaliśmy nasz statek. Nazywano go Krukiem. Był olbrzymim rombem, górą żelaza, ciężką, fascynującą konstrukcją. Personel techniczny, małżeństwo, Kam i my staliśmy wokół statku, zadzierając głowy. Wnętrze przeszło moje oczekiwania. Wykładzina kabin barwą przypominała palisander. Szliśmy gęsiego, włazy otwierały się, ukazując coraz to okazalsze i piękniejsze wnętrza.

Kam szedł pierwszy, rękami dotykał ścian, obmacywał wszystko, co przemykało pod palcami, jakby chciał poznać ciepło przedmiotów. Usiadł w kabinie sterowniczej. Ja i Harriet nadal chodziliśmy po pokładzie, licząc pomieszczenia, podziwiając ich wyposażenie. W każdej kabinie był ekran, łóżka, ze ścian wystawał okular teleskopu. Zdziwiła mnie ich liczba. Harriet odnajdywała na statku inne niespodzianki. Przedział nazwany porodową izbą, salę lekcyjną. W niektórych pomieszczeniach zautomatyzowane skrzynie Braille'a. W sumie było ich wszystkiego dziesięć na pokładzie. Wynalezione w XXI wieku, pełniły rolę latarni dla upośledzonych.

- Co to ma znaczyć? - spytała Harriet.

- Kam jest niewidomy - odpowiedziałem jej.

Tesari oglądał nasze miny na swoim ekranie, podchodził czasem do okien i uśmiechając się patrzył w kierunku hangarów. Niebo zasnuły strzępy chmur. Lunał deszcz. Wróciliśmy do budynku. Czekala na nas kabina. W niej przymierzaliśmy sprzęt do wędrówek w przestrzeni. Kombinezony i maski nie obowiązywały w

pojeździe. Gdy po wyjściu z przy mierzalni zbliżyłem się do okien i oglądałem Kruka, ustawionego już na płycie, Harriet położyła mi ręce na ramionach. Olbrzymi ptak przyciągał swym majestatem.

-Boisz się? - spytałem.

-Boję.

-Myślę o mojej córeczce. Dasz mi dziecka, dasz mi syna, Harriet. Urodzisz syna, a ja nauczę go kochać inną planetę, jakąś inną Ziemię, być niezależnym. Nawet nauczę go pić.

Roześmiała się i nagle umilkła, przestraszona widokiem Kama. Pojawił się i zniknął. Niewidomy dowódca poruszał się po korytarzach, jakby oczy jego widziały. Jawił się i oddalał jak upiór.

-Nie spostrzegłam tego wcześniej, nie przyszło mi do głowy, że jest kaleką.

Pielęgniarki przystały przy nas.

-Chodźmy, Harriet, mamy trochę czasu na sen.

Drzemaliśmy w jednym łóżku. Wyjątkowo nie założono nam pasów. Gdy nadchodził wieczór, zdążaliśmy do salonu Tesarego. Dwaj goryle, znajomi z poprzedniego dnia, zrewidowali nas dokładnie. Tesari ubrany był odświętnie i pachniał wodą cytrusową. Otworzył szeroko ramiona na nasz widok. Poza nami w salonie nie było innych gości.

-Tęskniłem za wami. Siadajcie... Obliczyłem waszą drogę. Liczby w jardach, milach morskich czy angielskich? Siadajcie. Dziwi was mój humor? Sprzyjające okoliczności. Napijecie się? Kruk napojony i syty.

Szybko odnalazłem miejsce w ścianie, gdzie zniknął stół. Tam był szyb. Harriet usiadła na brzegu materaca.

-Czeka was jeszcze półgodzinna kwarantanna. Za godzinę stąd wyfruniecie i nie zobaczymy się więcej.

Kam już pewnie jest przy sterach. Nastawiłem czas 21:42. Harriet, bądź miła, podaj mi notatki ze stołu.

Wiedziałem, co mam robić. Nieznacznie zachodziłem Tesariego z lewej strony, Harriet podała mu kartki i usiadła. Zauważyłem, jak ręka jej powędrowała za podszewkę materaca. Ścisnęła w garści dżumę.

- Czemu tak mi się przyglądasz, mała?

Przycisk alarmujący leżał w odległości metra od jego ręki. Zrobiłem następny krok. Tesari wyciągnął do dziewczyny dłoń i ujął jej szyję.

- W drogę, Harriet!

- Przedtem załatwimy ziemskie sprawy.

Puścił ją. Spojrzał z pogardą i zamarł w bezruchu z otwartymi ustami. Znowu przypominał człowieka duszącego się. Byłem zupełnie blisko jego głowy. Wpatrywałem się w plecy prześladowcy.

- Zapomnij, Harriet. Czas leczy rany - powiedział. - Z perspektywy dziewięciu miliardów kilometrów w górę zapomina się o Ziemi.

- Zapomnę, Tesari, zapomnę i ty zapomnisz.

Jeszcze metr. Pochyliłem się. Uderzenie nie było silne, ale runął na plastikową podłogę. Stracił na chwilę przytomność. Harriet podała mi błyskawicznie tabletkę. Chwyciłem przycisk. Wiedziałem, który guzik. Stół ruszył w kierunku ściany. Położyłem się na blacie. Ciemność i chłód objęły mnie na krótką chwilę. Byłem w kuchni. Zszedłem i jednym ruchem odnalazłem kanister. Nie był pełny. Zaledwie na dnie czaiła się reszta płynu. Wrzuciłem jad do środka. Usłyszałem charakterystyczny chrzęst dźwięk. Zdażyłem położyć się na blacie, bo w tej chwili stół, przywołany przez Harriet, powędrował w górę. Po chwili byłem już z nią. Tesari leżał, nie odzyskał

przytomności. Pierwsza część realizacji planu była poza nami.

Teraz nastąpiła część druga. Harriet rozpoczęła kłótnię. Rozmawiałem z nią, stopniując napięcie w głosie i obserwując kątem oka budzącego się Włocha. Przycisk leżał na dawnym miejscu.

- Co z nim zrobisz? - krzyczała.
- Zaniemiemy... nie, ukryjemy go tu.
- Zabij go!
- Zabić?
- Tak, zabij. Bóg ci przebaczy.
- Ależ, Harriet...

Dostrzegłem, jak poruszył palcami dłoni i bez najmniejszego szmeru okrył nią przycisk. Drzwi momentalnie rozsunęły się. Udaliśmy przerażenie. Naprawdę byliśmy przerażeni, ta ryzykowna zabawa mogła się nie udać. Nasz właściciel mierzył do nas z kuszy promieniowej. Trzymałem ręce wysoko. Harriet była blada.

- Nie zrobisz nic rozsądnego, Tesari. Już nie możesz sobie na to pozwolić.

Odrzucił w tył włosy. Patrzył raz na mnie, raz na nią. Strażnicy stali za nami, gotowi do skoku.

- Muszę - odetchnął. - Kara, jaka was spotka...

- Nie bądź niemądry. Wysyłając nas dziewięć miliardów kilometrów w górę, mówisz o jakiejś tam karze...

Odłożył broń. Woda ze szklanki obmył twarz, skropił włosy.

- Pan jest wyśmienity, Robercie - roześmiał się szczerze.

Śmiech zastygł na wargach. Odwrócił się plecami.

- Zabierzcie ich. Dochodzi 21. Zabierzcie ich.



Usiadł przy oknie. Patrzył na oświetlony, startowy pas, trzymając żółwia na kolanach. Wrócił do pokoju, by zapalić ekran. Nastawił kołnierz i wyszedł na taras.

\* \* \*

Ja, Harriet i Kam siedzieliśmy w kabinie izolacyjnej. Kwarantanna trwała dziesięć minut. Potem szklanym tunelem, łączącym kabinę z pojazdem, szliśmy prowadzeni przez Kama. Kam zatrzymał się w połowie tunelu. Z przeciwka szło do nas małżeństwo. Prowadzili ze sobą dziecko. Mały, trzymany za obie ręce, patrzył na mnie i Harriet z uwagą. Musiał mieć nie więcej niż pięć lat. Wyraz twarzy i spojrzenie, jakim nas obdarzył, bardzo przypominały zachowanie dorosłego człowieka. Małżeństwo z dzieckiem zostało w szklanym przejściu, podczas gdy my, prowadzeni przez Kama, wchodziliśmy na pokład Kruka.

Wspinając się po stopniach małych schodków, miałem uczucie jakbym przekraczał PO długiej nieobecności próg własnego domu. Odwróciłem się do Harriet. Miałem ochotę przenieść ją przez próg jak oblubienicę, ale nie pozwoliła mi na to. Szklany tunel skurczył się i odłączył od pojazdu.

Zostaliśmy na pokładzie we troje. Kam zajął miejsce przy sterach. Rozpoznawał idealnie każdy szczegół tablicy sterowniczej. Przez chwilę siedział spokojnie, bez ruchu. Automat -10 skrzynia Braille'a odczytała mu godzinę. Brakowało trzech sekund do 21:40.

Staliśmy za plecami dowódcy. Na ekranie, umieszczonym trochę z boku kabiny, pojawiły się twarze małżeństwa. Liczyli sekundy z nami..- Po starcie Tesari przełączy was na swój odbiór.

Milczeliśmy z Harriet. Była piękna w białym jak śnieg kombinezonie. Już teraz nie musiała ukrywać strachu. Dygotała jak liść, patrząc w jakiś punkt pod swoimi stopami.

Kam oddychał głęboko, zacząjony w fotelu. Ja oglądałem przez małą lunetę peryskop fragmenty domu Tesariego, hangary i szerokie pola startowego pasa. Nie odzywaliśmy się do siebie. 21:41, Na sporządzonej z wielką dokładnością tarczy nieba, gwiazd stałych, mgławic, wodziłem wzrokiem po jasnych, mniejszych i większych, usianych w czerni punktach. Może szukałem miejsca przyszłego kraju. Nie pamiętam. Ojczyznę utraciłem na zawsze.

21:42. Ruszyliśmy. Opuszczam Ziemię bez żalu. Jedynie powracająca tęsknota za bliskimi przypomina mi ją. Ziemia oddala się, nabiera śmiesznych kształtów. Pędzimy przez gwiazdny ocean. Może zobaczymy kiedyś drugi brzeg, jeśli nie nadejdzie sztorm. Fale chmur znikają. Pojawia się ciemność, nieskażona toń w teleskopie o średnicy zwierciadła trzech metrów. Połyskują „rozerwane” z mgławicą gwiazdy. Licznik, bije. Cyfry przeskakują z prędkością sekund. Płyniemy.

Na ekranie zajaśniał salon Tesariego. Szarlatan uśmiechał się do nas.

-Na wysokości sześćdziesięciu kilometrów połączycie się ze mną. Ja obserwuję was cały czas.

Na ekranie majaczą ponownie twarze małżeństwa. Jest i dziecko. Patrzy na nas. Kam wyłącza ekran.

Siedzieliśmy w kabinie Harriet. Położyłem głowę na wygodnym oparciu rozkładanego fotela. Ona oparła ręce na moich kolanach. Serce biło jej jak szalone.

-To tylko pierwszy dzień. Przyzwyczaję się. Gdy zmieniliśmy z ojcem mieszkanie, nie spałam trzy dni na nowym miejscu.

-Ja też nie będę mógł na razie spać.

Delikatnie próbowałem uśpić dziewczynę.

-Czym zajmowałeś się na Ziemi?

-Byłem prawnikiem - rzekłem. - Mamy Interes. W roku trafiała mi się przeciętnie jedna sprawca. Najczęściej o zniesławienie. A ty?

-Nie pracowałam.

Rozumiałem, jak bardzo była jej potrzebna rozmowa. Wymienialiśmy uwagi o kolorze drzew, o ptakach, o dzieciach. Opowiadała mi, co znalazła w kuchni pokładowej.

-Jedno jest pewne, nie zginiemy z głodu. Bezpieczniej tu niż na naszym globie.

-Wiesz, teraz wszystko stało się takie nieważne. Tesari, Ziemia, ojciec... takie dalekie.

Usłyszałem kroki. W korytarzu spotkałem Kama. Stał przed swoją kabiną.

-To pan - rozpoznał mnie. - Proszę mnie obudzić za dwie godziny. Kosmos jest nudny.

Wszedł do środka.

Przeszliśmy do kabiny sterowniczej. Harriet usiadła ze mną w fotelu. Włączyliśmy ekran. Refleksy świetlne wypełniły sufit i ściany. Obraz na ekranie przyciągał. Tesari leżał przerzucony przez stolik. Wokół fruwały białe kartki, ponaglane przez wiatr, wchodzący otwartym oknem tarasu. Rozwiewał włosy zmarłego. Szybka śmierć, w postaci kropel złotego płynu, płynęła strużkami po plastikowej podłodze. Wiatr wzmógł się. Kawałki plastiku, przemieszane z kartami i pierzem z materacy zasłaniały obraz. Przy trupie stało pudło ze zwierzętami. Gdy po godzinie włączyliśmy ekran jeszcze raz, duża, popękana skorupa żółwia zakrywała plecy dawnego prześladowcy. Żółw wędrował po ciele w poszukiwaniu żeru. Harriet zgasła obraz i zamknęła powieki. Nie

chciałem przerywać ciszy, jaka nastąpiła. Przebyliśmy pięćdziesiąt tysięcy kilometrów.

W korytarzu rozległy się kroki Kama. Ślepiec podszedł do mnie.

-Co się stało? - zapytał.

Nie zdążyłem odpowiedzieć. Małżeństwo dostarczyło dostatecznie dużo wyjaśnień. Głosami pozbawionymi barwy przekazało nam informacje z Ziemi.

-Na sygnały nasze nie odpowiadał. Sprawdziliśmy. Nie żyje od godziny. Analiza wykazała zarazki nowej dżumy w organizmie. Podejrzany Raf jest poszukiwany.

Kam słuchał. Harriet wstała z fotela i podeszła do mnie. Kam, choć nie widział, twarz skierowaną miał na ekran.

-Czeka go śmierć - powiedział nagle, a przez jego twarz przemknęło coś na kształt zadowolenia.

-Ja go zabiłam. Ukradłam dżumę - rzekła Harriet w sam środek ekranu.

Małżeństwo popatrzyło na siebie. Kam roześmiał się. Łączność przerwano. Po chwili nawiązano kontakt.

-Przechodźcie pod naszą kontrolę.

-Tak - odrzekł Kam.

-Kam, zamknij tych dwoje w kabinie Harriet. Ona urodzi dziecko i wtedy zrobisz z nimi, co zechcesz. Słuchajcie, czas życia ograniczyliśmy wam do trzydziestu lat. To górna granica twoich możliwości, Harriet... Za trzydzieści lat urodzisz i nie będziesz nam już potrzebna. Kam, koniec rozkazu.

-Tak.

-Rozkazy wasze są nie najlepiej słyszalne na tej wysokości - zauważyłem podniesionym głosem. - Poza tym macie bardzo mało do powiedzenia.

-Kam. Koniec rozkazu.

Nie ruszyłem się z miejsca, gdy do mnie podszedł.

-Wykonujesz dziwne polecenia. Jesteś automatem, czy co? Nie umiesz myśleć? Jesteśmy we troje więźniami Kruka. Zechcesz nas więzić, sam będąc w więzieniu? Po co? Może sprawia ci to przyjemność? Jak wtedy, gdy dusiłem się w tubie. I pamiętaj - jest nas dwoje, ty jeden. Nie występuj przeciwko nam. Choć nie znam się na prowadzeniu Kruka, rozwalę ci łeb, jeśli do nas podejdziesz. Przekaż swoim znajomym z Ziemi nasze pozdrowienia i idź precz

Zdumiał mnie jego spokój. Harriet patrzyła na niego pewnie i z opanowaniem. Kam zrobił krok w moim kierunku.

-Do kabiny - rzekł.

Niesamowitość jego twarzy i oczu. Ruchy. Chwyciłem metalowy pręt, z których zrobiona była krata, oddzielająca pulpit od maszyn. Szedł do mnie.

-Stań!

Nie zatrzymał się.

-Stań!

Uderzyłem lekko w jego ramię. Pręt wypadł mi z ręki. Byłem przerażony. Metal uderzył o metal. Kam objął nas ramieniem jak dzieci, zacisnął pętle do bólu i zaniósł w wyznaczone nam miejsce. Zniknął. Zostaliśmy sami w kabinie.

-To nie jest człowiek.

-Robercie - szepnęła z rozpaczą.

-Tesari znalazł wspaniałego dowódcę. Temu stworowi brakuje tylko oczu.

-Wieczny mechanizm, wieczny, nie rdzewiejący metal - zaśmiała się histerycznie Harriet.

-Metal, ale nie wieczny - spojrzałem przez teleskop. - Gdyby tak było, nie byłibyśmy potrzebni,

on wykonałby całe zadanie. Kam ma kierować statkiem, nauczyć nasze dziecko obsługiwać Kruka. Nie jest wieczny. To jasne. Podejrzewam, że jego żywotność wynosi 40- 50 lat. Tesari wiedział dobrze, że tylko następne życie, stworzone przez nas w chwili ostatecznej, przedłużyć może ten lot o następne lata. Śmierć naszego dziecka dopiero go zakończy.

- Nie urodzę go. Po to, by zginął?

- Dajemy życie. Zadajesz pytanie każdej przyszłej matki. Jesteśmy niepewni jutra naszych dzieci. Nie możemy obiecać im wieczności a jednak dajemy życie.

Skinęła głową, położyła się. Oderwałem wzrok od teleskopu. Dała mi znak ręką, bym do niej przyszedł. Zrobiłem tak. Ułożyłem się obok niej. Obie dłonie skierowałem ku jej policzkom. To, co, zobaczyłem w oczach mojej nowej żony, wzruszyło mnie.

- Robercie - zawahała się przez moment - kocham pana.

Zmalało we mnie napięcie, wywołane ostatnimi godzinami. Pocałowałem Harriet w usta. Oddała pocałunek.

- Kocham cię.

Leżeliśmy licząc przesuwające się nad naszymi głowami odbicia słonecznych promieni. Właśnie teraz tworzyliśmy nasz świat - ciasny, samotny, ale piękny, bo w nim istnieliśmy.

Harriet śmiała się głośno. Na Ziemi prawdopodobnie nie śmiała się tak nigdy. Zrzuciliśmy kombinezony, zostaliśmy nadzy.

- Zwycięzimy metal! - krzyczała.

Kruk znajdował się w tej chwili na wysokości stu tysięcy kilometrów. Rozpostarł czarne skrzydła i płynął po oceanie, niosąc na swoim karku dwójkę zakochanych ludzi i automat.

aj

Zasnęliśmy oboje. Sen miałem spokojny i głęboki. Obudził nas Kam i zaprowadził na „ śniadanie. Zaczęliśmy się przyzwyczajać. Śnił się nam wszechświat. Byliśmy pierwszymi, którzy wyruszyli w taką podróż. Harriet mówiła, że to droga bez końca. Ale ja zapewniałem ją, że ocean musi mieć drugi brzeg.

2.

Harriet! Harriet tysiąca dni. Ile razy pomagałaś mu przetrzymać godziny pełne lęku i otaczającej zewsząd beznadziejności. Twoja wiara przewyciężała moje myśli.

Odyseja trwała. Nieustannie, wolno płynęły dni, miesiące, lata. Kam więził nas, to przypominało Ziemię z jej bezwzględnyimi prawami. Nawet tu, w górze, nie uwolniliśmy się spod jej władzy. Ile już marzeń zamieszkiwało moją głowę. Snuliśmy je razem, przesiadując w zamkniętym na spodzie Kruka promie. Tylko marzenia. Włosy urosły ci długie, czarne, zestarzałaś się ze mną, a przecież nie zmieniłaś.

Twarze małżeństwa majaczyły codziennie na znienawidzonym ekranie i one, tak jak nasze, stawały się stare i brzydkie. Za to ich syn rósł, obserwowaliśmy to nieustannie. Rozwijał się w przyspieszonym tempie, choć karmiony przez nieurodzajną, łagodną Ziemię - karłowaty chwast na miarę „czasów, jakie tam nastaly, i podobieństwo swoich współplemieńców.

Chciałaś mieć dziecko, a ja powtarzałem - nie. Jeszcze nie teraz. Wytrzymajmy jak najdłużej. To mała, ale zawsze szansa by narodzony ocalał. W końcu trąbmy na zamieszkaną planetę, o atmosferze podobnej do ziemskiej, w dogodnej dla rozwoju życia odległości od Słońca.

Natrafiłem na taśmę nagraną dla Kama przez Tesariego. Znalazłem ją któregoś dnia w bibliotece. Chowam ją dla ciebie, Harriet. Czekam na dzień, w którym kilka słów nadziei będzie dla ciebie niezbędne.

Lecimy wciąż z tą samą prędkością, zanurzając się w otchłań bez końca. Liczymy dni, miesiące, lata. Czasem stajemy, spacerujemy po niebie i wtedy ogarnia mnie chęć przerwania liny, zostania na wzburzonym morzu. Życie nasze nie jest życiem, ale bezlitosną, beznadziejną niewolą. Piękno krajobrazu zaczyna nużyć i męczyć, Lot straszy ciągłym ryzykiem wobec groźnych żywiołów. Kam sprawia, że metal, którego nie brak na statku, zaczyna zewsząd mówić ludzkim głosem. Tylko dzięki tobie jeszcze nie oszalałem. Wdzięczny będę do końca swoich dni losowi i bogom. Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym wyruszył bez ciebie. Zamieniłbym się pewnie w Kama, i rozmawiał z metalem, ślepl i powoli umierał. A jednak żyję, starzeję się jak człowiek, myślę, marzę. Harriet, Harriet dwóch, trzech, dziesięciu tysięcy dni!

Wyszedłem z biblioteki. Harriet szukała mnie. Wpadła w moje ramiona. Była roztrzęsiona.

-Czemu płaczesz? Chodź. Poczujesz się lepiej.

Zamknęliśmy się w bibliotece. Do tego jedyne go pomieszczenia Kam nie miał dostępu. Tu byliśmy bezpieczni. Nastawiłem taśmę. Słuchała z uwagą. Gdy ucichły ostatnie słowa Tesariego, zapytała mnie:

-Wierzysz w tę historię? To rojenia chorego umysłu. Tesari był szaleńcem.

-Wierzę - może skłamałem, może nie - Tesari nie był szaleńcem.

-Czy to jedyna taśma, jaką znalazłeś?

-Jedyna.



Pomogła. Minęła depresja, Harriet uśmiechnęła się. Już od wczoraj czułem zbliżający się atak. Pogładziłem ją po głowie, przyniosłem wodę.

Tesari musiał być jednak szaleńcem. Niemożliwe, by istniała Ziemia taka jak nasza, o tych samych wymiarach, faunie, florze, o identycznych odległościach we wszechświecie. Ta sama religia, ci sami ludzie, nazwy może trochę zmienione, cywilizacja, cofnięta o jakieś trzysta, czterysta lat. Tak przepowiadał Tesari. Obliczył kilometry, odkrył drogę tam prowadzącą...

Był szaleńcem, ale zacząłem mu wierzyć. Świat, jaki napotykaliliśmy, był równie szalony, niepodobny do zdjęć, opowieści. Inny. Napotykaliliśmy zjawiska przedtem nie opisane. Widzieliśmy tęcze w ciemnościach nieba, iskrzące się ogniem. Słyszeliśmy wycia, głuchoe wybuchy wulkanów, martwy jęk meteorów. Być może, poddawaliśmy się złudzeniom, ale nikt nie był pewny... Harriet uwierzyła.

-On ocaleje - powiedziała. - Syn nasz ocaleje.

Nie miała wątpliwości, że to będzie syn. Potomek Roberta Bara. Najdzielniejszy, najpiękniejszy z ludzi. I szczęśliwszy od swoich rodziców.

Harriet podłamały wydarzenia ostatnich dwóch dni. Otóż natrafiliśmy na setki wraków kosmicznych pojazdów. Wysłane zostały z Ziemi przed stu laty. Przypomniałem sobie tamte wydarzenia, o których opowiadali mi rodzice. Miały coś z „gorączki złota”. Odkryto pokłady kruszcu na jednej z planet, śmiałkowie wyruszyli pełni optymizmu i żaden z nich nie powrócił już na Ziemię. Nigdy nie widziałem bardziej wstrząsającego obrazu. Nieruchome, czarne głowy statków nagle i na wieczność zatrzymane przez żywioł. Nie było śladów życia. Trudno było zrozumieć, co spowodowało jednoczesną zagładę podróżników.

Awaria, wybuch, głód, zaraza czy może międzygwiazdowa wojna? Zostawiliśmy smutny obraz za sobą. Patrzyliśmy długo, póki nie wtopił się w czarny ocean nieskończoności, który po wsze czasy stał się ich cmentarzem.

Harriet wstała. Poszliśmy do Kama. Czytał jakąś książkę za pomocą skrzyni Braille'a. Mógł posłużyć się komputerem, ale lubił sama odczytywać pismo.

-To ja, Robert. Jest ze mną Harriet.

Wymagał od nas anonsowania odwiedzin. Nie znosił otwieranych bez szmeru drzwi i kroków za plecami, w które musiał się wsłuchiwać. Jak sam mówił, myśl, że my możemy być przy nim, a on o tym nie wie, przerażała go. Dostarczyłbym mu z przyjemnością owego uczucia, gdyby nie lęk przed karą, jaką stosował. Harriet nie mogła wytrzymać w zamkniętej, ciemnej kabinie. Ze względu na nią nie atakowałem Kama.

Oderwał się od książki i powiódł wzrokiem po ścianach.

-Czego chcecie? - wycharczał.

-Znalazłem taśmę - rzekłem. - Wiedziałeś o mej.

-Czy tam lecimy? - spytała Harriet.

-Tam.

-Czy... ile jeszcze... Czy? - Harriet podbiegła do stwora.

-Odejdź. Odsuń się. Rozmawiaj z odległości.

Stała w miejscu. Kam odepchnął skrzynię. Sygnały zaczęły go wzywać do kabiny sterowniczej. Wstał. Po raz pierwszy od dziesięciu lat widziałem jego ręce. imitowały skórę, były źle zrobione. Nałożył rękawice.

-Będę u sterów.

-Poczekaj, Kam. Czy ona istnieje? Ziemia, o której mówił Tesari?

Wydał coś na kształt śmiechu. Wychodził.

Z korytarza krzyknął:

- Wy nie zobaczycie. Ja was zabiję. Mój dawny pan prosi mnie, prosi mnie, prosi mnie...

Minęło tysiąc dni, drugie tysiąc, trzecie. Nie mieliśmy wątpliwości, że Kam to zrobi. Od dawna zaczęliśmy myśleć o ocaleniu. Harriet zносиła porcje żywnościowe z kuchni do biblioteki. Układała na półkach zasłaniając szpulami, książkami, taśmami. Biblioteka miała stanowić naszą twierdzę. Raz się w niej zamknawszy, mogliśmy dotrzeć do końca. Ocenilem drzwi. Były bastionem nie do przebycia, nawet dla Kama. Harriet poddawała się badaniom, nieubłagane wyznaczały górną granicę narodzin dziecka. Czas zbliżał się. Czas narodzin dla nas oznaczał coś zupełnie przeciwnego.

Wielokrotnie dokładnie obejrzałem Kruka. Było jedno miejsce mogące sprzyjać walce z Kamem. Omijana przez niego komora magnezowa. Gdyby przypadkiem znalazł się w pobliżu, a właz osłaniający był otwarty, siła przyciągania roztrzaskałaby go o ścianę. Komora znajdowała się na tyłach statku i stanowiła jedyną szansę zwycięstwa. Ale to były marzenia. Kam nigdy nie przyszedłby w niebezpieczny dla siebie rejon. Łudziłem się, że życie potwora zakończy się przed porodem Harriet, ale to były tylko złudzenia. Umiałem prowadzić statek. Przez wiele lat podglądałem Kama i wiedziałem, że w razie czego zastąpię go z powodzeniem. Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek dosięgnę steru. Wskazówki Tesariego, zawarte w taśmie, wystarczyły, by utrzymać tor lotu.

Na Ziemi zaszły zmiany. Małżeństwo zmarło, Ich syn sprawował kontrolę nad nami. Odziedziczył po matce okrucieństwo, po ojcu nieprzejechaną dla nas pogardę. Owładnięty ideą Tesariego i rodziców,

szukował kolejnego następcę sprawy „drugiej Ziemi”. Przychodził do „fabryki” ze swoim dzieckiem, uczył i objaśniał. Miał piętnaście lat i już był ojcem. Dane nam było oglądać Ziemię, informowano o wszystkim, co się działo. Nadeszły najczarniejsze dni planety... Zaakceptowano i pogodzano się z prawami panującymi. Nic nie mogło odmienić jej losów. Ludzie doszli już do granicy człowieczeństwa za którą rozciągał się teren zwany barbarzyństwem. Pogodzano się z terrorem. Nie podniósł się żaden bunt, rewolucje należały już do przeszłości. Płodzili, umierali pogodzeni. Tak musiało być.

Na Kruku, nie było lepiej. Materiały w bibliotece, filmy i szpule w kabine sterowniczej metalowy, bezduszny sprzęt, kierujący mikroświatem; To wszystko stanowiło niebezpieczeństwo nie dla nas, ale dla młodego Bara. Często z Harriet rozmawialiśmy o tym. Stawało się oczywiste, jak przebiegałaby edukacja naszego syna, gdybyśmy utracili rodzicielskie prawa.

Przeszedł czwarty tysiąc dni... ósmy tysiąc. Lecieliśmy. Przestrzeń wciągała nas. Do ostatecznej daty porodu Harriet pozostały cztery tysiące dni. Czula się dobrze. Czasami skarżyła się na serce, lecz aparaty nie wykazywały odchyłeń od normy. Kam dbał o zdrowie pasażerów, był nawet opiekuńczy i niekiedy zbierało mu się na czułości. Żona moja zawsze patrzyła z trwogą w jego twarz, pod metalową czaszką ludzko-podobnego robota czyhały zakodowane plany naszej śmierci. Ja byłem w świetnej formie fizycznej, organizm mój pracował bezbłędnie. Zauważyłem, że zarost, rośnie mi dwa razy szybciej. Męczące było kilkakrotne golenie się w ciągu dnia.

Zostały już ukończone przygotowania biblioteki do przyjęcia trójki ludzi. Zapasy żywności, wody, światła

mogły wystarczyć choćby i na sto, lat. Kam nie domyślaj się niczego, w ostatnich latach poświęcał nam więcej czasu, kontaktował się z synem nieżyjącego już małżeństwa w sprawach najmniejszej chociażby naszej dolegliwości.

Dziesięć tysięcy, dwanaście tysięcy... Czas.

Leżała na łóżku w swojej kabinie. Krzyczała. Siedziałem przy niej trzymając ją za rękę i wycierając pot z jej czoła. Robot czekał na korytarzu.

- Czy on tam stoi? - spytała.

- Nie, nie ma go.

- On tam jest. Czeka. Zabierze dziecko.

- Nie ma go na korytarzu. Jest daleko od nas. Bądź spokojna. Przy mnie jesteś bezpieczna, bądź spokojna, kochanie.

Podniosła głowę, popatrzyła na drzwi i opadła ciężko na poduszkę.

- To boli - przyznała. - Nie myślałam, że tak.

Chwilę leżała w milczeniu,

- A jeśli on je zabije?

Uśmiechnąłem się.

- Nie zabije. Przecież wiesz, że nie zabije. Nie myśl o takich rzeczach.

- To zaraz się stanie - zacisnęła palce na prześcieradle. - Czuję, jak... powiedz, czy on tam czeka?

Krzyczała. I nadszedł moment, gdy ujrzałem swego syna.

Miałem dużo pracy. Harriet patrzyła na mnie, jak podnoszę dziecko do góry, kąpię, całuję.

- Daję ci imię Robert.

- Robert Bar drugi - szepnęła.

W tej sekundzie ujrzała straszną sylwetkę Kama stojącego w progu i wydając urywany szloch, zemdląca. Stwór wyciągnął metalowe ręce.

- Daj.

Objąłem dziecko i cofnąłem się w głąb pokoju.

- Nie, ślepy przyjacielu, nie oddam dziecka.

- Nie targuj się o życie.

- Sądysz, że nie potrafię go zabić? Nie doceniasz mnie.

Zawahał się, grymas przemknął mu po twarzy.

- Daj - powtórzył i zrobił krok w moim kierunku.

- Gdybym odesłał moje dziecko do Boga, wyprawa skończyłaby się, prawda? I tak się starzejesz, ślepy przyjacielu.

- Nie zrobisz tego.

- Proszę cię o kilka godzin, Harriet zwariuje inaczej. Położę go przy niej. Przejdziemy się potem ostatni raz po pokładzie. Wreszcie za trzy godziny oddam ci dziecko i przyjmujemy śmierć z twoich rąk.

- Nie - rzekł gniewnie.

- W takim razie nie będzie ani twoje, ani nasze! - krzyknąłem.

- Stój - wstrzymał mnie dłonią. - Zgadza się.

- Zrób przejście.

Usunął się pod ścianę kabiny. Ocuciłem Harriet. Długo trwało, nim przyszła do siebie. Odsunęła z czoła mokre włosy, spojrzała na Kama, nie powiedziała słowa. Wyjaśniłem jej, na co zgadza się robot. Ostrożnie wstała. Kam łowił dźwięki dochodzące z naszej strony. Wiedziałem, że orientuje się dokładnie, gdzie stoimy, ile robimy kroków i w jakim kierunku. Jego rozwinięty dar instynktu i wyobraźni zastępował najczulsze źrenice oka. Z twarzy robota nic nie mogłem wyczytać. Stał nieruchomo pod ścianą, jak zawsze opanowany, milczący.

Harriet oparła się o moje ramię, na drugim trzymała syna. Przerażliwie płakał. Posuwaliśmy się wolno i ostrożnie, gotowa w każdej chwili uskoczyć na

boki przed metalowym ciężarem. Niezbadany umysł Kama pracował nieprzerwanie. Chyba wiedział, że zgadzając się na to pierwsze ustępstwo, może być szantażowany i później, dopóki dziecko znajduje się w naszych rękach. Całe nasze zadanie polegało na tym, by prześliznąć się z kabiny do biblioteki. Mieściła się prawie naprzeciwko. Harriet sunęła wzdłuż łóżka, ja byłem bliżej Kama. Zauważyła to. Dlatego odebrała mi dziecko. Kabina liczyła niecałe sześć metrów, lecz drogę metra przebywaliśmy w czasie minuty. Nerwy miałem napięte do granic wytrzymałości. Płacz noworodka wcale mnie nie uspokajał. Byliśmy niecały metr od drzwi na korytarz. Zdecydowałem się przerwać milczenie Kama. Tylko napięcie w jego głosie mogło ostrzec o momencie ciosu. Czułem, że uderzy, nim przejdziemy próg.

-Widzisz, idziemy - mówiłem. - Mamy jeszcze niecały metr przed sobą. Mam nadzieję, że dotrzymasz słowa. Wiesz, co się stanie, gdy będzie inaczej. Nie waż się ryzykować, Kam. Nie darowałiby ci tego twoi właściciele.

Milczał. Wpatrywał się ślepyimi oczami w miejsce, z którego dochodził płacz dziecka. Harriet otuliła małego w prześcieradło.

-Nie waż się ryzykować. Kam.

Skoczył. Pchnął mnie bokiem na drzwi. Harriet zadrżała. Wyrwał jej niemowlę z ramion i zatoczył się na łóżko. Metaliczny chrzęst, płacz i krzyk Harriet zwały się w jeden dźwięk. Kam wstawał z łóżka. Porwałem Harriet na ręce i pobiegłem do biblioteki. Zasunęły się drzwi. Ona płakała, ja dyszałem ciężko.

-Nie płacz. Jesteśmy wolni.

Dziwnie to zabrzmiało. Płacz Harriet urwał się, bo usłyszeliśmy głos Karna,

-Wyjdziecie w końcu.

-Nie! - krzyknąłem. - Nie zobaczysz nas.

-Wypłoszy was głód.

-Mamy dość żywności. Gdybyś jadł, zainteresowałoby cię pewnie, że kuchnia przeniesiona jest do biblioteki. A ty, głupia małpo, beczko nie naoliwionego żelastwa, nie wykorzystujesz odpowiednio swojej gęby.

Rozległo się uderzenie w drzwi.

-Nie licz na to. Są mocne. I przestań walić, bo zawiasy ci skrzypią.

Wpadł we wściekłość. Nacierał na drzwi ciałem. Trzęsły się. Harriet pobiegła i skryła się między półkami. Tam ją znalazłem. Osunęła się na kolana. Podniosłem opuszczoną głowę mojej przestraszonej, kochanej Szwedki.

-Już po wszystkim, kochana. Jak się czujesz?

-Nie dostanie się tu?

-To sprzeczne z prawami, jakie w bibliotece nastąpiły. Jedno z nich brzmi: „Robotom wstęp wzbroniony”.

-Ma Roberta.

-Nic mu się nie stanie. Będzie się nim opiekował lepiej niż my - zażartowałem.

-Jesteś tego pewien? - popatrzyła mi bystro w oczy.

-Połóż się, kochanie, Co ty masz za życie, biedna moja.

Położyła się. Uśmiechnęła się do mnie.

-Gdybyśmy żyli na jakimś innym świecie, miałabym lepsze życie?

-O tak. Byłabyś królową każdej planety. Nie spotkałem dzielniejszej niż ty dziewczyny. Nie jesteś już młoda, ale byłabyś królową piękności, ręczę ci.

-A na Ziemi? Gdybyśmy mieszkali na Ziemi w innych czasach?



Lubiła ten temat. Mogła słuchać całymi godzinami.

-Ja chodziłbym do pracy. Ty sprzątałabyś dom. Wracałbym...

-Powiedz dokładnie, jaki byłby nasz dom, opisz go. I jaka praca.

-Dom stary, wiekowy. Nic z plastiku. Szkło tylko w szybach. Kominek, drewniane schody, dywany - taki stary, stary pałac. A praca moja? - adwokacją byłbym jak przedtem. Wracałbym z pracy, stawiał teczkę na stole pod lustrem i domagał się obiadu. Siadalibyśmy oboje...

Podparła głowę ręką, zamknęła powieki, słuchała.

-Po obiedzie zmywalibyśmy razem naczynia. A jaka byłaby kuchnia! Taka wielka, że wjeżdżałbym do niej.

-A twoja żona? Co powiedziałaaby ona na to?

-Nie przyznałbym się że jestem z tobą. A gdy wrócimy na Ziemię, wcale jej nie odwiedzę; Będziemy mieli dwoje dzieci...

Otworzyła powieki. Powinienem być ostrożniejszy.

-Spój, maleńka, śpij.

Gdy już usnęła, podszedłem do drzwi. Nasłuchiwałem. Żadnego dźwięku. Nie słyszałem także płaczu małego Roberta. To były dobre drzwi. Zapaliłem ekran, mogłem odszukać Kama i Roberta w kabinach. Autokamery porozmieszczano przecież wszędzie. Zmieniałem obrazy. Znalazłem ich. Zасыpiając miałem ten obraz w pamięci... Metalowy potwór pochylony nad dziecinnym posłaniem, poprawiający poduszkę niemowlęciu. Zасыpiając czułem się szczęśliwy, jeśli to słowo może określić stan człowieka, który po tylu latach nagle pewnego dnia odzyskał wolność i coś w rodzaju spokoju.

---

Wykradnięcie malca z łap czuwającego ciągle Kama nie było sprawą prostą. Robot nigdy me spał, niekiedy kładł się tylko na krótkie momenty, wtedy wyczulony słuch pracował ze zdwojoną siłą. Trzykrotnie opuszczałem twierdzę i przemykałem się chyłkiem przez korytarz w poszukiwaniu dziecka. Mimo że uprzednio stwierdzałem dzięki ekranowi bezpieczne oddalenie Kama, zawsze napadał mnie niespodzianie w miejscach najciemniejszych i trudnych do, obrony. Moją przewagą była zwinność. Zachowałem świetną kondycję fizyczną do późnej starości. Trzykrotnie wracałem do Harriet goniony przez szalejącego stwora. Trzykrotnie Harriet z pośpiechem zamykała drzwi biblioteki. Ostatni raz o mało nie skończyło się to katastrofą. Na szczęście Kam zaplątał się w kratę. Inaczej już bym do Harriet nie powrócił. Zorientowałem się, że robot celowo podkłada dziecko, aby wywabić mnie z kryjówki. Zaprzestałem wycieczek. Był przekonany, że zrezygnowaliśmy z odzyskania chłopca. Po trzech miesiącach czekania przygotował nam coś innego. Ze snu obudziło mnie stukanie. Harriet bosą podbiegła do ekranu. Włączyła obraz korytarza. Przy drzwiach nie było nikogo. Kam zostawił nam upominek. Na drzwiach przybił metalową kratę. Teraz byliśmy uwięzieni na dobre. Słyszeliśmy jego potworny śmiech. Dostawał się poprzez ściany pojazdu i gotów byłem przysiąc, że wypełniał wszechświat. Jak echem wtórował mu z Ziemi głos wnuka okrutnego małżeństwa.

Pewnego dnia zobaczyliśmy na ekranie jego twarz. Artur. Miał dwadzieścia parę lat. Ojciec jego zmarł w wieku trzydziestu siedmiu. Gdy wylatywaliśmy z

Ziemi, chłopak miał pięć lat. Ja miałem teraz pięćdziesiąt dziewięć lat ziemskich.

Artur jako ostatni brał udział w tej dziwnej sztafecie. Przerósł ojca i dziadków pomysłami i energią. Miał jasne włosy i twarz anioła, podobny był nieco do naszego Roberta. Harriet mówiła o nim, że jest pomiotem diabła. Anioł Artur polubił małego Roberta Bara. Gdy tylko nasz syn zaczął mówić, uczył go wielu trudnych słów. Po jakimś czasie rozmawiali już ze sobą. Kam co rano sadzał Roberta przed ekranem. Rozmawiali z Arturem długie godziny. My, rodzice, przysłuchiwaliśmy się im. Jeżeli istniały straszniejsze zabawy dorosłego człowieka z dzieckiem, trudno było sobie je wyobrazić po tym, co widzieliśmy. Przemiana następowała szybko. Z dziecka o łagodnym spojrzeniu i dobrych oczach rodziła się poczwarka. Robert tęsknił za Ziemią, o swoich rodzicach nic nie wiedział. Patrzyliśmy na nasze dziecko. Serce jego ginęło, mózg toczył robak. Artur przesyłał mu na ekran gry: zabijanie zwierząt ze staromodnego rewolweru. Robert tylko naciskał guziki. Nie zapomniano o nauce. Po kilku latach zrozumiał, że bezkarnie może zabijać ludzi znajdujących się pod wpływem alkoholu. To prawo przyjął i zapamiętał najlepiej, podobało mu się. Szczuto go, drażniono, jak zamkniętego w klatce psa. Filmy, książki, rozmowy z przedstawicielami prasy i władzy. Uczył się sterowania statkiem, języków, astronomii i matematyki. Miał ogromną łatwość przyswajania wiedzy, i jak to często bywa z dziećmi spłodzonymi przez starych rodziców, wybitne zdolności. Nazywaliśmy go Robert, chociaż on wybrał sobie inne imię.

-Jezus był do mnie podobny? - spytał pewnego dnia Artura.

-O, tak - odparł tamten.

- I zstąpił z nieba?
- Tak jak ty zstąpisz na nową planetę.
- Będę pierwszy?
- Jesteś wielki, Robercie, będziesz pierwszy.
- Jezus pasuje do mnie?
- Twoja rola w historii może być identyczna.
- Odtąd nazywaj mnie Jezusem. Pamiętaj, Arturze
- Jezus.

Akcentował drugą sylabę, wymawiając imię Odkupiciela z hiszpańską melodyjnością.

-Czym się różnimy, Arturze, powiedz. Niczym, prawda?

-Twój ojciec nie był bogiem.

-Zwykły człowiek? Pochodzę od zwykłego człowieka? Jezus pochodzi od zwykłego człowieka?

Nie mogłem mu nic powiedzieć. Głosy nasze zostały uwięzione w ciasnej bibliotece. Mogliśmy patrzeć i słuchać, nie będąc widzialnymi i słyszalnymi. To potęgowało nasz ból.

-Dlaczego nie mogę oglądać biblioteki?. Czemu Kam nie pozwala?

-Kiedyś cię tam zaprowadzi, Jezusie. Trzymamy tam dwójkę starych ludzi.

-Takich z Ziemi? Zwykłych ludzi? - zastanowił się.

- Nie chcę ich oglądać. Czy mogę tam pójść? Kam mówi, że tak, Raz spojrzę.

-Zamknęli się.

-Ale mogę?

-Są twoi, Jezusie, wszyscy ludzie są twoi.

Roześmiał się, klasnął w dłonie.

-Kiedy ujrzę Ziemię? Moją ziemię?

-Niedługo. Za dziesięć, może dwadzieścia lat...

-Nie wyliczyliście dokładnie?

-Większa część obliczeń okazała się błędna, lecz podróżujesz w prawidłowym kierunku. Trzeba czekać. Lecisz w nie zbadanej części nieba.

Utkwił wzrok w Arturze.

-Czy spotkam kobietę na Ziemi? - spytał zaciskając wargi. - Muszę spotkać kobietę. Będzie moja.

-Naturalnie, Jezusie.

Ponownie klasnął w ręce. Nie miałem wątpliwości  
- nasz syn był szalony.

Z korytarza nadszedł Kam.

-Kam, prowadź do biblioteki.

Widzieliśmy, jak się zbliżają, Harriet odwróciła ode mnie głowę i patrzyła przed siebie.

-Harriet...

- Słucham.

-Otworzymy drzwi? To przecież nasz syn...

Objęła rękami głowę. Teraz dopiero ujrzałem, jaka już była stara. Przeżycia wycisnęły na pięknej kiedyś twarzy głębokie bruzdy. Podreptała zgarbiona w kąt i tam przysiadła.,

-Jak chcesz...

Odsunęły się drzwi. Stałem przed pustymi oczodołami Kama i zdziwionym spojrzeniem syna. Oglądał mnie uważnie, wodząc wzrokiem po moich siwych włosach, pomarszczonej twarzy.

-Jestem twoim ojcem - zdołałem powiedzieć przez kratę.

Otworzył szeroko oczy, z warg zniknął wykrzywiony uśmiech. Podniósł rękę. Nie rozumiałem, co oznaczał ten gest. Opuścił ją z błyskawiczną szybkością. Chwycił za kratę. Szarpnął.

-Ty? - wściekle zapytał. - Ty?

-Zasuń drzwi - usłyszałem za sobą spokojny głos matki.

Zrobiłem tak.

---

I znowu kolejne lata w samotni. Długie poranki, jeszcze dłuższe noce. Świeące gwiazdy nad i pod nami, dookoła, morza piane to- Idów, Neptun, Pluton...

-Skończmy z tym - powiedziała Harriet. - Jestem bardzo zmęczona.

-Odzyskamy go. Wróci do nas.

-Ty wiesz, że to niemożliwe.

-Odzyskamy go - powiedziałem z taką siłą, że Harriet nie sprzeczała się ze mną.

-Jesteś mężczyzną, z którym nie boję się wjechać do piekła - pokiwała głową, siedząc nad rysunkiem przedstawiającym stary ziemski dom naszych marzeń.

Lecieliśmy w krainę luster. Nasz pojazd odbijał się w tysiącach zwierciadeł. Jaśniejsze i ciemniejsze odbłaski drobnych, wirujących kryształów malowały na ścianach, podłogach, sufitach Kruka przepiękne wzory. Za kilka dni okryło nas pomarańczowe niebo, a następnie mrok, potęgujący się z godziny na godzinę.

-To dziś - powiedziałem do Harriet z niecierpliwością.

Skończyła zapinać mi kombinezon.

-Dokąd idziesz? - zapytałem z przestrawieniem, widząc, że i ona szykuje się do opuszczenia biblioteki.

-Z tobą - odparła krótko. - Zniszczyć Kama, rozbić aparatury nadawcze, spalić filmy. Sam to zrobisz?

Objęła mnie. - Kochanie, idziemy na stracenie - poskarżyła się z westchnieniem.

Wzruszyła mnie. Jej westchnienie miało smutek dziecka, rezygnującego z dodatkowej porcji lodów,

-Ale - dodała i popatrzyła na bibliotekę - to nasze życie...

Drzwi odsunęły się. Brama naszej twierdzy była otwarta. Poprzedniego dnia Jezus kazał zdjąć kraty. Szliśmy jak w tamten ostatni wieczór do Tesariego - szybko, zdecydowanie, wiedząc, że nie unikniemy przeznaczenia.

Kam był przy sterach. Jezus jeszcze spał. Robot słyszał nas, ale siedział nieruchomo w fotelu. Czekał, przyczajony, na swoje ofiary. Na korytarzu rozdzieliliśmy się. Harriet weszła w drugi, mniejszy, i czekała na wyznaczonym miejscu. Ja udałem się wprost do sterowni.

-Kam - powiedziałem. - Wstań.

Wstał. Sycił się myślą o bliskim mordzie,.

Bawił się wspaniale.

-Od tej chwili przestałeś prowadzić Kruka. Ja obejmuję dowództwo. Kam, słyszysz?

Słyszał, Znajdował się w odległości zaledwie dwóch kroków, Odwróciłem się i cofnąłem parę metrów.

-Kam, jestem tutaj. Czekam na ciebie.

Roześmiał się. Szedł, Otwarte wejście do biblioteki zastawił fotelem. Nie spieszył się.

-Dobrze, Kam. Nie schronimy się już w bibliotece. Pospiesz się. Masz mnie. Wiesz, jaki jestem stary.

-Idziesz? - spytałem.

-Idę. Wiedziałem, że przyjdiesz do mnie. Mówiłem, że stanie się to w dwadzieścia cztery godziny po zdjęciu kraty. I stało się.

-Nie tylko przyszedłem. Mam zamiar zmienić cię w stertę bezużytecznego żelastwa. Tu jestem, Kam, w korytarzu.

Jego metalowe serce poczuło magnes. Nie widział skąd, komora magnesowa znajdowała się przecież

daleko na końcu statku. Zrobił trzy kroki w przód. Tu zaczynał się korytarz boczny. W nim czekała Harriet. Usłyszał jej oddech.

-Ach, jesteś i ty.

-Jestem, Kam. Bliżej od Roberta. Najpierw dosięgnij mnie.

Wzdrygnął się, skurczył, jakby go fala chłodu objęła.

-Czuję magnes.

Harriet szła prosto na niego. Sam obraz był dla mnie wstrząsający. Ta mała, słaba istota przeciwko czterokrotnie większej masie żelaza. Harriet trzymała przed sobą ciężką, wydobytą z komory tablicę magnesową. Kam cofnął się.

-Czuję magnes.

Z całej siły uderzyła tablicą w pierś potwora, nim zdążył ją odepchnąć. Tablica przyssała się do sztucznego ciała. Unieruchomiła ręce, korpus, głowę. Nie miał siły zerwać jej. Miotał się w korytarzu, bił plecami w ściany. Odgłosy te zbudziły Jezusa. Stał w drzwiach kabiny.

Kam, słaniając się i wyjąc, szedł do mnie. Zwalilem na podłogę, pod żelazne stopy, przygotowaną skrzynię. Przewrócił się. Przeskoczyłem przez niego. Razem z Harriet uderzyliśmy od tyłu. Potoczył się. Siła przyciągania otwartej komory zbierała z korytarza lżejsze, oderwane części metalu, ale Kam, ciężki, ogromny, znajdował się już w sferze najsilniejszego oddziaływania siły. Jeszcze bronił się, ale tonął w ścianie. W końcu przylgnął do niej z impetem i tak został. Właz zakrył znieruchomiałą sylwetkę swoją szaroniebieską pokrywą.

Kroki i ostry śmiech przebiegły korytarzem. Jezus szedł do nas. Nagle Harriet osunęła się w moje



ramiona. Spojrzała na mnie, jak się patrzy ostatni raz...

-Serce, Robercie. Takie małe serce... - to były słowa ostatnie.

Chyba płakałem, trzymając jej głowę na kolanach. Jezus pochylił się nad nią.

-Twoja matka chyba nie żyje - powiedziałem.

-Nie była matką Jezusa - odpowiedział.

Odszedł. Tuląc Harriet do piersi, słyszałem, jak rozmawiał z Arturem. Nie rozumiałem, o czym mówią, nie miało to dla mnie znaczenia. Przeklęta była Ziemia, na niebo rzucono kłatwę. Przekłęte było życie i syn mój. Zdobycie innej Ziemi, drugiej planety, okupiono nami. Czuję, że kończy się moja podróż. Teraz, trzymając przed sobą zwłoki najlepszej, jedynej istoty, jaką naprawdę kochałem, wiedziałem, że nie mam po co lecieć dalej. Nie wsiądę na prom, nie ujrzę ósmego cudu świata. Jakże, mało on mnie obchodził. Są chwile, gdy człowiek zdaje sobie nagle sprawę z istoty i sensu bytu. Są dni, gdy ten sens traci.

-Stań! Zatrzymaj pojazd! - krzyknąłem do Jezusa.

Krzykiem podany rozkaz musiał zrobić wrażenie na szaleńcu. Kruk stanął. Powiedziałem Jezusowi jeszcze kilka słów. Zgodził się.

Wziąłem Harriet w ramiona i zaniósłem na tył pojazdu, : do głównego wjazdu. Za chwilę miała unieść się pokrywa, a nas pochłonać niebo. Czekałem. Mała kobieta na moich rękach za zdawała się spać tylko. Robert Bar pierwszy odchodzi. Grobem nie będzie Dania. Harriet Anderson odchodzi. Cmentarzem nie będzie żadna ze szwedzkich wysp Nie chcę wiedzieć, jak się zwie ta część nieba, w której zostaniemy. Otwórz się, przyjmij nas!

Wreszcie! Usłyszałem lekki huk, blask oślepił mnie. Harriet wysunęła mi się z rąk, straciłem świadomość...

Kruk pędził z oszałamiającą prędkością. Rozgarniał przed sobą ocean. Daleko za nim dwa, leżące nieruchomo we wszechświecie, ciała żony i męża.

Z Ziemi nadal na pokład napływały rozkazy. Stały się częstsze, gdy ekrany ze statku nadały wieść o dziwnym zjawisku. Przestrzeń, w jaką wkroczył Kruk, osnuła mgła. Gwiazdy stawały się mało widoczne lub znikwały. I wtedy kontakt z Ziemią został przerwany. Kruk wleciał w sferę ciemności, ciszy i niezwykłych, szklistych znaków na niebie. Przelot w tej strefie trwał cztery doby. Potem łączność została wznowiona. Obraz przestrzeni nie odpowiadał ziemskim mapom astronomów. Jak w lustrze ujrzał Jezus dokładną mapę Ziemi, widzianą z odległości pięćdziesięciu milionów kilometrów, to jest mniej więcej z orbity Marsa. Ekran zabłyśczał.

-Tu Artur. Włącz terrosonay, radioteleskopy. Przenieś się za pulpit po twojej lewej stronie. Zapal światła promienne D. Podaj wymiary. Masz? Nastaw dokładnie promienie.

-Tak - Jezus nie spuszczał wzroku z pulpitu. Trzy zielonego koloru pasemka szklane podały cyfry.

-Sprawdzam. Masa?

-5374.1054 kg.

-Dobrze. Która w odległości od Słońca?

-Trzecia - przeczytał Jezus.

-Tak. Spłaszczenie planety? Prędzej, na Boga!

-1/298,275.

-Stało się. To Ziemia! Nasza Ziemia. Promień równikowy?

-6378140 km.

-Tak. Skład atmosfery też będzie ten sam. Po przebyciu dwudziestu milionów kilometrów zaczniesz szykować się do przejścia na prom.

-Jezus jest gotów, Arturze.

-Z promu będziemy utrzymywać łączność dzień i noc. Tak?

-Tak, Arturze. Jestem gotów.

Jezus siadł w fotelu. Już szykował się na spotkanie z ludźmi. Zaśmiał się, klasnął w ręce. Liczył teraz trzydzieści osiem lat. Rozmyślał nad czymś chwilę, aż wreszcie jego chory śmiech nappełnił kabinę. Za kilka miesięcy stanie na Ziemi. Nigdy nie pomyślał, że ludzie tam żyjący mogą być inni niż ci z planety, z której pochodził. Tak przesiąkł światem Artura. Tak żył tamtą, zostawioną Ziemią, swoją boską przeszłością i przyszłością, że zatracił świadomość. Zamknięcie podsycalo pasje szalonego umysłu. Ziemia miała przyjąć najgroźniejszego wroga ludzi, tym groźniejszego, że kryła go, niczym nie wyróżniająca się, postać ludzka.

Prom wysunął się z czeluści Kruka. Brzuch ptaka rozłożył się na połowy i wypuścił czarny, konturami przypominający łuskę pocisku karabinowego, pojazd. Macierzysty statek kosmiczny, Kruk, wypuścił swój prom w odległości pięciuset tysięcy kilometrów od orbity ziemskiej. Dalej prom popłynął sam, zaopatrzone w żywność, lekarstwa, ubrania.

Jezus szalał po pokładzie.

-Tu Artur. Jezusie, słyszysz mnie? Odpowiedz.

Milczał z twarzą przyklejoną do okienka w kabinie. Ziemską kulę potężniała. Jego oblicze nie zdradzało napięcia.

Wnętrze promu było nieduże, dość ciasne, coś na kształt ziemskiego jednoosobowego schronu.

Było coraz bliżej Ziemi.

-Tu Artur. Słyszysz mnie?!

Teraz odpowiedział.

-Słyszę.

-Kruk czeka na ciebie, gdyby na Ziemi groziło ci jakieś niebezpieczeństwo.

-I co? Miałbym wrócić na pokład? A co dalej? Przecież nie przeżyję powrotu. Mam trzydzieści osiem lat!,

-A ja sześćdziesiąt i umieram właśnie na przekłętą raka...

-Nie ciekawi cię, co słysząc na tej Ziemi? Kruk już nie zabierze mnie z powrotem. Odesłałem go w przestrzeń. Nie ciekawi cię Ziemia? Arturze, Ziemia!

-Wystarczy, że jest i lecisz tam. Ja umieram. Tajemnicą naszego lotu nie podzielę się z nikim, bo nie mam godnego następcy. Zawsze byłem dziwakiem. Nie wiesz, Jezusie, jak ciężko jest umierać w samotności.

-Masz mnie.

Ochrypy śmiech Artura przerwał mu.

-Racja. Mam ciebie, ale daleko. Na promie znajdziesz wszystko potrzebne do życia. Tesari zapisał ci złoto, jest w skrzyniach. Oni na pewno znają wartość złota, jeśli są podobni do nas.

Prowadzili rozmowę niedługo. Artur wyłączył odbiór na zawsze. Odczytał skład atmosfery, podany mu przez Jezusa, zgasił ekran i umarł w salonie Tesariego.

„Fabryka nieba” przestała pracować. Ludzie odeszli, światła pogasły. Bramy i wysokie wieże broniły tajemnicy Artura przez następne wieki Ziemi.

Prom schodził do lądowania. Niewielki błąd w konstrukcji spowodował awarię drugiego silnika. Przy jednym lądowanie nie mogło się odbyć. Włączyły się

cztery reflektory i prom zawisł w powietrzu. Jezus spróbował opuścić go jeszcze niżej, ale brakowało trzystu metrów.

W dole majaczyły fale rzeki. Spróbował jeszcze raz. Odległość zmniejszyła się do stu osiemdziesięciu. Widział posępne, otaczające wodę skały. Zabrał kombinezon metalową skrzynię ze złotem, ciężki, szczelny batyskał-spadochron. Zapalnik nastawił na sześćdziesiąt sekund. Otworzył właz. Zdawało mu się, że słyszy szum wody. Skoczył, unosił się w zimnym, mokrym powietrzu. Gdy dotknął stopami rzeki, ogień w górze nad jego głową utworzył czerwono-złotą koronę. Prom przestał istnieć.

Gumowy pas spadochronu szybko niósł człowieka do brzegu. Palce dotknęły fińskich przybrzeżnych skał. Zerwał się wiatr. Jezus zstąpił z nieba.

I nie miał powrotu.

W małej stacji benzynowej, położonej na lewym pasie szerokiej, opustoszałej, odległej o trzy kilometry od miasta autostrady w górach, ktoś nie spał.

-Dziadku, co się stało? - Mały chłopiec, obudzony przez starego, cuchnącego winem mężczyznę, otworzył oczy.

Dziadek stał nad jego łóżkiem i wymachiwał rękami.

-Ze szczytów gór wyrzął ogień - wymamrotał. - Mówiłem ci już, dawno, że żyjemy na wulkanie.

-Gdzie, dziadku, wulkan? W naszych górach? - ziewnął zaspany chłopiec. - Gdyby babcia żyła, zabroniłaby ci wchodzić do spiżarni.

-Całe szczęście, że nie żyje - mruknął. - Pójdiesz ze mną? Zobaczymy, co to za ogień.

Mały otulił się kołdrą.

-A więc nie? - zapytał dziadek.

Zgasił światło w pokoju chłopca. Krzątał się jakiś czas po izdebce. Drzwi skrzypnęły. Poszedł w góry, zabierając ze sobą dwie butelki wina. Za pasek zatknął bosak, na wypadek walki z żywiołem. Zataczając się i potykając, złorzeczając i śpiewając, zszedł wąską dróżką nad brzeg rzeki i skierował się w niskie, wrzosowe krzewy. Stamtąd wyszedł na drogę prowadzącą do lasu. Nie znalazł ognia. Odpoczywał na polanie, otoczonej gęstymi drzewami. Nie posłyszał kroków. Bosak stał oparty o drzewo, rozbita, pusta butelka po winie leżała wśród liści... Nadchodziła druga w nocy. Szumiały liście, wiatr o tej porze roku był niezwykle siksy. W oddali spało miasto.

### 3.

Kraj był wyspą, obszarem i położeniem przypominającą Anglią. Ruchy prądów konwektywnych lub ekspansje lawy w minionych dziejach odnalezionnej, nowej Ziemi, Powodujące zjawisko dryfu kontynentów sprawiły, iż ich układ identyczny był do układu kontynentów na Ziemi, opuszczonej przez Kruka. Wybrzuszenie kontynentu zwanego przez ludzi Ameryką i wgłębienie Afryki Zachodniej stały się przyczyną powstania teorii ogłoszonej tu sto lat wcześniej nim to samo powiedział Wegener. Europa leżała nie zmieniona, jedynie wschodnie wybrzeże Ameryki Północnej, Wyspy Japońskie, drobne wyspy greckie oraz tereny lodów podbiegunowych różniły się zarysem i położeniem.

Miasto było stolicą wyspy. Nazywało się Ollon. Nie przypominało Londynu. Być może, ogromny zegar i most przerzucony przez Tunirę - Tamizę, mogły tylko nasuwać porównanie. Hamujące działanie Księżyca

przedłużyło na tym świecie dzień i noc. Wynosiły po czternaście godzin.

Był rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty. Era religii panującej trwała więc tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć lat. Chrześcijaństwo kryło się pod znakiem siedmioramiennej gwiazdy.

Ollon mało różnił się od miast zamieszkanym przez ludzi na naszej Ziemi. Samochody nieco wcześniejsze, o mniejszej prędkości. Moda natomiast niemal identyczna z Wiekiem dwudziestym. Nie odkryto jeszcze astatu i prometu, kopalnie złota pojawiły się dopiero przed trzydziestu laty. Za to elektrownie geotermiczne zyskiwały popularność. Niepopularne było jeszcze palenie narkotyków. Filmy oglądano od czterdziestu lat w systemie panoramicznym, a nie znano koszykówki. Noszone długie włosy, koncertowano na instrumentach z początku naszego wieku, zaś kształt muzyki był swoistą kakofonią. Wojsko uzbrojone w broń przypominającą okres poprzedzający drugą wojnę światową. Policja w mundurach zielono-niebieskich. Potęgi militarne stanowiły kontynenty naszej Ameryki i Europy. Język w Ollonie, jak i w przeważającej części świata, obowiązywał jeden. Prawie wszystkie rasy i szczepy porozumiewały się swoistą odmianą języków indoeuropejskich. Spełniły się więc marzenia Ogdena o basicu, Zamenhofa o esperanto, Couturata o ido - volapuk obowiązywał.

Domy, zabytki klasyfikacji zróżnicowanej, pachnidła, tematy książek, myśli, idee, zabawki, nawet telewizory były podobne. Chleb ziemski, ryk zwierząt nie zmieniony, astronomia na etapie udowadniania istnienia wiatru słonecznego i odkryć Tombaugh. Ludzie kochali się i żenili. Cmentarze były usiane gwiazdami zamiast krzyży. Sądy i prawa

idealne takie same, co w dobrych czasach naszej Ziemi. Temperatura, krajobrazy, życie, znaczenie kolorów światła na przejściach dla pieszych, chorzy i zdrowi, wysocy i niscy, mądrzy i głupi. Sklepy, banki, szpitale, wydawnictwa, parki, opery, kina. Podobny kształt szcztoteczek do zębów i karoserii samochodów. Kościoły gotyckie i renesansowe. Zapach trawy zupełnie ziemski. Kwiaty w ogrodach ollończyków tak samo kwitnące.

Takie było miasto Ollon i taki był świat. Jedynie dłuższą noc i dzień zegar na ratuszu obwieszczał.

Był tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty rok, skończyła się straszna, długa ciemność wojny ollońskiej z wyznawcami religii Księżyca. Miasto i kraj od dwudziestu lat żyły w spokoju. Echa wojny umilkły.

Łódka płynęła bardzo wolno. Szare brzegi Tuniry chowały się za poranną mgłą. Miasto jeszcze spało, chociaż słońce zaczęło przebijać się przez cienką, lekko niebieską powłokę nieba.

- Patrz! Tam! - krzyknął jeden z dwóch mężczyzn siedzących na łódce i wychylił się przez burzę.

-Przybij! - rzucił starszy mężczyzna, wpatrując się w jakiś punkt na brzegu.

Łódka zmieniła kurs i ostro skręcając skierowała się pod kątem prostym do brzegu. W ciszy słychać było tylko miarowe uderzenia wiosel i skrzypienie haków.

Młodszy wyskoczył na wilgotny piasek. Przykucnął na ziemi, łapiąc nerwowo powietrze do płuc. Przecierał spory zarost wilgotną dłonią i raz po raz zamykał powieki. Starszy, siwiejący już, nie lepiej ubrany od swego kompana, wyszedł powoli na brzeg, po czym usiadł ciężko na dziobie łodzi. Słońce coraz wyżej wychylało się zza chmur, a oni patrzyli na coś, co w



mglistym olłońskim świcie było przerażające i nabierało wymiaru pełnego grozy snu.

-Zabierajmy się stąd - powiedział starszy wstając.

-Niedobrze mi - powiedział cicho młodszy - nie wstanę.

-Wstaniesz! Wstaniesz zaraz i odpływamy stąd. Niech inni łowią te przekłete ryby. Zabieramy się do domu.- Kto to jest? - zapytał młodszy i podniósł głowę na przyjaciela.

-Nie wiem. kto to jest. Zapytaj raczej, kto to był. Wstawaj. Jeszcze by lego brakowało; żeby nas złapał patrol.

-Ale my tylko na ryby - głupekowato wybełkotał drugi.

Starszy westchnął cicho i wsiadł do łodzi. Krzyknął ostro na towarzysza. Ten wstał i chwiejąc się trochę zrobił kilka kroków.

-On też pewno tylko na ryby - powiedział do siebie stary. - Odepchnij!

Łódź oddalała się szybko. Wiosłowali co sił w rękach, prując ostro pod wiatr. Po kilkunastu minutach byli już daleko, prawie przy drugim brzegu. Dochodziła piąta. Olłoński zegar jakby zatrzymał się i patrzył na ciche miasto.

-Dobijamy. Wyskakuj. Pędź prosto do domu i strzel sobie, mały!

-Dobrze, tak zrobię. Okropnie się czuję.

-Co za świat - westchnął stary zamykając kłódkę.

Kopnął ją i patrzył na uciekającego chłopaka. Biegł jak szalony i po chwili zniknął za drzewami.

-Zadzwoń na policję, głupek. I będzie miał kłopoty - mruknął do siebie stary.

Zabrał wędkę, przełożył przez ramię i stanął, aby jeszcze przez chwilę popatrzeć na rzekę. Odnalazł wzrokiem miejsce, które niedawno tak szybko

opuścili. Podniósł głowę i prawą dłonią uczynił na piersiach znak siedmioramiennej gwiazdy.

Odszedł powoli, potem zaczął iść coraz szybciej. Nie gwizdał starej, marynarskiej piosenki. Dzisiejszego ranka tego nie zrobił.

\* \* \*

Nazywał się Bru Twist i z bohaterem powieści Dickensa miał tyle wspólnego, co krowa z kotem. Zresztą Dickens nie napisał w tym świecie ani jednej książki, nie istniał już lub jeszcze. Twist mieszkał na przedmieściu Ollonu w starej, dość ubogiej, ukrytej w lesie willi. Ostatniej wojny nie pamiętał.

Jego żona miała na imię Elia i, oprócz wspomnianego Bru Twista, posiadała jeszcze ojca na wysokim stanowisku. Stary Bez zajmował urząd zastępcy szefa Ollońskiej Rady Kryminalnej, Bru żył już z Elią trzy lata.

W willi było na ogół cicho, tylko czasem służąca, Dora Vale, tłukła gary o ściany kuchni, gdy rzucał ja kolejny kolorowy kochanek. Mieszkali we dwoje ze służącą. Od czasu do czasu odwiedzał ich profesor Hal. Profesor traktował Twista jak swoje dziecko, a ten nazywał go ojcem. Stracił bowiem rodziców, gdy miał cztery lata, zaś profesora znał z górą osiem

Poznali się, gdy Bru zaczął studiować medycynę, polubili, gdy Bru przestał studiować medycynę, zadzierzgnęli rodzinne więzy, gdy Bru zaczął studiować prawo. Ojciec Elii, stary Bez, nie miał nic przeciwko temu, by jej mąż zajmował się kryminalistyką. Zgadziali się w tym świetnie z profesorem Halem, wymieniając pełne aprobaty spojrzenia na niedzielnych obiadach w domu państwa Twist. Młode małżeństwo wołało jednak ciche,

rodzinne szczęście, dlatego też wystawne, nadwyrężające budżet przyjęcia dla ojca Elii i przybranego ojca Bru zdarzały się dość rzadko. Od kilku miesięcy żaden z nich nie zawitał do willei na przedmieściu, bowiem młodzi przeżywali tragedię - Elia nie będzie miała dziecka.

Następstwa tego nie dały na siebie długo czekać. Młody mąż z trzaskiem wyleciał z uczelni i zaczął nie na żarty rozglądać się za jakąkolwiek robotą. Nie omieszkał nawet odwiedzić ojca Elii w jego mieszkaniu przy końcu najszerzej ulicy w mieście.

Stary Bez zaprowadził go do ciężkiego, skórzanego fotela i prawie siłą wcisnął w. siedzenie. Podał mu w szklance coś do trzymania (Bru nie pił) i przeszedł się kilka razy po pokoju. Przystanął, zaczesując dłonią lekko siwiejący włosy, i spojrzał z uśmiechem na chłopaka.

-Masz dwadzieścia sześć lat. Czas najwyższy, żebyś coś robił - powiedział wolno, siadając w skórzanym fotelu.

-Ale co? - wyrwał się Bru. - Wam najłatwiej tak mówić. Czas najwyższy... Wiem, że jest to czas najwyższy, dlatego przyszedłem do ciebie.

-Elia ci poradziła?

-Nie. Ona nic o tym nie wie. Jest zbyt dumna.

-Tak, jest dumną dziewczyną - powiedział ojciec. - A ty się nie unoś, chłopcze. Siedz. Będziemy myśleć...

Stary Bez siedział i myślał bardzo długo. Przebierał palcami, wyglądał przez okno na ruchliwą ulicę. Raz po raz podnosił i odkładał na stół poranną gazetę.

-Nawet kolorowi jakoś sobie radzą w tym kraju. Mamy tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty rok. Cywilizacja posuwa się naprzód, a ty tu siedzisz i pytasz mnie o pracę.

Bru zamknął oczy i siedział w spokoju. W duchu prosił siebie o spokój, a starego o koniec przemówienia.

-Więc chodź do nas - zaproponował teść. - Studiowałeś prawo, może się przydasz... Będziesz pomagał jednemu inspektorowi i zarobisz te kilkadziesiąt okrągłych. Poza tym taka praktyka może ci się przydać, jeżeli, wrócisz na uczelnię. Zgoda, co? - podniósł gazetę i popatrzył na Twista z uśmiechem. - Jeśli dopisze ci szczęście, może złapiesz tych złodziei powiedziały uderzając wielokrotnie i szybko w pierwszą stronę wtorkowego dziennika.

-Co to jest? - zapytał Bru, unosząc się z fotela i podchodząc bliżej.

Bez trzasnął gazetą o blat stołu. Znowu się uśmiechnął.

-To nerwy.

-Ale ja pytałem, co jest w tej gazecie.

-Słyszałeś już na pewno o tym. Ledwo odkryto złoto i zdołano wymyślić dla niego sejfy w bankach, już znalazło się kilku indywidualnych inżynierów.

-I co?

-Obejrżeli sejfy dokładnie.

-Ile zrabowano?

-Masz, przeczytaj. Nasza gazeta nie kłamie. Przyjmujesz moją propozycję?

Jeszcze tego samego dnia sprzątaczką w gmachu Rady Kryminalnej wyzwała Twista od świń, bowiem wbiegł w zabłoconych butach na korytarz swej nowej pracy. Minał czworo oszklonych drzwi i dwie sekretarki po drodze. Omal nie wywrócił wózka z kawą, ślizgającego się po zielonym linoleum, dotarł w końcu do właściwego biura. Wiedzieli' tam o nim. Za stolikami naprzeciw siebie siedziało dwóch inspektorów. Przy jednym inspektorze, tym z prawej

strony, gromadziło się sporo ludzi. Przy inspektorze z lewej nie było nikogo. On właśnie spojrzał na Twista i dał mu ręką do zrozumienia, by siadł przy nim.

-Kradzieże? - sprawdził Bru swą przynależność do inspektora bez zajęcia.

-Tak, kradzieże. A ten, patrz pan - wskazał kolegę - morderstwa i jaki ruch.

Gryzł wściekle ołówek i spoglądał nie bez zawiści na kolegę. Miał na imię Rik. Był krótkowidzem i ścigał złodziei. Jego kompana z przeciwka zwali Mar. Inspektor Rik zazdrościł Marowi i posyłając mu raz po raz wiele mówiące spojrzenia, zjadał już trzeci ołówek od chwili rozpoczęcia urzędowania.

-To ja się przesiadę - zaproponował Bru wstając.

-Siedź - rzucił Rik, wycierając chustką okulary. - Bez przydzielił cię do mnie.

Bru siedział zrezygnowany. Chwilę patrzył na Rika i zapytał:

-Coś nowego w sprawie napadu?

-Nie - opryskliwie uciął tamten.

-To może pójdziemy tam razem? - wskazał ręką stolik Mara. - Do towarzystwa.

Rik zawahał się krótko. Po chwili obaj przyciągnęli krzesła i usiedli obok Mara.

-To jest Bru, zięć Beza - szepnął Rik koledze prowadzącemu przesłuchania.

Mar, wyższy od Rika, ale też krótkowidz, skinął głową Twistowi i nie przerywał śledztwa. Przed nim siedział mały chłopiec, na ławce oczekiwał nie ogolony młodzieniec i skuty mężczyzna. Stojącemu, zabrakło miejsc siedzących, wieśniakowi wystarczyła ściana do podparcia pieców. Chłopiec drżał, ja Kał się, przestraszonym wzrokiem oglądał krawędź stolika. Musiał mieć około dwunastu lat.

- O której dziadek wyszedł? - spytał Mar.

- Po północy. Mówił, że zobaczył ogień, ale on zawsze widział ogień, jak sobie podpił. Kiedyś, jak żyła babcia, palił się las i dziadek gasił.

- Co potem widziałeś?

- Wstałem. Po godzinie chyba. I gdy podszedłem do okna, zobaczyłem w szybie jego - wskazał ręką skutego mężczyznę.

- Popatrz jeszcze raz. Czy to na pewno był on? Przypomnij sobie.

- On. Spojrzał na mnie przez okno. I zaczął uciekać.

- Wtedy chłopak zadzwonił do wsi - odezwał się zwalisty wieśniak spod ściany. - I złapaliśmy go.

- Chwileczkę. Pan za chwilę - przerwał wieśniakowi Mar i zwrócił się do chłopca. - Stacji nie odwiedzał od rana żaden samochód?

- Nikt nie przejeżdżał.

- Możesz odejść, chłopcze.

- A ja? - wieśniak postąpił kilka kroków. - Teraz, skoro nie ma dziadka, my się nim zajmiemy. I dziadka też zabierzemy. Przyjechaliśmy ze wsi wozem. Wyprawimy pogrzeb na koszt wsi. Państwo co prawda powinno coś dać na pogrzeb. I na utrzymanie chłopca. Stacji benzynowej nie będzie przecież sam obsługiwał.

Mały spojrzał na Bru, ten uśmiechnął się.

- Zaczekaj na mnie. Chcesz mieszkać ze mną?

Mar. Rik, wieśniak i chłopiec spojrzeli na Bru.

- Wezmę chłopca - wytłumaczył. - O ile się zgodzi.

Chłopiec kiwnął nieśmiało głową i oczy mu zabłyszczały.

Wieśniak wykręcił kapelusz w dłoniach.

- Niech będzie. To można zabrać ciało?

- Można.

Wieśniak spojrział jeszcze raz na chłopca, uklonił się i wyszedł.

Mar zaprosił do stolika młodzieńca z ławki.

-Więc to pan znalazł ciało?

-Ja, z kolegą. Łowiliśmy ryby. Nic nie nałapaliśmy - zaklął. - Tak płyniemy i płyniemy, a przy brzegu leży dziadek

-Skąd wiesz, że dziadek?

-Słyszałem. Dziadek tego chłopca. Straszny był. Musiało go coś przebić. Na piersiach miał ślad...

Twist nachylił się do chłopca. Rybak przerwał na czas, nim chłopiec nie wyszedł z pokoju. Potem kontynuował: - Straszny był, dobrze, że chłopak wyszedł. Jak mówiłem, musiało go coś przebić. I zatelefonowałem, choć kolega mi odradzał.

-Czemu?

-Kłopoty, poza tym to takie spokojne miasto. Nikt nikogo od dawna tak strasznie nie zabił.

Dobrze, proszę sędzi, że chłopak wyszedł.

-Nie jestem sędzią. Może pan odejść. Teraz ty.

Skuty mężczyzna usiadł na krześle. Mar i Twist przyglądali mu się z uwagą. Rik wyjął z ust ołówkę. Mężczyzna był dość niski i zabrudzony. Wąskie, małe oczy patrzyły z przebiegłością.

-Co robiłeś przy stacji?

-Już mówiłem.

-To powtórz jeszcze raz - Mar podniósł głos.

-Poszedłem się przejść.

-Przejść! Dlaczego uciekałeś?

-Chodziłem sobie nad rzeką i dostrzegłem ciało starego. Prąd je porwał z brzegu i poniósł w kierunku miasta. Pomyślałem, że to. może ktoś ze stacji. Zajrzałem przez okno, ale uciekłem, bo się bałem posądzenia o morderstwo. Każdy by się bał.

-Miejsce zamieszkania.

- Mieszkam w mieście.

- I poszedłeś się przejść o drugiej w nocy trzy kilometry od miasta.

- Podwiózł mnie ktoś po drodze.

- Właśnie w okolicy stacji? Dokładny dres.

Milczał.

- Od której byłeś na swojej przechadzce?

- Od południa. Spędziłem nad rzeką popołudnie.

- Przecież słyszałeś, autostradą nie przejeżdżał żaden samochód.

- Jechaliśmy przedmieściami, z drugiej strony.

- Dlaczego nie podajesz adresu zamieszkania?

- Mieszkam u różnych ludzi.

- Gdzie mieszkałeś przez ostatnie dwa dni?

Podał adres. Ręka mu się trzęsła, gdy pisał.

- Sprawdzimy. Coś mi się zdaje, przyjacielu, że odpowiesz za morderstwo, 1 jeszcze jedno. Wieśniacy zeznali, że uciekając trzymałeś coś w rękach. Co to było?

- Nic. Co to mogło być? Jedzenie.

- Jedzenie na piknik - uśmiechnął się Mar - i zgubiłeś je?

- Nie miałem czasu jeść, gonili mnie.

- Do celi. Jesteś zatrzymany.

Wstał, zawahał się, otworzył usta i nie powiedział nic. Na sygnał Mara wyprowadzono go z biura.

Zostali sami. Rik, chcąc osłabić swoje zaciekawienie. ziewnął i pokazując Twista palcem rzekł ze znudzeniem do kolegi.

- Bez go przysłał, ma z nami pracować, a że ja nie miałem akurat nic do roboty...

- I co pan sądzi? - zapytał Mar, zbywając przemowę Rika machnięciem ręki.

- Kłamie - odparł Twist.



-Kłamie - przyznał Mar, zakładając płaszcz. -  
Sprawdzę adres, który mi podałeś.

-Czy to morderstwo?

-Lub nieszczęśliwy wypadek. Mógł nadzieć się na bosak po pijanemu, ale mimo to musiałby mieć dużo siły. Kto zabił niewinnego starca ze stacji i po co?

Mar wyszedł. Rik usiadł za swoim stołem. Bru posłusznie przy nim. Siedzieli w milczeniu.

-No, idź do domu, chłopak czeka - nie wytrzymał inspektor. - Weź go do parku czy gdzieś. Widzisz, co za nuda. Obrabowali bank i zadzwonią do nas, wyrażając skruchę i chęć zwrócenia złota. Idź, ja posiedzę tu sam.

-Pojechałbym z nim - powiedział Bru, wskazując drzwi, za którymi zniknął Mar.

-Ja też - westchnął Rik. - Och, jacy my jesteśmy dranie. Z jednej strony życzę sobie i mojemu prześwietnemu koledze bezrobocia, a jednak nuda wygrywa z moralnością. Chciałoby się powiedzieć: dajcie jak najwięcej napadów, zbrodni, trupów i podejrzanych. Czy nie zauważasz, Bru, czegoś wstrętnego w tym biurze? - westchnął drugi raz. - Opuść je lepiej.

Twist wyszedł. W korytarzu czekał na niego chłopiec.

-Więc jak masz na imię?

-Chłopak.

-Nie masz imienia?

-Dziadek nie dał.

-A mama nie nazwała cię?

-Nie znałem jej, ojca też.

-Napijesz się kawy? - zapytał, gdy zobaczył czterokołowy wózek, wyjeżdżający zza rogu.

-Tak - powiedział mały.

Przyniósł dwie kawy w drewnianych kubkach, jedną podał chłopcu.

-A może chcesz się przejść? Mamy dużo czasu.

-Tak.

-Wieczorem zabiorę cię do domu. Tam będziesz mieszkał i poznasz moją żonę.

-Zechce mnie? - zapytał bardzo szczerze.

-Nie wiem - zachmurzył się Twist i począł wyobrażać sobie ich wieczór w domu.

Doszło do tego, że pożałował swojej decyzji. Chłopiec to wyczuł,

-Jak chcesz, to sobie pójde.

-Choćbym i chciał, to i tak ci nie pozwolę - zorientował się w sytuacji. - Nie chcę, oczywiście że nie.

-Ty - chłopiec rzekł zaczepnie - namyśl się dobrze, zanim coś takiego powiesz na drugi raz.

-Co? - Twist ze zdumieniem otworzył oczy.

-Że mnie bierzesz - burknął. - Igrasz z uczuciami sieroty.

-Sieroty - powtórzył odruchowo ojczym.

-Dziwne masz słownictwo.

-Jakie?

-Dorośle. Chodź - podał mu rękę. - Idziemy. W gruncie rzeczy wcale nie dbam o to, co powie Elia.

Ale nie mówił prawdy.

Za przełęczą ścieliło się pasmo bieli. W dolinie, osłoniętej koronami drzew, stała drewniana, opustoszała na pozór gospoda. Doskonale ukryta, niewidoczna nawet z bliskiej odległości, zamaskowana w wysokim lesie, czekała na zbłąkanych w górach. Podchodząc bliżej, z odległości dziesięciu kroków, można było dostrzec małe światełko z brudnego okna na poddaszu.

Zastukał. Otworzył czarny chłopak, Coli, spojrział w twarz nieznanemu i przestraszony, próbował zamknąć drzwi. Kopnięte nogą z całej siły, puściły. Coli, mieszanina boya hotelowego i cwaniaka z dzielnicy nędzy, cofnął się pod ścianę. Błyskawicznie ocenił człowieka. Dojrzał metalową skrzynię pod pachą przybysza, oblizał wargi i zaczął lamentować.

- Po co ciebie wpuściłem? Jak się tu znalazłeś? Co cię tutaj przyгнаło? Odejdź, to złe miejsce.

Nieznajomy patrzył.

- Co to jest? - darł się półgłosem Murzyn.

- Co to znaczy? Obcy jakiś. Nie znasz języka? Nie umiesz nic. ani słowa?

Zaczął gestami pokazywać, by nieznanomy usiadł, sam zaś mówił do siebie:

- Po coś otwierał, Coli? Głupi jesteś, już oni cię urządzają. Powinni zaraz nadejść. Kuso z twoją czarną, frędzlowatą głową, Coli. No siadaj, te... To w końcu gospoda. Nie ma nic do jedzenia, to może byś poszedł do wioski?

Jezus usiadł i rozglądał się po zastawionej rupieciami gospodzie. Coli podszedł bliżej, nachylił się nad nim.

- Skąd jesteś? Wyspa Orm, zgadłem? Tam nie znają naszego języka. Chcesz, to cię nauczę? To jest stół - wskazał drewniany mebel w kącie.

- Stół - powtórzył przybysz, zrozumiał, że chłopak go uczy.

- Okno - pokazał.

- Okno.

- Ja jestem Coli.

- Coli.

- No właśnie, Coli, a ty nie wiadomo kto. I mnie za ciebie tak urządzają, że nie pytaj - machnął rękami. - A, nie moja wina, silny był. Sam się wdarł. Coli jest taki

słaby - przypatrzył się metalowej skrzyni między nogami przybysza. - Co tam masz?

Jezus zrozumiał. Nagłym ruchem otworzył. Oczom przerażonego i zdumionego chłopaka ukazała się olbrzymia sztaba złota. Przypadł do niej i zaczął oglądać. Wybrudził kolana wełnianych spodni, spocił się, dłonie wycierał w tłuste włosy i czystymi, jak mu się zdawało, palcami dotykał skarbu.

- Jasne jak słońce, czyste złoto. Ale połysku takiego jeszcze nie widziałem - roześmiał się nagle, ukazując białe zęby. - Dobrze żeś trafił, jesteś moim przyjacielem, będę ci służył. Przedstawię cię moim przyjaciołom. Jeden ma przyjść dziś, drugi jutro. Głupi jesteś, Coli, on nic nie rozumie. Naucz go języka - upomniał znowu sam siebie.

- Okno - powiedział nieznajomy, wyciągając rękę w kierunku szyby.

- Tak, tak, okno - ucieszył się chłopak,

- Nauczę cię więcej. Zapłacisz mi, prawda?

Do świtu powtarzał za nim pojedyncze wyrazy. Jakoż rankiem człowiek układał już zdania. Coli był nie mniej przerażony niż wtedy, gdy w metalowej skrzyni ujrzał złoto - uczeń pamiętał już pięćset słów. Murzyn pocił się ze strachu, ale siedział z nieznajomym cierpliwie, od czasu do czasu odchodząc do okna i stamtąd obserwując okolicę.

Przesiedzieli do południa.

- Pierwszy nie przyszedł - chłopak był zaniepokojony. - Jutro ma przyjść drugi.

- Chodź tu... Ucz mnie - rzekł mężczyzna, siedzący przy zapalonym ogniu w kominku.

- Umiesz, jut tyle umiesz. Przez noc nauczyłeś się tyle, co w miesiąc.

Coli westchnął i zabrał się do pracy. Wieczorem rozmawiał z nieznajomym swobodnie; Na dworze spadł deszcz ze śniegiem Ogień w kominku dogasał.

-Pójdę do wioski po jedzenie i drzewo. Nie otwieraj nikomu prócz tych dwóch, o których ci mówiłem. - Coli zatrzymał się, - Co byś chciał? Wino, kobietę? Jest we wsi jedna, ale zapłacisz mnie, nie jej. Ona jest zbyt wstydliva, żeby brać pieniądze.

—

Poszedł, po godzinie wrócił. Drzwi skrzypnęły. Najpierw weszła kobieta, drobna miejscowa dziewczyna o kasztanowych włosach, potem Coli, obładowany jedzeniem i drewnem. Rozgrzewała zziębnięte dłonie nad kominkiem i ukradkowo, z zaciekawieniem, zerknęła na stojącego w ciemnym, zakątku schodów mężczyznę.

-Jest trochę wstawiona, bo wykradłem ją z zabawy, ale uważa się ją za świetną. Idźcie. - ponaglał Coli.

Przerzuciła torbę przez ramię i weszła z mężczyzną po schodach. W pokoju było łóżko i miednica, gwiazda siedmioramienna wisiała na ścianie.

-Ależ ty na mnie patrzysz - zsunęła torbę. - Jeśli nie sprawi ci to kłopotu, napiję się jeszcze. Przybiegłam prosto z zabawy na wieść o złocie. To ty jesteś tym niesamowitym obcym? Coli mówił mi o tobie.

Pociągnęła łyk i zatoczyła się. Zdjęła szal, rozpuściła włosy, na których śnieg tajał. On usiadł na łóżku i patrzył. Przed oczami widział nietoperza którego trzeba zabić. Takiego nietoperza spotkał w lesie przy rzece i zrobił to. Krzyczące, otumanione zwierzę. Jak ta kobieta. A przecież tęsknił do kobiet.

Odstawiła butelkę na stół, ta spadła i rozbiła się, wnosząc zapach w stęchłe powietrze pomieszczenia.

-No, chodź.

Dziewczyna rozłożyła ramiona i zaczęła zdejmować bluzkę. Zataczając się i śmiejąc bez końca, szła ku niemu. Wstał. Uderzył ją w twarz. Czerwone pręgi ukazały się pod skórą, rozdarł jej policzek. Odepchnął silnie, aż upadła na łóżko. Krzyczała. Chciał ją udusić, lecz zamknął drzwi i zszedł na dół. Jednym uderzeniem dłoni odtrącił kubek z winem od ust Coliego i roztrzaskał na ścianie. Potem złapał chłopca za włosy. Wtedy zawierucha śniegu i deszczu wtargnęła do gospody. Ogień zatańczył posepnie. Mężczyzna w kapturze stał pośrodku izby. Torbę postawił przy sobie.

-Jesteś, Del - Coli wyrwał się z rąk Jezusa i dopadł kolan nowego przybysza. - Czekałem na ciebie.

-Kto to jest? - zapytał Del, zdejmując kaptur.

-Obcy. Ma złoto, całą bryłę złotą - Coli wirował naokoło ośnieżonego mężczyzny jak ćma.

-Pierwszy nie przyszedł? - zapytał Del, wpatrując się badawczo w obcego.

-Nie - wirował Coli. - Coś się musiało stać. Tylko ty przyszedłeś.

-Skąd masz złoto?

Jezus nie odpowiedział. Otworzył swoją metalową skrzynię. Jasność była silniejsza od Ognia, rzucającego blask na ściany gospody. Del, zahipnotyzowany, wpatrywał się w kolor bryły:

-Chcesz iść z nami? Nie pytam, skąd masz skrzynię. Rozumiesz, musimy opuścić gospodę. Naszemu przyjacielowi coś się przydarzyło. Naprzód.

Murzyn zamykał drzwi ostatni. Zatrzymał go płacz dziewczyny na schodach.

-Widzisz moją twarz? Jak pokażę się we wsi?

-Zostań. Jedzenia starczy ci na kilka dni. Przechekaj tu, aż się zagoi, i zapomnij o nas.

—

Trzech mężczyzn szło łańcuchem górskim do następnej przełęczy, zwanej Lai. Stamtąd skierowali swe kroki na północ, przez rozległe tereny wiecznych śniegów, wspinając się na szczyty trzech bliźniaczo podobnych gór Aran i brnąc płytkimi, na wpeł zamrażniętymi wodami jezior. Wędrówka trwała dwadzieścia godzin. Dotarli do samochodu. Pojazd zawiózł ich do pałacu Quell.

Wysiedli z chłopcem z podmiejskiego autobusu. Od przystanku do willi Twista nie było więcej niż sto kroków. Przez okna willi światła patrzyły na ulicę wesoło. Z komina na wysokim dachu strzelały kłęby dymu.

-Nasz ogród. Widzisz? - rzekł Twist. - Nic nie widzisz, w lecie zobaczysz. Tamto okno na strychu będzie twoje. Mieszkała tam służąca, ale odeszła, bo zabrakło mi grosza. Urządę ci świetny pokój.

-Wiesz co? - chłopiec przestąpił z nogi na nogę. - Ja poczekam, a ty idź i sprawdź, jak jest.

Przypatrzył się małemu, wydał policzki.

-Tak myślisz? - zastanowił się. - Dobrze, poczekaj na mnie chwilę, ale się nie oddalaj.

Pobiegł dużymi skokami. Drzwi otworzył dobroduszny profesor Hal. Włosy miał

zmierzwił i sapał głośno. Elia stała oparta przy fortepianie. Domyślił się, że jest kompletnie pijana.

-Wychodzisz? - spytał, widząc płaszcz narzucony na ramiona dziewczyny.

-Wychodzę.

Minęła go i podłużną torebką uderzyła po rękę Hala.

- Profesorze, niech pan obwieści Twistowi domowe nowiny.

Profesor stał na środku pokoju i uśmiechał się skrepowany.

- Zaczekaj - Twist chwycił ją za koniec płaszcza i zsunął go z niej.

- Niby po co? Co masz mi do powiedzenia?

- Mamy gościa.

- Jeszcze jednego - uniosła brwi Elia. - Profesorze, mamy jeszcze jednego gościa.

- Przeprowadzałem dziecko - powiedział Twist.

- Dziecko - podeszła blisko męża i odebrała mu płaszcz. - Aby mi nie było smutno? Czy żebym nie piła, nie tańczyła, nie bawiła się? Otóż ci powiem: ja nienawidzę dzieci, panie Twist. I wypchaj się swoją dobrocią.

Trzasnęły drzwi.

- Tak mi przykro, Bru.

- Chwileczkę, profesorze. - Wyszedł przed drzwi i krzyknął - Chodź!

Chłopiec wszedł do mieszkania. Rozejrzał się.

- Widziałem jakąś panią po drodze. Czy to...?

- Tak, to moja żona. - Zwrócił się do profesora. - Drogi Hal, nie pozwól jej prowadzić samochodu. Zawieź ją dokąd zechce.

Profesor skinął głową.

- Naturalnie. Przedtem jednak chcę wyjaśnić, że na strychu zamieszka profesor Lucienne, mój dobry znajomy: biolog, astronom, pomyleniec. Miał kłopoty z mieszkaniem, więc zadzwoniłem do Elii. Zgodziła się, ciebie nie mogłem złapać.

- Oczywiście. - Twist z dezaprobatą spojrział na chłopca. - Jakoś się pomieścimy.

- Dziękuję, Bru. - Profesor uśmiechnął się do chłopca i wyszedł.



Po kolacji mały zasnął na materacu w pokoju gościnnym, Twist, siedząc w fotelu przy oknie, przypomniał sobie o gościu na strychu. Poszedł na strych. Otworzył mu Lucienne w szlafroku, pod którym miał ubranie.

-Przepraszam, że zbudziłem. Nazywam się Twist.

-Nie spałem - odparł Lucienne. - Twist? Bardzo mi przyjemnie. - Podał rękę i w tej chwili przypomniał sobie. - Ach, Twist? Właściciel? Proszę wejść. Wdzięczny jestem za gościnę.

-Jeśli nie przeszkadzam - rzekł Twist.

Lucienne był roztargniony i sympatyczny.

Właściciel wszedł i zdziwił się. Zostawił strych, a zastał pracownię, urządzoną bogato | z naukowym przepychem.

-To bzdura z moimi kłopotami mieszkaniowymi. Hal mówił, że mieszkacie w willi. Zobaczyłem ją i zakochałem się. Szczególnie podoba mi się strych. Wspaniale stąd

obserwować niebo.

Luneta stała w otwartym oknie i była skierowana na chmury.

-Uwierz pan, że wczoraj widziałem- na niebie latający pojazd? - profesor zamrugał powiekami. - Talk, tą moją prywatną lunetą.

-Nie uwierzę - Twist zasłonił otwartą ręką ziewnięcie.

-O tak. niedaleko stąd, na niebie, w górach, nad rzeką.

-I co dalej, profesorze?

-Nic, studenci zbojkotowali mój dzisiejszy wykład - zawiązał ciaśniej pasek szlafroka. - Gwizdali, wie pan?

-Życzę szczęścia, profesorze. Pójdę się położyć. Jestem dziś bardzo zmęczony.

-I ja życzę szczęścia. Proszę pozdrowić małżonkę.

Twist obiecał to zrobić i opuścił strych. Pościelił sobie w pokoju gościnnym. Chciał przekazać Elii pozdrowienia od Lucienna, lecz wróciła nad ranem, gdy już zmęczony długim czekaniem zasnął.

Kiedy wstawał, nie obudziła się. Wyszedł bez śniadania do pracy. Złapał taksówkę. W biurze wypił kubek kawy. Czekał go dzień, którego miał nie zapomnieć nigdy.

Mar i Rik już byli. Ich dwa jednakowe, szare płaszcze wisały na wieszakach. W momencie wejścia Twista inspektorzy zaczynali pracę (Mar zaczynał, Rik wybierał właśnie najdłuższy ołówek do gryzienia).

- Witaj, chłopcze - powitali go

- Witajcie, chłopcy.

Siadł przy Riku, zgodnie z rodzajem zajęcia. Mar, niespokojny, podniecony, szykował się do swojego popisu. Widzowie byli już wszyscy.

- Masz już coś nowego w twojej sprawie? - zapytał go Rik, chcąc jak najszybciej zacząć przedstawienie.

Inspektor z uśmiechem podniósł słuchawkę telefonu. Wszedł więzień. Jak wczoraj, usiadł i zwiesił głowę. Wszystko wskazywało na to, że i dzisiaj nie zamierza mówić prawdy, kecz inspektor Mar był innego zdania.

- Twój adres był fałszywy,

- Domyślam się - beczelnie odparł zatrzymany.

- Twój łup znalazłem.

Drgnął, w jednej chwili opadła z niego cała pewność. Pierwszy raz spojrział poważnie na inspektora.

- Znalazł pan?

-Znalazłem - poklepał go po plecach Mar. - Bądź pewny. Złoto jest w naszych rękach. Dość pospiesznie je ukryłeś.

Rik zerwał się z miejsca jak oparzony.

-Chwileczkę, kolego Mar, tu chodzi o rabunek. .To mój podejrzany.

-O morderstwo, kolego Rik. To .mój podejrzany.

-Kolego drogi - oponował Rik - podzieliliśmy ten pokój na dwa stanowiska pracy i rozdzieliliśmy kompetencje. Więc albo podejrzany przesunie się z krzesłem do mojego stolika, albo ja zajmę twój, kolego.

-Nie, kolego - uparł się Mar - podejrzany jest oskarżony o morderstwo. Obojętnie co przy okazji popełnił.

Więzień przestraszył się.

-Nie zrobiłem nic przy okazji, nie zamordowałem. Owszem, teraz przyznaję okradłem bank. Okradłem, słyszycie? I nic więcej.

-Nic? - Mar zwrócił się do więźnia. - Zabiłeś człowieka, który nakrył cię z łupem nad rzeką.

-Proponuję zadawać pytania kolejno. Jedno kolega Mar, jedno kolega Rik - wmieszał, cię Twist.

Cisza zapanowała w biurze.

-Zaczynaj, Rik - posępnie przerwał ją inspektor do spraw zabójstw.

-Proszę opowiedzieć, jak to było - Inspektor do spraw kradzieży wstał.

Więzień mówił szybko, był przestraszony:

-Obrabowałem bank. Było umówione, że spotkamy się w gospodzie za pierwszym łańcuchem gór. Droga prowadziła przez rzekę, od stacji. Musiałem tamtędy iść. Niosłem ze sobą złoto. Po napadzie odczekaliśmy w mieście cały dzień. Poszedłem piechotą. Ja obiecałem przyjść pierwszy tamtej nocy. Del miał przybyć wczoraj do gospody. Okradliśmy

bank, ale z morderstwem nie mamy nic wspólnego. Gdy schodziłem nad rzekę, już leżał trup. Nawet cofnąłem się i zajrzałem do stacji, ale wtedy ten chłopak... wieśniacy... Jestem winny, ale tylko to, tylko to. Obrabowałem bank i tylko to zrobiłem.

-Kto to jest Del? - nie wytrzymał Mar.

-Przyjaciel, Ollończyk. Złodziej jak ja. On ze mną opracował plan.

-Ubieraj się. Twist - zwrócił się do niego Rik, Mar już był gotowy do wyjścia.

-Gdzie mieliście się udać później?

Więzień milczał.

-Z gospody dokąd?

-Nie wiem - więzień otarł czoło.

-Kłamiesz, przyjacielu.

-Nie wiem.

-Jedźmy.

Samochód czekał przed budynkiem Rady. Zbiegli po schodach. Rik wycierał w drodze okulary, Mar dopijał kawę. Wypadli na ulicę. Twist nie zdążył wsiąść do samochodu, profesor Hal złapał go za rękę. Biegł widocznie, czerwoność na twarzy przypominała wschodzące słońce.

-Bru, muszę z tobą porozmawiać o Elii.

-Nie teraz, profesorze.

-To bardzo ważne.

-Jedźmy razem.

Zadyszany profesor usadowił się z Twistem w tyle samochodu. Mar prowadził, Rik siedział obok niego.

-Jeśli nie stawił się na umówione miejsce, to wypłoszył tym samym współnika, który siedział w gospodzie - rzekł Rik.

-Znaczy - myśmy go wypłoszyli, kolega - rozpoczął kłótnię Mar.

-Przypominam, Mar, że tu w grę wchodzi rabunek, nie morderstwo - wciągał się w kłótnię Rik.

-Zaznaczam, Rik, że w naszej grze liczy się najpierw morderstwo, potem rabunek. A poza tym powinienes mi być wdzięczny. Przez pół nocy chodziłem po wrzosowiskach i komary mnie cięły, a laur ozdobi twoją głowę.

-Dziękuję ci, żeś mi o tym przypomniał Skreć za rzeką, zajdziemy z drugiej strony.

-Co z Elią, profesorze? - zapytał Twist, gdy tamci na przednich siedzeniach zamilkli.

Profesor zatopił wzrok w oknie. Jechali bardzo szybko.

-Długo ci nie będę mówił, Bru. Ale, taki stan psychiczny nie rokuje nadziei. Z takiego stanu się nie wychodzi. Można go tylko zaleczyć. Wiesz, że jestem dobrym lekarzem.

-Wiem, profesorze.

-Wczoraj byłem z nią. Piła nad miarę i chciała popełnić samobójstwo. Uparła się, że będzie prowadzić wóz.

-Co?

-Umyślnie wjechała samochodem na zbocze. Zaglądałeś dziś rano do garażu?

-Nie.

-Cud, że tak wygląda tylko twój samochód. Pilnuj jej, synu, i wybacz jej. Rzuć pracę. Pomogę ci finansowo. I bądź przy Elii. Mówi ci to, Hal, twój przybrany ojciec. Słyszysz?

-Tak.

-Zrobisz to?

-Tak, profesorze.

—

Dobrze już było pod wieczór, gdy zajechali do gospody. Zatopiona w ciemnościach drzew, wyglądała na me zamieszkaną.

Wysiedli, weszli i posuwali się w bladoniebieskim świetle wieczora, dochodzącym, z okna, w głąb sali z kominkiem. W pewnej chwili usłyszeli coś na kształt płaczu, płynącego z góry. Wdrapali się po schodach. Twist i Rik szli przodem, za nimi Mar. Profesor, który wysiadł razem z nimi z samochodu i z nie mniejszym lękiem brał udział w przeszukiwaniu gospody, szedł sapiąc na końcu. Jęk usłyszeli już wyraźnie. Drzwi, zza których się wydobywał, były zamknięte. Jak na komendę. Mar i Rik wyjęli z kieszeni srebrne małokalibrowe pistolety. Twist wziął z rąk inspektora do spraw zabójstw latarkę i wyprzedził Rika. Ramieniem pchnął drzwi. Snop latarki objął postać skuloną na łóżku. Rik, który, zza ramienia Twista zobaczył ją, odbiegł, roztrącił stojących, przechylił się przez poręcz schodów i zwymiotował. Twist opuścił latarkę. Sam nie zauważył, że upadła.

- Profesorze, pan jest... potrzebny.

Inspektor Mar podniósł latarkę z podłogi.

Hal stał niezdecydowany.

- Chodźmy razem - Mar ujął profesora za ramię i obaj weszli do pokoju.

Drzwi zamknęły za sobą. Po jakimś czasie wyszli. W świetle latarki Twist zobaczył, jak byli zmienieni. Hal z trudem łapał powietrze, Mar, pozornie spokojny, nie mógł opanować rozlatanych dłoni.

- Co to jest? - profesor zapytał szeptem.

Nikt nie, odpowiedział.

- Rik - powiedział Mar - wejdź do niej, pojedę po pomoc do miasta.

-Tu w grę wchodzi morderstwo, Mar - odrzekł ten błagalnie i z wysiłkiem. - Proszę, ty sam wejdz. Nie jestem w stanie tego zrobić. To jest kobieta?

-Kobieta - odrzekł Twist.

-Ja z nią zostanę - profesor uchylił drzwi.

-Pójdę także, profesorze - Twist ruszył.

-Rik, rozpal ogień.

Weszli. Mar zbiegł do samochodu, zapalił sinik i szybko odjechał. Rik stał wciąż przechylony przez poręcz i nie mógł spełnić prośby Twista. Dotykał czołem drewna i spieczone wargi powtarzały coś półgłosem.

Profesor i Bru stali pod ścianą pokoju, obok nich leżała przewrócona 'do góry dnem miednica. Jęk od strony łóżka cichł.

-Nie gaś latarki - profesor ujął jego dłoń.

-Trudno to znieść.

-Ja wiele rzeczy w życiu widziałem, ale dziewczyna, która tam leży... to, co się z nią stało...

-Co to jest Hal?

-Nie wiem - odrzekł profesor. - To okropne. Jeśli to zaraza, nie znam takiej. Jeśli to zrobił człowiek, musisz go znaleźć - głos profesora był twardy - Musisz go znaleźć. Mówi ci to Hal, twój przybrany ojciec, słyszysz?

-Tak.

-Zrobisz to?

-Tak, profesorze.

-Czy ona jest w stanie mówić?

-Nie sądzę - szepnął Twist i zapytał: - Co się stało?

Wyczekiwali- Jęk urwał się. Ciemny kształt na łóżku poruszył się.

-Co się stało? - Twist zapytał głośno.

-Nie... - głos dziewczyny był skrzeczący i martwy-  
- Nie wiem.

-Jak się pani tu znalazła?

-Przyszłam wczoraj wieczorem. Ten człowiek poszarpał mi twarz...

-Kto?

Głuchy pomruk. Cisza.

Gdy wyszli. Rik stał nad rozpalonym ogniem w kominku. Usłyszał schodzących po schodach i nie odwracając się zapytał:

-Żyje?

-Zemdlała - odparł Hal.

W dziesięć minut później usłyszeli sygnał karetki. Mar,.. pielęgniarze i dwóch policjantów szli z noszami do gospody. Profesor oparł się na parapecie okna.

-Poproszę, by mnie połączył z tą sprawą... Bez musi się zgodzić.

-Chcesz tego. Hal? - zapytał Twist.

-Chcę - odrzekł krótko. - Akademia poczeka. Nie znam sprawy ważniejszej.

Grupa ludzi weszła do gospody.

-Założcie ubrania ochronne - powiedział profesor - i spieszcie się.

Pielęgniarze i policjanci ruszyli na górę.

-Siadajmy do samochodu - rozkazał Mar. - Będziemy w szpitalu przed nimi.

W białym gmachu panował spory ruch. Nagłe zgłoszenie się dwudziestu chorych z tymi samymi objawami sinicy, odbarwienia zębów, martwicy śluzówki, przelyku, a nawet zapaści sercowo-naczyniowych postawiło w stan pogotowia cały szpital.

Po dziesięciu minutach od czasu przyjazdu Twista, inspektorów i Hala karetka z ciałem dziewczyny wjechała tylną bramą. Hal połączył się telefonicznie z Beżem. Ten zgodził się na jego pomoc.



Był zaintrygowany, ale ze słów profesora nie dowiedział się niczego, Profesor, odłożył słuchawkę.

- Chodźmy - ponaglił Mar.

Zaczepili lekarza na korytarzu.

- W którą stronę do zakaźnego?

- Zajęty. Mamy komplet - zażartował.

- Nie ma powodu do śmiechu, doktorze. Którędy do analitycznej? - zapytał profesor ostro.

- Prosto, na prawo.

- Tam ją zawiozą, idziemy. - Profesor wyprzedził ich. - Jakaś nagła epidemia - zauważył obserwując ruch na korytarzu.

W analitycznej sali dziewczyna już leżała. Wszedł tam tylko profesor i Mar z dwoma lekarzami, Twist i Rik zostali na korytarzu.

- Zdaży coś powiedzieć? - zapytał inspektor.

- Wszystko jest możliwe. Mówiła o jakimś człowieku...

- Niech Mar weźmie chociaż jego rysopis.

Czekali. Wszedł profesor.

- Bru, zadzwoń do Elii.

- Oczywiście, zaraz to zrobię. Co z wynikami?

- Będą za dziesięć minut - wszedł z powrotem do sali.

Po chwili, wyszedł stamtąd inspektor da spraw zabójstw.

- No i co, Mar? - zapytał Rik.

- Zeznała, że podrapał ją pewien człowiek. Wysoki blondyn, lat około czterdziestu. Chciał ją udusić.

- Podrapał, ale kto doprowadził ją do takiego stanu? Jej ciało jest ciecżą - krzyknął Rik - nogi i ręce galareta. Ona znika... rozplywa się...

- To może być zaraza! Profesor zaraz wyjdzie, poczekajmy. Mimo to jadę do więzienia. - Mar wyciągnął kluczyki. - Sprawdzę rysopis tego człowieka

z opisem Dela. Poda mi go nasz więzień. Jedno się nie zgadza.

-Co?

-Mówiła, że człowiek, który ją zaatakował był obcokrajowcem, dziwnie ubranym, nietutejszym. To nie mógł być Del. Samochód będzie wam potrzebny?

-Weź go. My tu będziemy - odparł Rik. - Nie powiedziała nic więcej? Kto jeszcze był w gospodzie?

-Zemdlała - odparł Mar i pobiegł do samochodu. Profesor wyszedł z sali.

-Ostatni moment do zadania pytań.

Rik przełknął ślinę.

-Wejść tam. - Wszedł, profesor za nim.

Twist odnalazł telefon w końcu korytarza. W słuchawce usłyszał głos Elii.

-Bru? - prawie płakała. - W naszym domu jest pełno ludzi. Starzec na strychu, a w pokoju bawi się chłopiec i mówi do mnie: mamu. Ja tego nie wytrzymam, Bru. Przyjedź. Co to znaczy? Kim oni są?

-Uspokój się. To goście, przyjaciele, nic ci nie zrobią - wyczuł, że jest lekko wstawiona. - Niedługo przyjadę, nie pij, daj mi Lucienna do telefonu.

-Kogo?

-Tego staruszka z góry.

-Ale...

-Nie pytaj, nie bój się, daj mi go.

Po jakimś czasie astronom był przy aparacie.

-Halo.

-Tu Twist.

-Twist? Jaki Twist? A tak, właściciel. Słucham, miły panie.

-Niech pan pilnuje mojej żony.

-Pilnuje?

-Może wypić za dużo i chcieć wyjechać samochodem.

- Nie może wyjechać, mówiła, że samochód rozbity.

- A chciała?

- Jak zobaczyła mnie, to chciała.

- Nieważne, może złapać taksówkę. Już taka jest, że jak wypije, urywa się z domu. Pilnujcie jej razem z chłopcem.

- Zrobimy, co się da.

Skończył. Kątem oka zobaczył Hala i Rika, wychodzących z sali. Pospieszył tam.

- No i co, profesorze?

- Zmarła, a mimo to nadał zamienia się w bezkształtną masę.

- Co to jest?

Hal popatrzył na Twista, Rik przysunął się bliżej.

- Będę uczciwy, gdy powiem - nie wiem. Wyniki z laboratorium, oto, co następuje; we krwi zarazki kantarydyny, najaktywniejszego składnika jadu muchy hiszpańskiej. Pięć miligramów to już dawka śmiertelna. Zmarła wykazywała przy tym objawy parestezji.

- Co to znaczy? - zapytał Rik.

- Odwrotna reakcja na temperaturę. Łyk zimnej wody zamienia się w kroplę ognia w przełyku. Ten objaw spotykałem na południowym kontynencie. Chory przebity został kolcem ogonowym płaszczki. Te same reakcje występują u ludzi zatrutych przez pokrywy skrzelowe innych ryb - odetchnął. - To jakby połączenie dwóch jadów, niezwykle silna choroba powodująca śmierć. Doprowadza do absolutnego zniszczenia form życia. Nie mogłem zastosować przetoczenia krwi czy czegoś innego. To było też bezcelowe. Zresztą nie wierzę w skuteczność naszych ziemskich środków.

- Środków - powtórzył Rik.

-Jest jeszcze sprawa poważniejsza. Lekarz, którego spotkałem w sali, mówił o jakimś wybuchu epidemii. Nie widziałem zmarłej wcześniej. Ale jeżeli początkowe objawy choroby przypominały wygląd ludzi, którzy się zgłosili do szpitala...

-Niech pan nie kończy - przerwał Rik.

-Co to za epidemia?

-Nagła - odparł Hal. - Chorzy z różnych części miasta. Zaburzenia w organizmie zaczęły się wczoraj, postępują bardzo wolno, dziewczyna, która została zarażona wczoraj, już nie żyje.

-Więc jednak łączy pan te dwie sprawy? - zapytał Rik.

-Bardzo staram się nie łączyć.

-Uważasz, że zabił ją człowiek z gospody? - spytał Twist.

-Człowiek, ale chorobę mógł przywieźć tylko z piekła. Człowiek, nie człowiek - zamyślił się. - Kto, jeśli nie człowiek? Zaczęła zauważać zmiany na ciele od razu po zaatakowaniu jej, ale skąd był ten obcy? Nie mam pojęcia. Na całym naszym świecie nie ma takiego miejsca, które byłoby siedliskiem tego wirusa. W naszych wodach nie, w powietrzu nie. Chyba że mój zwariowany Lucienne rzeczywiście widział latający pojazd. Mówił mi o czymś takim. Więc to przybyło z kosmosu.

-Niech pan nie żartuje - przerwał Rik.

-Dobrze. Przepraszam, ma pan rację. Idzie inspektor.

Mar szedł korytarzem w ich kierunku. Po chwili dołączył do rozmawiających,

-Z opisu wygląda, że to nie Del. Różnice są ogromne. Ten złodziejasek nie kłamie. Musiał tam być ktoś inny. Ale gdzie był Del? Miał przyjść do gospody tamtego wieczoru.

-Przyszedł - rzeki Rik. - Był. Dziewczyna słyszała trzy głosy. Z okna dostrzegła trzy, odchodzące w góry, postacie. Było ich trzech: Jeden Del, drugi Murzyn, którego знаła wcześniej i który ją tam przyprowadził, i ten obcy, trzeci, jedyny z którym miała kontakt. Po twoim wyjściu, Mar, jeszcze raz, o dziwo, odzyskała przytomność i wymieniła ich.

-Gratuluje - powiedział Mar.

-Czyli ten nieznajomy - powiedział Twist. - Chciał ją dusić, zaraził. Profesorze, przecież człowiek nie może nosić tej choroby w sobie.

-Oczywiście, że nie. Człowiek z Ziemi nie, chyba że uodporniony przez lata, przebywający z chorobą sam na sam. Niepojęte...

-Bzdura, wszystko jest bzdura,

-Jeszcze jedno - Mar przerwał Kikowi. - Jadąc przypomniałem sobie, gdzie jeszcze widziałem takie małe, sine pasy, jak na skórze dziewczyny. Bo je widziałem.

-Gdzie?

-Na ciele tego człowieka wyciągniętego z rzeki.

-Z rzeki? - zapytał profesor.

-Tak, wylowionego z rzeki. Analiza co prawda nie wykazała nic szczególnego, ale choroba rozwija się podobno nawet w martwym organizmie.

-Więc kilkunastu ludzi pijąc wodę, mimo działania filtrów...

-Pan mówi poważnie? - Rik przetarł oczy.

-Tak, jeśli ten człowiek, zarażony tą samą chorobą, przebywał w rzece, ofiar może być więcej. Zaraza jest tak silna, że mimo rozprowadzenia w wodzie wystarcza w niezwykle małych ilościach do zabicia człowieka.

-Czy te pasy - Twist zaczął wolno - czy jesteś pewien, że wyglądały jak na zmarłym?

-Ona już? - Mar spojrzał na drzwi do Sali.

-Już... Jesteś pewien?

-Tak mi się zdaje. Sprawdźmy to. Stąd na wiejski cmentarz jest tylko sześć kilometrów7.

-Nakaz?

-Do diabła z nakazem. Jedziemy. Doktorze, pan będzie potrzebny.

-Tak, tak, przejdę się tylko jeszcze do tamtych chorych. Zapytam, o której pili wodę. Czy godzina znalezienia ciała w rzece jest wam znana?

-Koło czwartej rano. Przebywał w wodzie dwie do czterech godzin od chwili śmierci.

Profesor odszedł. Czekali na niego w samochodzie przed szpitalem.

-Jest dobrze i nie. Choroba daje się leczyć. Znikają jej symptomy. Chorzy czują się lepiej.

-A niedobrze?

-Wszyscy ci ludzie mieli kontakt z wodą. Dziesięciu piło ją obficie z kranu w tym samym czasie, to znaczy o świcie.

-Pić wodę o czwartej rano - oburzył się Rik.

-Reszta to młodzież. Kapali się przy moście.

-Kapać się o czwartej rano, w taki chłód - drugi raz oburzył się Rik.

Samochód ruszył. Mar ułożył zmęczoną głowę na wysokim oparciu fotela. Rik zamknął powieki i chwilę drzemał.

-Jeśli to prawda, oni umrą i kto wie ilu jeszcze.

-Rik - Twist szarpnął za ramię zwierzchnika. - Będą potrzebne łopaty.

-Na miejscu - szepnął Rik i zwrócił się do Hala. - Profesorze, trzy godziny od chwili śmierci, plus dwanaście godzin? Piętnaście godzin leżało ciało człowieka ze stacji benzynowej w prosektorium. Po piętnastu godzinach nie stwierdzono żadnych

objawów. Lekarz, który wydawał ciało wieśniakom, doniósłby mi o tym w przeciwnym wypadku. Z dziewczyną, zarażoną wczoraj, widział pan, co się stało.

-Nie wiem, inspektorze. Być może nie jest to ta sama choroba.

Cmentarz wiejski był mały, ogrodzony niskim, kolczastym płotem. Leżał na niewielkim wzgórzu, tuż przy pierwszych chałupach wsi. Odnaleźli świeży grób. Światła samochodu zastąpiły latarnie. Narzędzia stały przy budce stróża cmentarnego, spał w środku, słyszeli jego chrapanie. W ciszy, starając się go nie zbudzić, rozpoczęli pracę.

-Tabliczka z datą i nazwiskiem jest połamana.

-Kopcie.

Kopali. Twarda już ziemia z trudem dawała się nabierać, a jednak dół powiększał się. Pracowali wszyscy. Na razie ani kilof, ani łopaty nie natrafiły na odgłos trumny.

-Dalej nie musimy kopać. Tam nie ma ciała.

-Nie ma trumny.

Odwrócili się wszyscy, słysząc kroki. Nadszedł stróż. Był to garbaty nędzarz o ciemnej, ziemistej twarzy.

-Czego chcecie? - zapytał groźnie.

-Policja. Szukamy ciała.

-Nie ma. - Stał podparty laską i patrzył na nich.

Pokazali mu dokumenty.

-Jest w krypcie kościoła. Wieś uradziła, żeby go tam pochować. Na koszt wsi. Rano przeniesiony.

-Prowadź.

Wziął latarnię i zszedł z pochyłości wzgórza. Nie pozwolili mu wejść. Latarnię wziął Twist. Stali nad marmurowym grobowcem I nikt nie miał odwagi odsunąć płyty. Najbliżej podszedł profesor.

-Nałóżcie rękawiczki. Twist, latarnia w górę, do cholery.

-Widziałem to już, ale na myśl, że mam to oglądać drugi raz, ogarnia mnie jeszcze większy lęk - zamknął oczy Rik.

-Odsuńmy się.

Kamienne wieko wydało głośny chrzęst. Latarnia drżała. Za chwilę Rik zatoczył się jak pijany, Mar odwrócił twarz do ściany, a Twist, trzymający wciąż latarnię nad głową, i Hal spuścili oczy.

-A więc jednak tak?

-Ten sam widok. Prawie ten sam. Dziewczyna wyglądała podobnie, gdy znaleźliśmy ją w gospodzie. Te pęcherze... kształt oczu i ręce. Niech pan patrzy, profesorze.

-Działanie jadu zaczęło się niedawno. Hal?

-Tak. Myślę, że przez siedem godzin to trwa. I będzie trwało.

-Jak pan to tłumaczył.

-Nie potrafię tego wytłumaczyć. Czemu jad zaczął działać dopiero teraz?

-Zasuńmy płytę. Rano zabezpiecz ją z ludźmi, Rik. Nikt nie powinien tu wejść.

-To sprawa o morderstwo, Mar - krzyknął doprowadzony do ostateczności Rik. - Ja będę przesłuchiwał złodzieja, tylko złodzieja! Tylko przesłuchiwał! Nie przyjdę tu drugi raz. To twoja sprawa, Mar.

Opamiętał się w końcu i przeprosił. Nie wytrzymały nerwy.

Wracali. Długo w samochodzie panowała śmiertelna cisza.

-Która godzina?

-Do świtu jeszcze drugo.

-Nie pojedę do domu.



-I ja.

-Jedźmy do mnie - zaproponował Twist. - zrobię wam kawy.

W pałacu Quell, na skale zwanej wzniesieniem Lions, w jednej z komnat pałacu, Del siedział naprzeciwko statecznego starca w mundurze. Jeśli Del posiadał jakiś wojskowy stopień, musiał być on o wiele niższy od stopnia drugiego człowieka siedzącego w komnacie. Del patrzył z uwagą w oczy starca. Bał się tego, co za chwilę miał powiedzieć.

-Złapali go razem ze złotem.

-Co? - generał wstał i podszedł blisko, - Co?

-W gospodzie była policja.

-Zdradził nas.

-To złodziejaszek, nic nie może powiedzieć.

-Znał nasze miejsce? ,- spytał spokojnie generał.

-Znał.

-Gdzie go trzymają?

-W więzieniu. Czy mam to zrobić?

-Tej nocy - generał usiadł. - Bierzesz do roboty nieodpowiedzialnych ludzi. A kim jest ten obcy, którego przyprowadziłeś?

-Miał złoto. Myślałem, że zdaża do pana, Kto mógł taszczyć taki ładunek i do tego w góry? Był w gospodzie, myślałem, że to pański człowiek. Widział pan jego skrzynię, generale?

-Byłem zachwycony. Dobrze zrobiłeś, Del. Twoją część złota z napadu i jego skrzynią już posłałem. Towar przyjdzie jutro.

Generał odszedł w róg komnaty. Na okrągłym posłaniu z grubego koca leżał czarny, olbrzymi pies z przewiązanym na karku bandażem. Generał odwrócił głowę w kierunku .Dela.

-Kim on jest? Gdy tu wszedł, mój plus rzucił się na niego. Nigdy tego nie robił.

-Idąc przez góry powiedział Coliemu, że kogoś zabił. Ja zapytałem, jak te było, On roześmiał się. Coli zapytał: ukrywasz się? On popatrzył zdumiony i odparł: to było zwierzę. Gdy przechodziliśmy przez przełęcz...

-Idź, Del - wojskowy przerwał z irytacją - zacznasz wymyślać niesamowitości. W ollońskim więzieniu jest kilku naszych strażników, pomogą ci. Spiesz się.

Del wstał od stołu i wyszedł. Generał pochylił się z uwagą nad psem i pogłaskał jego sierść.

Wyszli z samochodu. Otworzył Lucienne.

-To pan? Pilnujemy, jak pan kazał Wszystko w porządku.

-Dziękuję. Mogę wejść?

-A proszę. Przepraszam, że tak stoją, Ach, Hal, drogi Hal!

-Ten sam, stary wariacie.

Weszli cicho do środka. Chłopiec spał na materacu tuż przy drzwiach Elii. Przysunięty do tych drzwi fotel wskazywał, że była zabarykadowana i strzeżona cały czas.

-Drogi profesorze - zwrócił się Twist de Lucienna - muszę prosić pana o jeszcze jedną przysługę. Chcielibyśmy napić się na strychu kawy. Nie chcemy przeszkadzać śpiącym,

-A tak, proszę, naturalnie, tedy - wskazał kierunek ręką dwóm inspektorom i podążył do swej pieczary.

Twist i Hal przygotowali kawę. Z tacą dołączyli do towarzystwa na górze. Inspektorzy zdążyli się już

rozejrzeć po strychu i nabrać pewności, że .stary Lucienne rzeczywiście jest wariatem. Siedzieli w starych fotelach, których sprężyny wystawały niemal w całości.

- Miło tu - rozpoczął Rik.

- Miło - Mar przyjął podaną przez Hala filiżankę.

Lucienne przymknął okno i lunetę nakrył szmatą. Milczeli. Dzień, pełen niesamowitości zmęczył ich, odebrał sen, apetyt, pragnienie. Jedno w nich pozostało, chęć poznania prawdy. Z rozmowy, która przypomniła wszystkie szczegóły minionego dnia, Lucienne dowiedział się całej historii.

- Nie muszę zaznaczać, te obowiązują pana tajemnica śledztwa? - powiedział Mar m trakcie rozmowy.

Lucienne kiwnął głową.

- Wy też zachowajcie dla siebie, co powiem. Jestem absolutnie pewien że w okolicach stacji pojawił się latający obiekt. Widziałem go, a wczoraj byłem tam i znalazłem ten oto kawałek metalu... i to.

Wręczył im część osmalonego metalu i kilka plastikowych pudełek.

- Byłbym odnalazł więcej, gdyby nie wystraszył mnie jakiś włóczęga na wrzosowiskach, Czegoś tata widocznie szukał.

- To byłem ja - odrzekł Mar. - Znalazłem złoto. Przepraszam, goniłem pana.

- Gonił... przeraził mnie pan. I co? Te pudełka to żywność. Tak wygląda ich żywność. A to lekarstwa. A w trzecim pudełku znajdują się chemikalia.

- Jest pan absolutnie pewien, że to ten, powiedzmy ten pojazd wylądował przy stacji? - zapytał Rik.

- Przy stacji, ale nie wylądował. Pojazd został zniszczony. Nie mógł lądować.

-Chłopiec mówił, że jego dziadek widział na niebie ogień - Mar wypił łyk kawy - i poszedł sprawdzić. Niewykluczone, że zaatakował go ten człowiek z pojazdu. A więc jedna i ta sama osoba zabiła dziewczynę i starca.

-Osoba, która opuściła pojazd - to chciałeś powiedzieć, kolego Mar?

-To chciałem powiedzieć.

Rozmowa, prowadzona z początku z lekkim przymrużeniem oka, zmieniła się w poważną. Hal poderwał się nagle.

-Zadzwoń do szpitala i sprawdź, jak zdrowie chorych.

Stopnie przeraźliwie skrzypnęły, gdy schodził.

-Zbierzmy fakty. Przypuśćmy, że pojazd zostaje zniszczony. Przybysz ląduje. Zaatakowany przez starego bosakiem, morduje go. Wędruje w góry. Przypadkowo dostaje się na punkt kontaktowy złodziei. W gospodzie natrafia na Murzyna i kumpla, złodzieja-wspólnika.

-Dela.

-Dela. I dziewczynę z pobliskiej wsi. Rani ją i idzie z pozostałymi w góry. Jego agresja przewyższa wszystko.

-To cała historia, a nie fakty. Wie, że zabija tym nieznanym świństwem, czy nie? Gdzie jest? Dokąd prowadzi droga w góry?

-Wydaje mi się, że wie o tym nasz więzień.

-Czemu się boi? Wsypał wspólnika i nie chce mówić?

-Wbrew pozorom wcale go nie wsypał. Wyznał, że obrabował bank i że wspólnik nazywa się Del. Możemy go z powodzeniem szukać przez lata. Opisy są tak niedokładne. Wiedział, że siebie nie uratuje, ale kolegi nie zdradził.

-Przycisnąć go. Wiedząc, gdzie poszedł Del, mamy i tego obcego. Poszedł przecież z nimi.

-Mógł się potem rozłączyć. Czemu z nimi poszedł?

-Jeśli to ten człowiek zabija, musi pochodzić z innej planety.

-A jeśli nie?

-Dużo rzeczy się zgadza. Kiedy widział pan obiekt latający, doktorze Lucienne? - spytał Mar.

-Przedwczoraj, około drugiej w nocy, Z mojego obserwatorium w domu, jakieś sześć kilometrów stąd. Widoczność była słaba, ale ustaliłem miejsce i odległość. A wczoraj potwierdziłem moim znaleziskiem.

-Czas się zgadza.

-Dlaczego nie pokazał pan mi tego wczoraj? - zapytał Twist.

-Gdy pan był u mnie, dopiero się wybierałem - uśmiechnął się chytrze Lucienne.

Za drzwiami zaskrzypiały schody. Hal wszedł. Skierowali spojrzenia na niego. Usiadł, wziął filiżankę w rękę.

-Nie mogę tego zrozumieć... chorzy wracają do zdrowia.

Słuchali w skupieniu, tylko Lucienne podszedł do lunety i pozornie oddał się oglądaniu przestworzy.

-Trzymają ich jeszcze w szpitalu, ale są prawie zdrowi. Badania wykazały, że zatruli się chloraminą w sporym stężeniu.

-Na trupie z rzeki też ją znaleziono - wtrącił się Rik.

-Musiało być bardzo duże i musiało być w wodzie.

-ciągnął profesor. - Nie mogę tego pojąć - skąd.

-To bardzo proste - odezwał się Lucienne. - Jestem przekonany, że badając dno rzeki, znaleźlibyśmy sporo rzeczy z latającego pojazdu, między innymi resztę chemikalii. Nie wiem jak, ale chloramina

tworzyła się jakiś czas w zamkniętej aptece, tam na dnie. Jakaś część statku pozostała zamknięta. Tlen był. Ta mała apteka produkowała ten środek. To pudełko, które znalazłem, zawiera kwas sulfonowy, doktorze Hal. Niezły składnik do doświadczenia. Otrzyma pan z pochodnych chloramidów sporo tego farmaceutycznego preparatu.

Hal roześmiał się.

-To paradoksalne. Roznosiciel zarazy truje wodę, a jego statek kosmiczny produkuje w tym czasie środek odkażający.

-On zatrzymał działanie jadu w ciele topielca. Dopiero, gdy go pogrzebano, jad zaczął działać.

-Tak - Lucienne odszedł od lunety, - Chodzi o przeszukanie dna.

-Lecz nic nadal nie wiemy. Jedyłą naszą drogą i szansą jest nasz więzień. To pewien trop...

-Trzeba przygotować raport dla Beza, Mar.

-A drugi dla Ministerstwa Wojny. - Twist wstał. - Zagraża nam niebezpieczeństwo. Przepraszam na chwilę, panowie

Wyszedł. Na dole przesunął delikatnie na bok materac z chłopcem i wszedł do pokoju Elii.

Z niemalym zdziwieniem Hal, Lucienne i dwóch inspektorów spojrzęło na drzwi, w których w chwilę później stanął Twist.- Uciekła...

Lucienne zamrugnął powiekami i otworzył usta.

- Spała jeszcze niedawno.

- Poduszki zwinięte pod kocem. Oknem uciekła. Rik, wezmę nasz służbowy wóz i przeszukam miasto.

- Gd? Teraz...?

- Jechać z tobą, Bru?

- Nie dziękuję profesorze - i dodał, słusznie rozumując, że inspektorom należą się wyjaśnienia: - Ona tak zawsze...

-Choroba nosi nazwę xtum - wybawił go z kłopotu Hal. - Coś pośredniego między lunatykiem i chorym owładniętym manią prześladowczą.

-Pojedziemy do pracy taksówką - rzekł Mar.

-Jedź, Twist - dodał Rik - spotkamy się w pracy.

-Przeszukaj dokładnie centralny bar... rab, czytaj odwrotnie, cholera - zdenerwował się profesor swoim kryptogramem. - Przeszukaj bary i restauracje nad rzeką. Odwiedź „Sny”, „Gwiazdy” i „Also”.

O świcie Ollon był niezwykle piękny. Małe uliczki miały coś z zamkowych krużganków. Przemieszane z wieżowcami, nadawały mu atmosferę starości i łamały skutecznie nudę proporcjonalnych bloków. Słońce jeszcze nie zbudziło się. Jechał wolno, zatrzymując się przed każdym napotkanym szyldem. Większość lokali była zamknięta, niektóre miały być za chwilę otwarte, jeszcze inne wyrzucały z czeluści na ulicę ostatnich bywalców.

W „Also” siedziało kilkanaście kobiet nad kieliszkami i kilku im towarzyszących mężczyzn. Zapytał portiera:

-Szukam żony. Ma Elia na imię.

-One tu wszystkie mają Elia na imię.

W nadrzecznych knajpkach nie znalazł jej. Zawrócił do centrum miasta. Chwilę zastanawiał się, czy jechać do domu. Postanowił od razu skierować się do pracy, stamtąd zatelefonować do willi.

Zaparkował. Gmach Rady wyglądał groźnie i opustoszałe, Strażnik przy bramie spał. Obudzony klaksonem i nakłoniony legitymacją Twista do otwarcia bramy, wykonał tę czynność ze zdumiewającą przykrością, Twist wiedział, że budząc człowieka o czwartej rano, narażony jest na szykany, lecz mimo to

wszedł na korytarz wściekły. Biegł prawie, chciał jak najszybciej zadzwonić. Usłyszał w słuchawce zaspany głos astronoma.

- Pan Lucienne? Tu Twist.

- Twist? Aha, aha. Wróciła zaraz po pańskim wyjściu.

- W porządku. Mar i Rik?

- Śpią w fotelach.

Siedział przy stole i bębnił palcami. Otworzył szufladę, Rik trzymał w niej zapasowy pistolet. Zatrzasnął szufladę i wstał. Spojrzał na zegarek. Brakowało trzech godzin do rozpoczęcia pracy. Postanowił się przespać. Stół nadawał się, przynajmniej nie miał wystających sprężyn, pomyślał o inspektorach. Gdy już układał nogi na stole, pomyślał, że nie od rzeczy byłoby odwiedzić teraz więźnia. Mógł coś z niego wycisnąć. Więzienie mieściło się w podziemiach gmachu. Wystarczyło tylko przejść kilka pięter w dół. Zrobił tak. Ze zdumieniem stwierdził, że furka na korytarz więzienny była uchylona. Strażnik zapomniał? Spał przy ścianie, półleżąc na taborecie. Podszedł:

- Hej!

Cofnął się odruchowo. Strażnik martwy, zastrzelony. Musiał stoczyć walkę z napastnikiem - na szyi i rękach miał sińce i zadrapania. Broni nie było przy nim. Twist zastanowił się czy wracać na górę po pistolet Rika, czy iść w głąb korytarza. Wybrał to drugie. Krew na szyi strażnika nie zakrzepła. Cele były zamknięte. Cztery metry dalej, za rogiem natknął się na następnego strażnika. Martwy. Zastrzelony. Bez broni. W jednej sekundzie znalazł się przy drzwiach celi, skąd dochodziły głosy. Zajrzał przez wizjer. Więźniowie stali pod zakratowanym oknem. Widocznie odgłosy walki zbudziły ich. Musiało tu być piekło.



Szedł dalej. Na końcu korytarza dojrzał półotwarte drzwi celi. Bezszelestnie zawrócił, lecz przy zwłokach pierwszego strażnika przystanął. Jeśli tam jest jeszcze morderca, nie może iść po pistolet na trzecie piętro. Zdjął kółko z kluczami z pasa strażnika i ponownie poszedł korytarzem. Klucze były ponumerowane. Otwarta cela musiała mieć numer sześćdziesiąt dwa. Znalazł taki klucz. Gdy podszedł bliżej, usłyszał głosy z celi. Jednym z nich był głos złodzieja. Drugim był Del.

-Nie, Del. Powiedziałem, gdy miałem pewność, że się domyślisz i uciekniesz w porę - Generał kazał...

Milczenie, po chwili:

-Dlaczego ty, Del? Czemu ty mnie zabijasz?

-Bo byłem twoim kumplem, a ty zdrajcą...

-Nie, Del... błagam... nie powiedziałem nic.

Twist podbiegł i kolanem pchnął drzwi. Trzasnęły. Przygotowany klucz wpakował do zamka i przekręcił trzy razy.

-Słuchaj - krzyknął przez drzwi. - Nie rób głupstw. Jeśli strzelisz, czeka cię sąd. Również stracisz życie.

Ciszą zapanowała w celi.

-Otwórz drzwi. Inaczej go zastrzelę - krzyknął Del.

-Nie - krzyknął Twist.

Padł strzał. Twist spojrział przez wizjer. Więzień leżał na ziemi, a Del przykładając sobie pistolet do skroni. Rozległ się drugi strzał. Del osunął się na ziemię. Twist błyskawicznie otworzył drzwi. Spotkał się oko w oko z wycelowaną w siebie lufą.

-To stary chwyt, a ty jak widzę jesteś młody.

-Tak...

-Wejdź do celi.

-Po co?

-Zamknę cię, a może wolisz, żebym rozwalił ci głowę?

Twist z podniesionymi rękoma oparł się o stalową framugę drzwi. Morderca uważnie patrząc mu w oczy mijał go w progu. Nagle odwrócił się. Krzyknął więzień z celi, postrzelony widać tylko. Del skierował więc lufę jeszcze raz w jego kierunku. Wtedy Twist skoczył i wyrwał pistolet uderzeniem pięści i drugą ręką zadał cios w pierś. Del upadł i natychmiast podpełzł do miejsca, gdzie upadła broń. Twist jeszcze raz był szybszy - z całej siły wymierzył butem uderzenie. Del padł na wznak. W dłoni trzymał jednak pistolet. Strzał niecelny. Następny strzał nie nastąpił. Del rzucił pistolet z pustym magazynkiem i zaczął uciekać korytarzem. Twist ruszył w pogoń. Za zakrętem upadł na ziemię. Del znowu strzelał. Tylko cudem teraz nie trafił. Prawdopodobnie to te dwa pistolety zabrane strażnikom. Twist po raz drugi popełnił błąd. Morderca uciekał korytarzem pierwszego piętra.

Wielkim marzeniem Twista było nie dać się trafić do piętra trzeciego. Tani spoczywała broń Rika. Pistolet z pełnym magazynkiem. Wystarczyło odbezpieczyć. Drogę schodów przebyli szybko. Del próbował widocznie wyciągnąć go na dach. Twist zboczył ze szlaku, wpadł w korytarz trzeciego piętra, szarpnął drzwi, runął do stołu inspektora i zawrócił trzymając pistolet. Biegł za przeciwnikiem. Trzeci błąd w tej walce popełnił Del. I to był błąd ostatni. Wychylił się zza poręczy schodów, przekonany o bezsilności Twista. Ten strzelił. Del spadł kilka stopni w dół i nie poruszył się więcej. Martwy.

Twist za mało miał doświadczenia by wiedzieć gdzie celować. Bał się, a przy tym miał w ręku broń drugi raz w życiu. Zostawił trupa na schodach i pobiegł w podziemia. Drugi złodziej, więzień numer sto siedemnaście, żył. Rana nie była głęboka, kula utkwiała w ramieniu. Stracił przytomność i dużo krwi.

Twist siadł przy nim. koszulą przewiązał ranę. Chwilę później nadeszli strażnicy ze zmiany. Telefony rozdzwoniły się.

Po godzinie Mar i Rik siedzieli już w biurze. Twist moczył głowę w umywalce. Co chwila wyjmował mokrą głowę z umywalki i patrzył na inspektorów, a w oczach kryło się stwierdzenie:

„Mam wspaniały humor, jestem rześki, wypoczęty i kocham ludzi”.

-Napisz raport dla Beza - powiedział Mar, kiwając się sennie na krześle.

Rik włożył w wałek maszyny czystą kartkę. Drzwi biura otworzyły się. Wszedł strażnik i starszawy więzień o niskim numerze.

-Co jest?

-Więzień chce złożyć zeznanie. Dotyczy; dzisiejszego zajścia,

-Siadaj. Mów.

-Mały...

-Co mały?

-Więzień numer sto siedemnaście. Mały, tak go nazywaliśmy, wiedział, że go będą próbowali załatwić. W nocy tłukł o drzwi, ale strażnik powiedział, że rano sędzia śledczy go wysłucha...

-Do rzeczy.

-Zapisać mi się to? Mam już tylko trzy miesiące?

-Zależy co.

-Pukał do mnie w ścianę, bo ja ze sąsiedniej celi - nadmienił - że list w razie jego śmierci jest w sienniku.

-Jaki, list?

-Do was, do inspektora.

-Poszukacie i przyniesiecie - zwrócił się Mar do strażnika.

Więzień wstał.

-Zapisze się? Taki list jest ważny. Zabił Małego, ale jest list.

-Więzień sto siedemnaście żyje.

-Żyje? - więzień o niskim numerze był rozczarowany. - Mam pecha, inspektorze.

Wyszedł ze strażnikiem. Mar pokręcił głową.

-Jatka na korytarzach Rady, strażnicy zabici, więzień ranny. Nie dziwię mu się, wyjść. Na wolności bezpieczniej. Morderca dostał się do gmachu przez dach, po zwykłej desce przerzuconej z sąsiedniego gmachu. Fascynujące. W całym więzieniu było dwóch strażników wewnątrz, jeden przy bramie i siedmiu na wieżyczkach.

-Powinno być czterech wewnątrz.

-Kto ich zwolnił?

-Zastępca szefa, Bez - Mar wpatrzył się w podpis szefa.

Twist wytarł głowę ręcznikiem i podszedł do stołu.

-Siadaj Twist, pisz raport do teścia. Proś o awans i nawyzywaj go od takich synów.

-Napiszę wszystko - Twist siadł za maszyną.

Nim zaczął pisać, przyniesiono list znaleziony w celi rannego więźnia:

„Przyznaję, ja więzień numer sto siedemnaście, że nie powiedziałem wszystkiego. Czuję, że zabije mnie Ramz. Jeśli mnie zabije, wiedzcie: ja i Del ukradliśmy złoto dla Ramza. Jest mordercą. Mieszka w Voir. Zamek w Voir...”

Podpisu więźnia me było. Nie zdążył napisać wszystkiego, ręka mu się trzęsła w chwili pisania listu, śmierć szła po niego.

Jeszcze przed południem raport był gotów. Liczył czternaście stron maszynopisu i w trzech kopiach opisywał zdarzenia w więzieniu, list więźnia, sprawę dziewczyny z gospody, starca z rzeki, sugerował przeszukanie dna rzeki i wskazywał zamek w Voir, jako miejsce pobytu zbrodniarza, oznaczonego literą S. Podpisany przez Mara, Rika i Twista, opieczętowany terminem „tajne”, został oddany natychmiast. Po trzech godzinach wszyscy zostali wezwani do gabinetu Beza,

- Siadajcie. Dziękuję za raport.

- Przeszukać zamek w Voir?

- Nie. Nazwiska Ramz nie używać. Zapomnieć o całej sprawie.

- O jakiej sprawie? Z raportu wynika, że jest ich co najmniej siedem.

- Jest jedna - krzyknął Bez. - Jedna - uspokoił się - szukajcie na dnie rzeki kosmitów i sprawdzajcie stan zdrowia w szpitalach. Czujność, ale więcej nic.

- Więzień numer sto siedemnaście - zaczął Twist.

- Więzień numer sto siedemnaście - skończył Bez - przechodzi w inne ręce. Nasze śledztwo zostaje przerwane.

- Szanowny panie Bez. Nie pytam pana, czemu stan straży więziennej był niezadowolający. Nie pytam, czemu zwolnił pan dwóch strażników, czemu zabiera nam więźnia i odsuwa od śledztwa. Nie pytam, ale składam rezygnację - Mar wstał. Rik również. Twistowi nie pozostawało nic innego.

- Również dziękuję. Sprawa znajdzie się u pańskiego szefa, panie Bez.

- Sprawa ukrywania faktów i zaniedbywania obowiązków - dodał Rik.

- Gnoje! - ryknął Bez - Siadać!

Uspokoił się trochę, ale głos miał podniesiony:

-A więc przyjmijcie, drodzy panowie, do wiadomości. Ministerstwo Wojny odsunęło od sprawy mnie i mojego przełożonego. Dzisiaj po waszym raporcie. Pojawił się w nim pseudonim Ramz. Nie tylko wam, ale i mnie odebrano więźnia. Słuchajcie, panowie oskarżyciele. W przeciągu dwóch tygodni wybuchły w mieście dwie bomby. Doszło do tego, że rozwalają więzienie i zabijają niewygodnych ludzi. Dwóch strażników ucieka i nabiera trzech zapapranych detektywów na korupcję wewnątrz Rady. Wszystko pod symbolem księżycy na zielonym tle. Tak, księżycy. Czy mam wam przypominać, czyje to godło? Kto ukrywa się pod pseudonimem Ramz? Po co napady na banki? Zamieszanie, tropy bez celu, bomby? Czy mam wam przedstawić opinię biegłego, że nie mój podpis widnieje na karcie zwolnienia strażników? Czy mam zadzwonić do Rady Wojennej i was prosić o pogadanie z nimi, bo wy się nie zgadzacie? W końcu, rozkazuję: nie rozpowiadać o sprawie. Wasz domniemany nieziemski przybysz - nie istnieje. Wasz człowiek z kosmosu, który niby to przypadkiem dołącza do wojskowego transportu złota. To nie morderstwa bez motywów popełnione przez jakiegoś tam szaleńca. To akcja wojskowa.

Odetchnął.

-I jeszcze: dziękuję, Twist, za dzisiejszy wyczyn. Panom też dziękują.

Siedli w milczeniu. Bez widząc, że kilka słów wypowiedział zbyt mocno, zmienił ton.

-Przepraszam, panowie.

-Nie ma o czym mówić, panie Bez. Czy teraz, gdy już wiemy o co chodzi, możemy zadać kilka pytań? Obiecujemy dyskrecję - zapewnił Rik.

-Proszę.

-Nie zaintrygowała pana sprawa zarazy? To są fakty.

-Fakty, ale spreparowane przez Ramza. Próbuje zasiać panikę w mieście. Tak, wszystkie fakty spreparowane. Tak, jak list więźnia.

-Co?

-Więc skoro do tego doszło, ja zadam panom pytanie. Czy więzień, który powiadomił was o liście, wie, że numer sto siedemnaście żyje?

-Tak, powiedziałem mu. Nie było instru...

-List jest sfalszowany. Zamek w Voir, przeszukany. Nie ma tam nikogo i niczego. Od pięćdziesięciu lat nie było. Nie pierwszy i nie ostatni fałszywy trop, którym chcieliście, jak słyszałem, iść. A oni wiedzą, że sto siedemnaście żyje. To klocek w piramidzie Ramza, lecz jeśli jego zabraknie, runie cała budowla. Więzień ten nie napisał żadnego listu, i nic, jak wynika z dzisiejszych zeznań, nie skłoni go do mówienia. Wojsko chroni go dzień i noc...

-Nie upłynął jeszcze nawet dzień...

-Wojsko chroni go i pyta, ale on milczy. Nazywa się to fanatyzmem religijnym.

Twist pochylił głowę. Mar i Rik nie znajdowali odpowiednich słów.

-Czy oni wciąż działają? Po ostatniej wojnie zdawało się, że ich idea przestała istnieć.

-Istnieć? Na naszej wyspie ma setki zwolenników. Nawet w naszym więzieniu. Są to strażnicy, więźniowie... I inni ludzie. Rozmawiając z wami, też nie mam absolutnej pewności...

-Dziękujemy za zaufanie, panie Bez.

-Idąc bez broni korytarzem więzienia - rzekł Twist - miałem pomysł, by otworzyć jedną z cel. Przez chwilę myślałem, że więźniowie mogliby mi pomóc w ujęciu Dela,

-Cud, Bru, że nie wykorzystałeś tej myśli.

-Kto przesłucha więźnia, który powiedział nam o Liście?

-Przesłucha go wojsko. Oczywiście bez powodzenia. Gdybym mógł zawiadomić was wcześniej, nie doszłoby do tego. Dowiedziałem się wszystkiego dziś w Ministerstwie, po waszym raporcie.

-Po ostatniej wojnie powinni zostać wystarczająco rozbici?

-Zostali. Naturalnie, nie zagrażają miastu, lecz akcje ich mogą nas 'kosztować jeszcze немало istnień ludzkich".

-Czy nie sądzi pan, że wojsko miesza się w to dość późno. Czyli najpierw my, zapaprani detektywi, że użyję pańskich słów, załatwiamy robotę śledztwa, bronimy więzienia, a potem przychodzi wojsko i odstawia nas od sprawy? - spytał Rik.

-Raport o przechwyceniu złota i ujęciu sprawcy napadu powinien znaleźć się na moim biurku już wczoraj. Prosiłem o to wyraźnie. To się nazywa zaniedbywanie obowiązków, panie Rik.

-To pan Mar znalazł złoto. Laur spada na jego głowę - uśmiechnął się złośliwie inspektor do spraw kradzieży.

-Nie wiedziałem wczoraj, że sprawa złota stanowi dla Ministerstwa taką wagę.

-Nie informują nas należycie - zauważył Twist.

-Czy nie należą się nam jakieś podziękowania od nich? Znaleźliśmy broń wyznawców Księżyca - powiedział Mar. - Profesor Hal i profesor Lucienne badają jej działanie i szukają odpowiednich leków.

-Sprawa zarazy - rzekł Bez - zbyt ..blisko sąsiaduje z waszą literacką fantazją o latających pojazdach Kto to pisał?

-Ja - rzekł Twist..'



Bez wyciągnął rękę po kopię raportu i czytał:  
„Profesor Lucienne, naoczny świadek

ładowania pojazdu”...

Rzucił raport na stół.

-Widział ogień i tyle. Ogień podłożyli ci z gwardii Księżyca. Zabili starca i dziewczynę, by oczyścić szlak, którym miało dojść złoto pochodzące z napadu na bank. Tak trzeba było napisać, Bru Teraz wiesz?

-Teraz wiem. Odrzucasz teorię profesora Lucienna?

-Bezwarunkowo. Teorię Lucienna i ten fragment o dziewczynie, która została podrapana przez przybysza z innej planety.

-A znaleziska profesora Lucienna?

-Są nic nie warte.

-A zaraza? Profesor Hal jest zdania, że przybyła z innej planety.

-To broń chemiczna. Rzeczywiście nią zabito dziewczynę i starca.

-Zgadzasz się na przeszukanie rzeki?

-Tak, szukajcie.

-Ale potrzebujemy pomocy wojska.

-Nie udziela wam jej. Tę zabawę zostawcie na później. Za dużo zamieszania jest w mieście. Człowiek, którego zastrześliłeś, Bru, jest jednym z wielu.

-Słyszałem jak Del mówił do więźnia: „Generał kazał”.

-Tak - Bez schował raport do teczki. - Nazwali go w liście Ramz. Zrobili z niego niewinnego bankiera, który chce córce zbudować w posagu karekę ze skał sylwanitu. Za złoto kupują broń. On jest ich religią, on istnieje, działa i zbroi ich.

-Do akcji przeciwko miastu?

-Tak. Dziękuję, panowie.

Wstali.

-Chciałbym zamienić kilka słów z tobą, Bru.  
Wybaczcie panowie, to sprawa prywatna.

Inspektorzy wyszli.

-Chcę ci powierzyć pewną funkcję.

-Mów.

-Za dwa dni furgonetka zabierze z więzienia wojskowego więźnia sto siedemnaście. Zostanie upozorowany napad. Ty tam będziesz i zabierzesz go do swej willi. Nie ufamy nawet strażnikom. Tylko tobie mogę w końcu zaufać. Sprawa jest ściśle tajna i pozornie niebezpieczna. Elia na ten czas zamieszka u mnie...

-Mieszka u mnie dwoje ludzi, chłopiec i Lucienne.

-Jaki chłopiec?

-Sierota, wnuk tego człowieka z rzeki.

-A więc sierota i wariat. No i co?

-Nie wiem, czy będę mógł przyjąć jeszcze jednego człowieka.

-Boisz się? - spojrzął na niego uważnie.

-Przyznam się, że tak.

-Odmawiasz?

-Czy to polecenie służbowe, czy prywatna prośba?

-Prośba. Nasz więzień jest ważny.

-Czemu, skoro jak sam powiedziałeś, nie będzie mówił?

-Więc wyznam ci: on zaczął mówić. Jedyne z ich sekty zaczął mówić. Zna nazwiska, adresy. Mówi i nie kłamie. Po prostu jest słabym wiernym. To tchórz, chorągiewka, a my jesteśmy teraz wiatrem. On mówi, Bru. Był jedną nogą na tamtym świecie. Swoi chcieli go tam wyprawić, a przecież nie zdradził. Teraz to zrobi. Może nie dojść do strzelaniny dzięki jednemu człowiekowi. Czekamy na najcenniejszą od niego

wiadomość. W końcu powie. Oby nastąpiło to prędko. A wtedy otoczmy tę bandę.

-Wojsko nie chce go chronić?

-To pomysł naszego szefa i tych z Wydziału Wojskowego, Wybrali ciebie. Dowiedzieli się, że to ty zabiłeś Dela. Tobie mogą zaufać, nie prowadzisz podwójnej gry. Prośli mnie o radę, a ja mam tylko dwoje ludzi, którym mogę ufać. Córce i tobie

-I sobie. Czemu ty lub pomysłodawcy nie weźmiecie go?

-Trzeba być z nim cały czas, nie odstępować. Musisz go pilnować.

-Widzę, że postanowiłeś już.

-Nie grozi ci absolutnie nic. Twoja willa jest świetnie ukryta. Na kilka dni. Wystarczy, by ostatecznie załatwić sprawę Księżyca. Nikomu nie mów. Nie istnieje przyjaciel Hal, Lucienne, chłopak, Rik czy Mar. Jutro przyjdiesz do mnie po szczegóły.

-Jeszcze jedno. Oni wiedzą, że zabiłem kogoś z ich grupy. Mogą się mścić.

-Nie mogą, nie znajdą ciebie. A więźnia będą szukać w obiektach wojskowych.

-Czasem myślę, że Elia przyszła ze skargą na mnie. To świetny sposób na pozbycie się męża.

-I zięcia, Bru - zaśmiał się Bez.

Twist zaledwie się uśmiechnął.

-Dziękuję ci, chłopcze.

-Podziękujesz mi później - ożywił się - przynajmniej mam nadzieję.

-Pozdrów Elię.

-Jeśli będę miał sposobność - mruknął i wyszedł z gabinetu zastępcy szefa Rady Kryminalnej.

W samochodzie czekali na niego inspektorzy.

-Podwieziemy cię - Mar włączył silnik.

-Piękny wieczór.

Ruszyli.

-Myślę, że tam w górze jest lepszy świat - westchnął Rik.

-Oby tak było. Lucienne zbuduje z tych odnalezionych kawałków pojazd i opuścimy Ollon - zażartował Mar

Twist zaśmiał się.

-Więc śledztwo zakończone, Voir jako trop nie ma znaczenia. Ślady za naszym przybyszem z kosmosu zacierają się. Dno rzeki pozostaje nie zbadane. Myślę, że ten nieziemski morderca był tylko nasza fantazja. Poniosło nas, przyjaciele, w wyobraźni. Ha, nie martwię się. Może tylko profesor Lucienne będzie zawiedziony.

Kiwnęli w milczeniu głowami.

Twist przymknął oczy i w wyobraźni stworzył postać poszukiwanego. Był to ten sam człowiek, z którym tydzień później miał stanąć twarzą w twarz. Nadchodził wieczór.

\* \* \*

W pałacu Quell, stojącym na skale nazwane i wzniesieniem Lions, trzech żołnierzy wprowadziło do komnaty Jezusa, Uśmiechał się drwiąco, Przerastał ich o głowę. Generał poderwał się od stołu. Oczy wpił w stojącego przed nim człowieka i nie mógł ukryć podziwu, im dłużej mu się przyglądał.

-Pies, którego zraniłeś, zdechł w męce - krzyknął, a w głosie jego więcej było zdziwienia niż złości.

-Pies rzucił się na mnie.

-Wiem. Od tego był. Zastępował strażników. - Zamyślił się - Straszna śmierć masz w sobie, przybyszu. Zaczynam ci wierzyć, że spadłeś z nieba - zaśmiał się zimno.- Zwierzęta tracą życie od twego

ciosu, ty uczysz się naszej mowy w jeden dzień  
Przywozisz mi złoto, jakiego nie ma na naszej planecie.  
Skąd mam pewność, czy mogę ci ufać?

Twarz Jezusa była spokojna. Broda, jaka mu urosła, okalała ostrą szczękę i zaciśnięte, wąskie usta. W pięknych oczach na dnie błyszczał kamień. Brwi gęste i czarne, niesamowite przy jasnych i długich, anielskich włosach, zasłaniały spojrzenie. Długie nogi rozstawił. bawił się palcami swej lewej dłoni. Czasami odrzucał głowę w tył jak jastrząb.

- Nie ufaj - odparł.

- Zabiję cię.

- Zabij.

- Jesteś z nami, czy przeciwko nam. Uznajesz  
Księżyc?

- Uznaję.

- Jako religię? Przyjmę cię wtedy do gwardii.

- Przyjmij.

- Ludzi mam wielu, ale mało takich jak ty.

- Tak.

Jeden z naszych zdradził. Del, który cię tu przyprowadził, próbował zdrajcę zniszczyć, ale bezskutecznie. Ty zrobisz to. Wyprawię cię do miasta.

- Wypraw.

- Gdy ktokolwiek dowie się teraz, gdzie leży nasz sztab, powstanie skończy się bardzo szybko, rozumiesz?

- Nie.

- Nie byłoby wojny, byłaby zagłada.

- To samo.

- Co powiedziałeś?

- Śmierć.

- Zagłada przyniosłaby śmierć.

- I wojna.

- Lecz wojna nasza prowadzi do wolności

- Śmierć.

- Tak, śmierć też się zdarza na wojnie, Ale zwycięża wolność, rozumiesz?

- Nie, nie zwycięża.

- Religia Księżyca zwycięża. Co może zniszczyć tę religię?

- Śmierć.

- Nie, mylisz się. Milcz. Gdybyś nie był mi potrzebny, oddałbym cię wiernym

- Oddaj.

- Potrzebuję twojej siły i twojego złota.

- Rozumiesz? To warunek powodzenia.

- Tak.

- Mogę ci ułać?

- Nie.

- Nie mogę ci powierzyć tej misji?

- Tak.

- To czemu, gdy mówię o zaufaniu, odpowiadasz: me?

- Czemu?

- Właśnie, czemu? Dlaczego nie dbasz życie? Nie nosisz w sobie żadnej myśli? Nie poszukujesz celu? Jesteś człowiekiem?

- Tak.

- Skąd przybyłeś?

- Z Ziemi.

- Tu jest Ziemia, Przybyłeś z innej Ziemi?

- Tak.

- Po co?

- Nie wiem.

- Odjedziesz dziś. Zabiłeś już kogoś, czeka cię jeszcze mały wysiłek.

- Nie męczę się.

- Ode idź. Czarny chłopiec, który przyszedł z tobą, będzie ci towarzyszył. Za złoto zapłaciłem ci już.

Wyszedł. Spłowiwały od słońca mundur generała dopalał się przy resztkach promieni zachodzącego słońca, wlatujących przez okna do komnat. Generał wyszedł przed pałac. W bunkrach pod pałacem mieścił się skład amunicji, broni i żywności. Żołnierze odpoczywali

Rozpięte mundury, rozłożone do czyszczenia karabiny, stosy kuł, taśm z nabojami, skrzynie granatów. Bunkier składał się z szesnastu oddziałów, połączonych ze sobą głównym tunelem.

- Generale, ten szaleniec wyszedł z pałacu.

- Wiem, poruczniku.

- Ośmielam się zauważyć -...

- Nie ośmielaj się zbyt. Czy otrzymał Instrukcję, zdjęcia i broń?

- Tak, ale to...

- Kto?

- Szaleniec.

- Wszyscy jesteśmy szaleni, porucznika.

- Zdradzi nas.

Generał roześmiał się. Porucznik był młody, o chłopięcej twarzy.

- Tak pan sądzi, poruczniku? Zdradzi, nie będąc zaprzysiężonym? Zdradzi, ale co? Znajdą, miejsce naszego pobytu? Tak, ale tylko wtedy, gdy tamten w mieście im powie. Jak może zdradzić automat? Mechanizm? Zdrada rodzi się z przekonań lub tchórzostwa. On nie podlega tym uczuciom.

- Jest chory...

- Jeśli chorzy nie pójda walczyć, przegramy sprawę, poruczniku.

- Tak jest.

- Poza tym, ma pan lepszych od niego?

- Potrzebowałbym czasu na szkolenie, nie więcej jak...

- Nie mamy czasu, poruczniku.

- Czy zmienimy miejsce naszej bazy?

- Poruczniku, to pan oszalał. Gdzie ja pójdę z tymi ludźmi i sprzętem? Jest ich koło tysiąca i kilkadziesiąt ton ładunków. Wskażcie mi taki punkt na mapie. Którędy on poszedł?

- Wzgórzem, generale. Do stacji pociągów. Jak kazano, poszedł z nim Coli.

- Dobrze. Lornetkę.

Młody porucznik podał mu ją. W pałacu Quell, stojącym na skale nazwanej wzniesieniem Lions, pogasły światła.

- To nasz przyjaciel, poruczniku - generał przybliżył lornetkę do oczu. - Wszystko w ręku Boga. To nasz przyjaciel. Najlepszy człowiek, jakiego znam.

4.

Jeszcze tego samego wieczoru profesor Lucienne spakował swoje rzeczy i wyniósł się ze strychu. Przed willę zajechał ciężki samochód transportowy, mający rzeczy profesora zawieźć wprost do mieszkania Hola. Profesor pożegnał się z chłopcem i Twistem (Elia spała) i na odchodnym z wyraźną wściekłością powiedział:

- Ten pański teść, panie Twist, powinien podać się do dymisji. Jest głuchy i ślepy jak pień.

- Może i tak, profesorze. A pan będzie kontynuował pracę? - zapytał Twist.

Profesor spojrział na samochód z zapakowanymi przyrządami i odrzekł:

- Tak, miły panie. Ale lunety zastąpi mikroskop. Zamierzam pomóc Halowi w jego ciężkich badaniach.

- Prowadzą do czegoś?



-Dziś się okaże. - Zapiał guziki duże ciepłego płaszcza. - Niech pan jedzie ze mną.

Twist zgodził się w jednej chwili. Chłopiec szykował się do snu, Elia po wypiciu sporej ilości alkoholu spała jak zabita, a jemu perspektywa spędzenia kilku godzin w oczekiwaniu na sen w fotelu z wystającymi sprężynami nie wydawała się bynajmniej nęcąca. Ubrał się szybko i usiadł w sofierce obok Lucienna i kierowcy.

Stary motor zawył, strzelił, z rury wypuścił smugę dymu, jeszcze raz zawył, jakby się rozdarło siedem kotów, i, o dziwo, ruszył.

-Jest w tym trochę zimnego wyrachowania, miły panie - zwierzył się profesor w połowie drogi. - Ktoś musi mi ten majdan pomóc wnieść.

Twist uśmiechnął się głupio i nie odpowiedział. Przypomniał sobie pokój Hala, mieszczący się na czwartym piętrze, spojrzał na chudego kierowcę i starego profesora. Poczł już na plecach ciężar całego transportu. Ale rzeczywistość przerosła wyobraźnię i młody detektyw przekonał się o tym prędko.

-Jeszcze jedna skrzynia, miły panie.

Koło jedenastej dobytek Lucienna ustawiony już był w pokoju Hala. Dwaj starzy przyjaciele rozmawiali ze sobą poważnie, a Twist, wyciągnięty na kanapie jak zdechły kogut, zdawał się nie myśleć i nie czuć niczego. Przyjaciele pochylili się nad biurkiem Hala, ozdobionym całą masą szklanych naczyń, rurek, probówek, i ucichli, oddając się badaniom. Cisza zrobiła swoje i Twist zasnął.

Obudziło go lekkie szarpnięcie za ramię. Stał nad nim jego przybrany ojciec i trzymając przed sobą małą strzykawkę, jak relikwię podnosił na wysokość oczu.

-Jest, Bru. Mamy to.

Twist wstał momentalnie. Hal majestatyczny i milczący, jak kapłan przed udzieleniem chrztu, zaniósł swój skarb na biurko, tam siadł i wpatrzył się w leżącą przed nim strzykawkę. Profesor Lucienne był nie mniej wzruszony. Twist poczuł wagę chwili. Siedzieli w trójkę nad odkryciem profesora i czcili ciszą zakończenie doświadczeń.

-Jakie są składniki?

-Mnóstwo. Związki meperydyny i pochodne benzenu, witaminy K, peyotl.

-I dziwna mieszanka antybiotyków według mojej receptury.

-Jesteś tego pewien, Hal? - zapytał Twist, ostrożnie biorąc w palce strzykawkę.

-Pewni są tylko głupcy, Bru. - Hal wstał od stołu. - Obym nie musiał upewniać się o działaniu mego lekarstwa. Wszystko co było, chciałbym uznać za koszmarny sen, który już się nie powtórzy. - Odebrał i schował strzykawkę do biurka. - Zrobiłem, co w mojej mocy. Dałem szansę następnemu człowiekowi dotkniętemu zarazą. To jedyna, lecz niepewna szansa. Oby nie musiał z niej korzystać.

-Jakie są zalecenia? - zapytał Lucienna.

-Lekarstwo powinno być podane nie później, niż trzy godziny od chwili zarażenia. Oczywiście dożylnie. Mogą wystąpić po nim zaburzenia oddechowe, a nawet zapaść. Kontrola lekarska cały czas. Jeśli zmiany w zarażonym organizmie nie ustąpią po upływie dziesięciu godzin, chorego czeka śmierć. - Zdenerwował się. - Słuchaj, synu, ten Bez jest wariatem. Rozmawiałem z nim dziś przez telefon. Dał mi błogosławieństwo w mojej pracy i kazał się nie przejmować,

-To bardzo proste, ojczy. On nie widział tych ludzi.

-Chyba masz rację. Każdego takiego spokojnego faceta trzeba brać na wycieczkę do grobowca, zamykać go w nim, i dopiero gdy zaczyna krzyczeć ze strachu, wypuszczać.

-Zwrócił się do Lucienna - popracujemy jeszcze, stary?

-Popracujemy - z radością zatarł ręce astronom. - Kiedy to było ostatni raz, Hal?

-Razem w ławce? Przed trzydziestu łąty. Na krótko przed wybuchem wojny. Czekał, zamówię Bru taksówkę. Ojciec powinien troszczyć się o dziecko, zaśnie nam na stojąco.

O trzynastej w nocy Twist wyszedł z bramy domu Hala i dostrzegł czekający na niego samochód. Poczł dziwny strach Ręce spociły mu się, gdy szedł przez zatopioną w ciemnościach ulicę. Jego kroki na brukowanej dużymi kamieniami jezdni wydawały się głośniejsze niż zwykle. Taksówkarz czekał cierpliwie. Twist nie mógł dojrzeć jego twarzy. Otworzył drzwiczki, wsiadł i podał adres. Ruszyli bardzo wolno.

-Ależ pan jechał. Prędeż bym tu zaszedł piechotą.

-To trzeba było iść piechotą.

-Ile płacę?

-Piętnaście za kurs i dziesięć za nerwy - odparł beczelnie szofer.

Willa zasłonięta szumiącymi choinkami była tuż tuż. Zdziwił się, gdy zobaczył, że w oknie na strychu pali się światło. Otworzył drzwi. Nie zdejmując płaszcza pospieszył schodami na górę. Zawiasy skrzypnęły. Na niewygodnym fotelu siedziała skulona Elia. W dłoni trzymała kieliszek. Była umalowana. Włosy spadały gęstymi lokami na nagie ramiona. Przezroczysty szlafrok był ledwie narzucony na ciało.

-Dlaczego nie śpisz, Elia?

- Chłopak mnie zbudził.

- Jak to, zbudził? - postąpił kilka kroków w przód.

- Zwyczajnie, zbudził. Przyszedł do mnie i zaczął opowiadać o sobie. Czy to prawda, że stracił rodziców, a potem dziadków? - wypięła łyk. - Rozumiem, dlaczego go wzięłaś. Jest tym samym dla ciebie, czym ty dla Hala. Początkowo myślałam, że przyprowadziłeś dziecko, by mi dokuczyć. Ale to nieprawda?

- Dokuczyć - powtórzył z oburzeniem.

- Nie złość się - poprosiła słodkim głosem. - Tak dawno nie rozmawialiśmy, a ty się złościysz. Zatelefonował ojciec. Prosił, żebym zamieszkała z chłopcem u niego. Tak nalegał, że się zgodziłam. Jutro mam do niego iść. Czy to jakaś tajemnica, Bru?

- Żadna tajemnica. Ojciec ci nie powiedział?

- Powiedział, że ty prosiłaś, że chcesz odpocząć i popracować. Ale sapał, jak mówił, a tato zawsze sapie, gdy kłamie.

- To prawda, chcę odpocząć. Idź się położyć, Elia.

- Już mnie wyrzucasz? Żegnamy się na kilka dni, a chcesz, żebym już odeszła?

- Słuchaj, kochanie, myśmy się pożegnali pół roku temu, wtedy, kiedy zaczęłaś się zalewać. Raz na kilka miesięcy trzeźwiejesz i wtedy zbiera ci się na czułości. Zrozum Elia, ja sam wybiorę miejsce i czas na naszą rozmowę. Oczywiście jeśli uznam, że ona do czegoś doprowadzi. Teraz ci mówię: idź spać i do jutra staraj się ograniczyć picie.

- Trzy lata, trzy lata. Bru, i zbliżamy się do końca? Tak się skończy nasze wspólne życie?

- Twoje życie ze mną? Nie nazywaj tego wspólnotą.

- Ale byliśmy szczęśliwi, Bru?

Twist przypomniał sobie słowa Hala. Chciał być inny dla Elii, ale nie mógł. Teraz pomyślał, że nie powinien tak do niej mówić. Spojrzał więc z większą

przyjaźnią. Ona zobaczyła w jego oczach, że patrzy na nią jak na chorą, ze współczuciem, litością. Nie wytrzymała;

- Jesteś potworem, mój drogi panie Twist.

- A ty? A ty kim jesteś?

- Nie ma w tobie odrobiny mężczyzny.

- Słuchaj, gówniaro. Hal mówił, że coś tam u ciebie psychicznie nie tak, ale ja uważam, że należy ci się porządne lanie, kubel zimnej wody i na miesiąc odizolowanie od społeczeństwa Książki, mleko, muzyka, telewizor. Sprzątanie i dziecko do opiekowania się nim. Spuszczę ci lanie, jeśli twoje humory będą się jeszcze powtarzać. Jasne?

Zbliżył się do niej.

- Zrozumiałaś?

Spuściła oczy.

- Tak - szepnęła.

- Popatrz na mnie.

Podniosła oczy.

- Nie chcesz mnie, Bru?

- Nie wiem - miękł. - Nie patrz tak, cholera, na mnie.

- Nie chcesz mnie, Bru?

- Do diabła ciężkiego - uśmiechnął się lekko - kto mówi, że nie? Nie powinienem tego robić... mhm, pedagog ze mnie żaden.

- Nie chcesz mnie, Bru? - powtarzała ciszej i ciszej, a Twist roztapiał się jak wosk.

Sprężyny w fotelu były straszliwe. Fotel skrzypiał, zapadał się. Twist wplątywał się we

włosy żony, walczył ze złośliwością przedmiotów martwych, coś powtarzał miłego,

wykonywał łamańce...

Elia śmiała się. Odpoczywali.

-Następny raz wolę w łóżku. Na ile czasu się rozstajemy, Bru? A może nie chcesz, żebym wyjeżdżała?

-Chcę. Tak chyba będzie lepiej dla nas.

-Chyba masz słuszość. Postaram się nie pić, ale teraz podaj mi kieliszek. W gardle mi zaschło.

Wstał, westchnął, podał.

-Będę gasić pragnienie wodą, przyrzekam. - Zmieniła temat. - Ten chłopiec będzie z nami cały czas?

-Przecież go nie wyrzucę.

-Ile ma lat?

-Dziesięć, ale wygląda na dwanaście.

-Postaram się do niego przyzwyczać - powiedziała z przekonaniem. - Ale nigdy to nie będzie nasze dziecko.

-Postaraj się.

-Zamówisz mi taksówkę jutro? Nasz samochód jest w złym stanie.

-Widziałem, Byłem dziś w garażu. Zamówię ci taksówkę jutro, rano, Pojedziemy razem do miasta. A teraz chodźmy spać.

Położyli się w ich dawnym małżeńskim pokoju, który od dłuższego czasu był pokojem Elii. Chłopiec spał w gościnnym, tak nazywano salon, który był drugim i ostatnim pomieszczeniem w willi, nie licząc kuchni i strychu. Obudzili się po dziewiątej. W kuchni spotkali chłopca.

-Cześć, Twist!

-Cześć, mały - ziewnął Bru, - Powinienem ci dać imię - dodał z wyrzutem.

-Nazwisko już masz - rzekła Elia, krojąc chleb - Twist!

-No, jakie imię? - zwrócił się pan domu do gospodyni.

-Trudna sprawa - przestała kroić Elia - Peperek?

-A niech to - zaklął mały ze złością.

-Nie, nie - uspokoił go Twist. - Ona tylko próbuje.

Rano nigdy nie miała najlepszych pomysłów.

Nim skończyli śniadanie, zajęła taksówka, Elia z jedną skórzaną torbą i chłopiec z tekturową walizką usiedli z tyłu. Twist na przednim siedzeniu.

-Do centrum.

-Kupię ci kilka ubrań - zwróciła się do chłopca. - Przecież ty nic nie masz w tej walizce.

-Nie wziąłem rzeczy ze stacji, ale tam mam. Mam dużo ubrań - zapewnił chłopiec.

-Wolałbyś nowe?

-Tak.

-Bru, daj mi pieniądze.

Twist zamierzał odpowiedzieć zaczepnie, a co to są pieniądze? Bo takich od dawna nie widział, ale oddał wszystko, co mu zostało w portfelu.

-To wszystko? Schowaj. Wezmę od ojca - oddała portfel,

-Pożyczysz? - poprawił Twist.

-Kiepsko, co? - konfidencjonalnie zagadał kierowca. - Na wojsko wszystko idzie. Ci z bandy Księżyca działają - uderzył dłońmi w kierownicę. - Dwadzieścia lat po wojnie i znowu się zaczyna. Na wojnie żonę straciłem. I dom zburzyli. Nic nie miałem. Dopiero na taksówce zaczęło się zarabiać.

Wymienił dość wysoką liczbę.

-Kto wie? Może i ja naprawię samochód i będę jeździł?

-A pan co robi?

-Najczęściej błędy - Twist nie powiedział więcej, tylko patrzył w szybę, jako że podjeżdżali pod gmach Rady.

Chłopiec został w samochodzie. Elia i Bru podążyli do gabinetu Beza. Otworzył na ich widok ramiona.

-Masz klucze, córeczko. Mieszkanie jest przygotowane. Będzie ci tam wygodnie. A gdzie chłopiec?

-Czeka w samochodzie. Pożycz trochę pieniędzy, Bez - rzekła Elia. - Oddam ci w tygodniu.

I ona, i on wiedzieli, że nie odda, lecz taki obowiązywał zwyczaj. Bez wyciągnął z marynarki portfel.

-Byłbym zapomniał - wręczył jej kilka cennych banknotów.

-Za dużo, tato Za dużo.

-Mam z Bru nie wyrównane rachunki. W ten sposób spłacam zaledwie część długu. Nie patrz tak na mnie, nie oszukuję, to jego zarobione pieniądze. A właściwie część.

Elia rzeczywiście słyszała, że mówi prawdę nie sapał, i zdziwiła się jeszcze bardziej.

-Mój mąż otrzymał takie stanowisko? - zapytała z niedowierzaniem.

-To nagroda z pracy.

-Pracuje z tobą, tato?

-Owszem. Współpraca układa nam się wyśmienicie.

-Wy macie jakieś tajemnice - stwierdziła, chowając z zadowoleniem pieniądze.

Ojciec Elii roześmiał się i dość szybko odprowadził córkę do drzwi.

-Trzymaj się, Bru!. Zadzwoń do mnie, jak ci się znudzi samotność - wyszła.

Bez w milczeniu wskazał Twistowi krzesło i podsunął mu kartkę do podpisania.

-Mam to podpisać?



-Tak, tak - szperał w zakamarkach biurka. - Taka jest procedura. Na wszelki wypadek musisz posiadać broń. - Ujął pistolet - jest twój. Możesz się przejść na dół i poćwiczyć w strzelnicy. Nie obawiaj się, chłopie.. To nic nie znaczy.

-Wiem, taka jest procedura - wstał. - Co z moimi kolegami? Mar i Rik zdziwią się, że nie przychodzę do pracy.

-Już im to wytłumaczyłem. Wcale się nie zdziwią.

-Powiedziałeś, że mam kłopoty z Elią?

;- Przyznam, że tak - ze smutkiem stwierdził Bez. - To przykre żerować na chorobie córki. Ale cóż robić?

-To pójdę poćwiczyć.

-I przychodź. Ja przez ten czas załatwię kilka spraw. Baw się dobrze, chłopcze.

W strzelnicy było teraz pusto. Stanął w boksie. Sto nabojów wręczył mu dyżurujący policjant.

-Wal, przyjacielu.

Zmieniono mu dwie tarcze. Posiekał ściany, narobił smrodu i dymu.

-Kilka strzałów zupełnie niezłych jak na żółtodzioba. Ale w ogóle to strzelasz, człowieku jak włamywacz-amator.

-Jak?

-Przymierza się, przymierza, a kończy w pudle.

Chciał oddać resztę naboji.

-Zabierz je.

Wrócił do Beza. Rozmawiali długo. Razem poszli na parking. Tam Twist wsiadł w nowy, wygodny samochód.

-Nie rozbij go do jutra!

-A więc do jutra!

-Nastaw zegar i śpij dobrze. Trasę znasz?

-Znam.

-Bywaj Bru.

Twist spał źle tej nocy, pomimo telefonu Elii. Była trzeźwa, roześmiana i szczęśliwa. Wykupiła dla chłopca cały magazyn odzieżowy. Po kolacji wykąpała go i ułożyła do snu. Sama oglądała program telewizyjny.

- Dobranoc, kochany.

- Dobrej nocy, Elia.

Śniły mu się zjawy, robactwo i duchy. Rano obejrzał twarz w łazience. Podkrążone, sine oczy, ziemista cera. Zaklął. Umył się, ubrał, wypił dwie mocne i duże kawy. Spojrzał na zegarek.

Wyprowadził nowy wóz z garażu. Miał trudności z zapaleniem silnika. Spojrzał ze złością na własny, rozbity samochód. Stały obok siebie całą noc.

Wreszcie zapalił.

—

O ósmej rano stał w lasu i czekał na furgonetkę. Wypadki potoczyły się bardzo szybko. Furgonetka zaryła w zasłonięty liśćmi rów, odpadło koło. Zauważył, jak tylne drzwi furgonetki otwierają się, wybiega z nich więzień, jakiś człowiek, nie strażnik, chwyta go pod ramię i ciągnie do lasu. To były sekundy. Twist zapalił silnik bez trudu. Po chwili więzień siedział obok niego. Człowiek, który go przyprowadził, uciekł w głąb lasu i znikł za drzewami. Ruszyli. Więzień poznał Twista.

- To pan, inspektorze?

- Widzisz, że ja.

- To dla mojego bezpieczeństwa, prawda? - zapytał, nie mogąc ukryć strachu.

- Tak. Chyba obiecali ci to?

- Obiecali - więzień kiwnął głową. Gdzie jedziemy?

- Do mnie - rzekł krótko Twist. - Z tyłu leży ubranie. Przebierz się.

Mknęli z dużą szybkością. Zostawili za sobą las, most, przecięli centrum pod kątem czterdziestu pięciu stopni nie zatrzymując się na światłach. Na jezdni było pusto. Przed dziewiątą zajechali do willi. Więzień sam otworzył drzwi kluczem, który dostał od Twista, a ten wprowadził samochód do garażu. Po pewnym czasie wszedł do domu. Mył ręce w umywalce. Więzień przyszedł do niego do łazienki.

-Dziękuję ci - powiedział.

-Nie ma za co. To nie był zresztą mój pomysł.

-Dziękuję ci za to w więzieniu. Jestem ci winien życie.

-Dobra. Spać będziesz na strychu. Zapomniałem twego imienia.

-Ren, tak na mnie wołali. Ren albo Mały.

-Wolę Ren. Co ty robisz?

Ren stał przed nim z pistoletem w ręku.

-To twój pistolet, inspektorze? - oglądał go. - Pomyślałem przez chwilę, że mógłbym stąd uciec.

-Dokąd?

-Do swoich. Gdybym wyznał im, że nic nie powiedziałem...

-Nie przedarłbyś się. Stuknęliby cię po drodze.

-Tak też myślę - oddał pistolet Twistowi. - Rano mam głupie pomysły.

-Tak jak moja żona - wytarł ręce. - Chodź.

Siedli w kuchni. Okna wychodziły na ulicę.

-Powiesz im? - zapytał Twist. - Powiesz im, gdzie się ukrywają?

-Byłem z nimi dziesięć lat. Wierzyłem. Myślisz, że mogę teraz zdradzić ich kryjówkę?

-Słuchaj, panie Ren. W ostatniej wojnie zginęło kilka milionów. Żadna polityka, żadna religia czy coś tam jeszcze nie uświęca tych zmarłych.

-Nie próbuj mnie nawracać.

- Mam to gdzieś. Ale nie mogę się pozbyć wrażenia, że rozmawiam z trupem. Trudno mi pojąć, jak ty możesz. Jak się czujesz jako zmarły?

- Nie jest tak źle - spojrzał na ramię. - To draśnięcie.

- Rozmawiasz ze mną jak z idiotą. - Twist podniósł się nagle ze stołka. - Tracę do ciebie cierpliwość.

Ren odsunął firankę i odchylił głowę, jakby nagle coś zobaczył

- Co się stało?

- Widzisz ich?

Za drzewami, jakieś trzydzieści metrów od przystanku autobusowego, był rów w ziemi. Siedziało przy nim dwóch ludzi. Czasem spoglądali na willę. Na strychu coś skrzypnęło. Twist wyciągnął broń, wpadł do salonu.

- Na dół! - krzyknął.

- Spokojnie, Bru - Bez uchylił drzwi. - Nie denerwuj się. Schodzimy. Jest tu ze mną ktoś jeszcze.

Drugi był mężczyzną w wieku Beza, nieco chudszy od niego. Miał orli nos i szpakowata włosy. Był w cywilu, lecz chód, ton wypowiedanych słów, sposób patrzenia, zdradzały w nim zawodowego żołnierza. Weszli z Twistem do kuchni.

- To moi ludzie - rzekł mężczyzna, wskazując okno. - Mają rozkaz pilnować willi. Nawet nie wiedzą, co w niej jest.

- Pełny komplet tajemnic - mruknął Twist.

- To pan Bata Mijevs z ośrodka - powiedział Bez. - A to nasz Twist.

- Witam pana, „panie Bata Mijevs z ośrodka” - i wskazał na siebie - a ja jestem „wasz Twist z willi”.

- Nie pora teraz na dowcipy, Bru.

- Czy mam panom zrobić kawy?

- Napiję się chętnie - powiedział Ren.

-Przejdziemy do pokoju? - zapytał mężczyzna.

Właż, „panie Bata Mijevs z ośrodka” - pomyślał Twist. - Zaraz się da kawy „panu Bata Mijevs z ośrodka”.

Poszli z Renem do pokoju Elii. Po paru minutach Twist przyniósł im kawy. Ren siedział z opuszczoną głową, jak wtedy na śledztwie. Bez chodził po pokoju. Mężczyzna z ośrodka siedział sztywno przy toalecie Elii.

-Kanapki? - spytał ostro Twist.

-Dziękuję, nie.

-Nie.

Zamknął drzwi. Mógł słyszeć każde słowo, gdyby przyłożył ucho do lichej dykty, ale nie interesowało go to. Wrócił do kuchni, nalał sobie szklanek zimnej wody, pił i obserwował ludzi w rowie. Gdy mu się znudziło, zaczął chodzić dużymi krokami po pokoju. W końcu przystanął przed drzwiami Elii i słuchał.

-Spełniliśmy twoją prośbę, Ren. - Głos mężczyzny.

-A kara? Czy będzie darowana kara? - Ren.

-Darowana w całości. Zostaniesz przyjęty do społeczeństwa, które zapomni o twoich sprawkach. - Bez.

-Słuchaj, Ren. Zwodzisz nas od dwóch dni. - Bez.

-Możemy poświęcić ci dzisiaj jeszcze jedną rozmowę. Namyśl się do tego czasu. Przy jedziemy wieczorem. - Bata.

-Nie, już nie. Pałac Quell na szczycie LiOUS, sto kilometrów na północny zachód. Tam oni są.

Te słowa powiedział Ren. Bez i Bata wypadli z pokoju. Bata chwycił telefon i rozmawiał krótko szyfrem. Twist odsunął się z przejścia.

-Nie sądziłem, że tak szybko pójdzie. Widzisz, Bru? - Bez się uśmiechnął. - Już po kłopotach. - Odwrócił się - wyrzucić go.

Wyszli. Zamknęły się drzwi willi. Zawarczały silniki dwóch samochodów, zaparkowanych nieopodal, w lesie.

Ren siedział wciąż na łóżku Elii. Twist siadł przy toalecie. Długo patrzył na niego. Upłynęło dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny. Oni siedzieli.- Co ze mną będzie - powiedziałem... co mam robić? - mówił monotonicznie do siebie.

-Wszystko się jakoś ułoży.

-Muszę znaleźć pracę, albo stąd wyjadę.

-Gdzie?

-Nie wiem, nie myślałem o tym - spojrzał na Twista. - Wczoraj mi powiedzieli, że będę tu z tobą mieszkał. Ty masz żonę i na pewno dzieci. Okłamali mnie, ale miałem ich dość. Nienawidzę tych ludzi i w końcu im powiedziałem, żeby mi dali wreszcie spokój. Pozwolili mi zapomnieć. - Wstał z łóżka. - Muszę iść, kazali mi iść - powtarzał uporczywie.

Twist skoczył do okna. Ludzie, siedzący w rowie, zniknęli. Pusta ulica.

Odnalazł numer Beza. Nie miał nadziei, że go złapie w biurze. A jednak Bez tam był. Sekretarka przełączyła go na prywatną linię.

-Tu Twist.

-Nie mam czasu, Bru, nie teraz. Nie mam chwili do stracenia. Wyjeżdżam. Już prawie otoczyli pałac.

-Poczekaj. Nie odkładaj słuchawki. Willi nikt nie pilnuje...

-Wiemy wszystko.

-Tak, ale sto siedemnaście się boi, co z tego, że wy wiecie? Mogą tu przyjść w każdej chwili.

-Niech idzie. Sto siedemnaście jest już bezużyteczny. Wyrzuć go, Bru, nie narażaj siebie. Karę mu darowaliśmy.

-Posłuchaj, stara Świnio! Nie możecie postawić tu dwóch ludzi?

-Po co go trzymasz? - zapytał ostro. - Zamieszka z tobą? Wyrzuc go, nie narażaj siebie:

-Teraz ci coś powiem, szmato. Nic cię nie obchodzi ja, ten więzień, ani nikt - wpadł w ssał. - Nikt, ani mój chłopak, ani Lucienne, nikt. Dbasz tylko o swoją skórę i zdrowie swej córki - pijaczki. Zabrałeś Elii z tego domu i już spokojnie podłożyłeś tu bombę zegarową. Siedzisz tam sobie i liczysz sekundy. Jesteś śmierdzielem, Bez, twoje konszachty z wojskiem nic mnie nie obchodzą. Nie wyrzucę tego człowieka na bruk...

-No, to trzymaj go, Twist - głos był coraz gniewniejszy. - Twój sierociniec powiększa się. Sierota, idiota i więzień. Nie mam czasu z tobą rozmawiać. I nie ma powodu marnować dwóch ludzi dla tego zdrajcy.

-A może wolisz, żeby został zabity? Może ułaskawienie to fikcja? I nie chcesz, by ten człowiek, po wyjściu z więzienia, opowiedział o was kilka słów?

-Pleciesz bzdury. Wyłącz się.

-I ty się wyłącz, szefie. Smaruj swój karabin i pędź na wojenkę. Nie dzwoń do mnie więcej! A w swojej bandyckiej Radzie mnie nie zobaczysz! Nie zobaczysz! - krzyczał.

Łączność została przerwana. Ren stał na środku pokoju. Był ubrany w płaszcz Twista.

-Gazie idziesz?

-Do znajomych. Mogę wziąć płaszcz?

-Nie masz znajomych w tym mieście!

-Mam.

-Więc jedź do nich. Tu jest w razie czego numer telefonu. Poczekaj, przyniosę ci pieniądze. Stój tu i czekaj. Ja sam cię zawiozę.

Ale gdy wrócił, więźnia nie było już w willi. Twist wypadł przed dom. Nie było po nim śladu. Jeszcze raz zatelefonował do Beza, Sekretarka oznajmiła, że wyjechał przed kilkoma minutami.

Upłynęła godzina. Włączył radio. Słuchał muzyki. Spiker podał komunikat.

-Połączone siły wojska i policji otoczyły zamek Quell. Opór słabnie...

Twist słuchał chciwie. Podobno z Ollonu i wszystkich zakątków wyspy napłynęły do pałacu wojska podziemnej Legii Księżyca. Zaatakowali rządowe siły od tyłu. Ogień jest przerywany propozycjami poddania się. Nikt z gwardii pałacowej ani podziemnej legii nie poddał się. Ogień słabnie, choć ciągle trwa.

Ren szedł o zmroku zachodnim bulwarem, Zerwał się wiatr. Mężczyzna otulił się szczelnie płaszczem. Był pijany, szedł trochę zataczając się i śpiewał jakąś piosenkę. Czasami zatrzymywał się i patrzył przez rzekę na góry. Za czarnym pasmem gór kończyła się wojna wyznawców Księżyca. Srebrny rogal, jak na ironię, schował się tego wieczoru. Jedyne słabe promyki latarni oświetlały bulwar.

Z przeciwka szło dwóch ludzi. Jeden wysoki - po prawej, drugi zupełnie mały - z lewej. Kopali przed sobą metalową puszkę, Ren zboczył trochę z drogi

-Coli, on?

-On, panie.

Jezus wyprzedził Murzyna. Wtedy Ren krzyknął i rzucił się do ucieczki. Biegł po mokrej trawie skarpy, między drzewami. Upadał, wstawał. Budka telefoniczna zamajaczyła pod mostem. Słyszał za sobą śmiech i kroki biegnących. Palce miał tak zmarznięte, że z trudem wybierał cyfry numeru. Lewą dłonią chwycił za drzwi budki, prawą, w której trzymał



słuchawkę, nakręcił numer. Przycisnął słuchawkę do ucha.

Twist zgasił radio. Podeszedł do telefonu. Podniósł słuchawkę aparatu. Chwilę słuchał.

-Gdzie jesteś? - krzyknął.

Słuchał.

-Wyjdź z budki i biegnij pod most. Łap taksówki, samochody, cokolwiek. Staraj się jechać, czy biec w moim kierunku. Wyjdź koniecznie z budki, kryj się przy drodze. Trzymaj ich jak najdłużej na jezdni.

Odłożył, słuchawkę. Chwycił klucze, pistolet. Nie zamknął drzwi willi. Otworzył garaż. Samochód nie chciał zapalić. Spróbował drugi raz, trzeci... Pobiegnął do willi.

-Mar? Tu Twist, Jesteś w ubraniu? Niedaleko ciebie, pod mostem, coś, się dzieje. Masz samochód? To dobrze. Dwóch ludzi atakuje naszego więźnia. Tak, sto siedemnaście. Jedź tam, jedź! Zadzwoń od razu. Jestem w willi.

Odłożył słuchawkę. Telefon zadzwonił.

-To ty, Bru? - usłyszał głos Elli. - Jesteś w domu?

Była pijana, straszliwie pijana, bełkotała prawie.

-Kochany mój. Zgadzam się na dziecko. To dziecko będzie nasze. Ale powiedz, czy taka jak ja dziewczyna nie może wyjść? Ojca nie ma, nikogo nie ma... Do znajomy...ch... pój...dę, pozwalasz, pozwalasz? Albo do ciebie, kochany mój, stęskniłam się, mój kochany. Jak możesz mnie zostawiać? Masz jakieś tajemnice przede mną? A może w naszym uroczym fo..fo..telu z uroczymi sprężynami przechowujesz uroczą brunetkę? O, nie. Nie znosisz brunetek. Blondynkę, i to na pewno podobną do mnie! Powiedz, czy jest podobna do mnie?

-Elia, kochanie, nigdzie nie wychodź!

-A do ciebie? Do naszego kochanego domu, który ja, paskudna dziewczyna, zostawiam tak często? Chyba mnie już przyjmiesz z powrotem? Dość samotności. Samotność kobiecie przeszkadza. Ty głupiutki chłopaku, nie wiesz o tym.

-Elia, zabraniam ci wychodzić i przyjeżdżać tutaj! Jak masz co pić, to siedź w domu! Na miłość Boską, siedź!

-Nieee! Paaanie Twist.,,st...st. Będę u ciebie z butelką. Wymyśliłam, że dziś nasza rocznica. Muszę stąd wyjść. Już taka jestem, że jak wypiję, urywam się z domu. Jestem grzeczna dziewczynka, bo wytrzymałam wczoraj, prawda? Nie piłam, wykapałam chłopaka, film był strasznie nudny, ale siedziałam i patrzyłam, jak grzeczna dziewczynka. Dziś za to nasza rocznica i musimy poszaleć, skończ tę nudną pracę i przyjmij swoją nieznośną żonę. Przyjmij, Bru.

-Daj mi chłopca!

-A po co?

-Daj mi go.

Trzask. Odeszła od aparatu lub upuściła słuchawkę. Zablokowany... Ze strachem stwierdził, że jest w willi uwięziony. Telefonu nie było w pobliżu. Ulica pusta, ostatni autobus przejeżdżał pół godziny temu. Mógł wyjść na jezdnię i coś złapać, lecz to niewielka nadzieja. Wziął pistolet

OJ i ruszył do garażu. Siadł za kierownicą, włączył silnik i czekał. Na próżno. Do najbliższego telefonu miał trzy kilometry. Biegiem byłby tam niedługo. Nie. Co się stanie, gdy wróci tu Ren, a za nim dwaj ludzie? Go będzie, gdy Mar nie dojedzie, gdy coś mu się stanie, a podczas jego nieobecności w willi zawita pijana Elia? Siedział w samochodzie i liczył naboje. Metal pistoletu był ciepły i mokry.

Minuty wlokły się, a każde cyknięcie zegarka było uderzeniem dzwonu. Serce mu biło w rytm czasu. Nastawił kołnierz marynarki i czekał. Czekał, choć nie wiedział, co miało nadejść.

Mar zbiegł po schodach i zapukał do drzwi Rika. Nie czekał na niego. Gdy Rik otwierał, był już na dole schodowej klatki.

-Zbiegaj, Rik! Ja zapalam samochód.

Chwilę później siedzieli obok siebie. Samochód ruszył z miejsca.

-Na most - zacisnął zęby Mar i wykręcił ze ślepej uliczki.

Jechali pustą, szeroką aleją, potem wypadli na most. Przebyli go w kilkanaście sekund i zjechali serpentyną w bulwar. Dostrzegli więźnia, zwisającego z obmurowanego nabrzeża, trzymającego się dwoma rękoma kamieni. W dole huczała groźna rzeka. Nad nim stało dwóch ludzi, śmiejąc się półgłosem, sycąc wzrok niesamowitym widokiem. Siły Rena kończyły się. Palce lewej dłoni zaczęły słabnąć, śliski kamień bulwaru wymykał się. Coli i Jezus słyszeli warkot silnika i, co zadziwiające, nie reagowali w żaden sposób. Nie spieszyli się, by skończyć z Renem, nie zamierzali się kryć.

-To sprawa o morderstwo, Rik - Mar wyciągnął pistolet, nie odrywając się od kierownicy.

Rik wyciągnął swój. Nadjeżdżali z małą prędkością. Długie światła samochodowych reflektorów wycinały z koloru nocy sylwetki morderców i ofiary.

Jezus stał w dalszym ciągu nad Renem, tylko Coli odwrócił się twarzą do reflektorów i ruszył w ich kierunku. Samochód stanął.

-Strzelaj, Mar.

Padł strzał. Drugi, trzeci, dziesiąty. Mar celował z wrodzoną dokładnością. Gdy Murzyn zatoczył się i upadł na jezdnię, błyskawicznie wypadł z samochodu i strzelał w nieruchomy kształt nieprzerwanie, bez cienia litości, jakby chciał mieć pewność, że atakowany nie wstanie.

Jezus na odgłos pierwszego strzału skrył się w cieniu filarów mostu. Patrzył na śmierć swego sługi, którego nauczył tak wiele. Zaledwie trzy dni temu Murzyn był jeszcze nędznym złodziejaszkiem i małym cwaniakiem, umarł już jako godny przyjaciel mordercy.

Wyciągnął ciężki, szesnastostrzałowy pistolet, otrzymany w zamku Quell. Nie interesował się już zupełnie zwisającym nad przepaścią człowiekiem. Tam, przy samochodzie, widział dwóch przeciwników. Sposób, w jaki złożył się do oddania strzałów, wyraz twarzy, spokój odmalowany na ustach, zimne oczy, patrzące na ukryte w światłach postacie, przypominały szaleńca, wybierającego z ulicznych tłumów przypadkowe ofiary karabinowych kul. Nie zastanawiał się nad sensem tej strzelaniny, chciał tylko odebrać życie.

Rik pochylony nad siedzeniem samochodowym, uzupełniał magazynek. Mar skradał się wzdłuż betonowej ściany mostu w kierunku mordercy. Światła reflektorów sprawiły, że był prawie niewidzialny. Tylko niezwykle przenikliwy wzrok mógł go dojrzeć.

A jednak! Rik, wychylony niebezpiecznie zza drzwiczek samochodu, zobaczył jak morderca wyskakuje z ciemności, przykuwa Mara strzałami do ściany i zmusza do ucieczki. Rik strzelił. Niecelnie, zbyt szybko. Mar dopadł samochodu, usiadł za kierownicą i włączył silnik.

- Dzwoń po policję. Zawracaj. Tam stoi budka.
- Nie - odparł Mar. - W niego.
- Spadniesz. Tam jest ślisko.
- No, to wysiadaj.

Rik otworzył drzwiczki, wtedy Mar przechylił się i zamknął je z powrotem. Moment ten jednak wystarczył. Rik osunął się na siedzenie, dostał w szyję.

Mar puścił sprzęgło. Ruszył. Widział więźnia, który gramolił się na trawę. Cudem wydostał się z pułapki. Jezus stał na tle rzeki i strzelał do nadjeżdżającego samochodu. W pewnym momencie pocisk rozorał szybę i ugodził Rika. Mar nacisnął gaz i całą siłą rozpędu wjechał na strzelającego. Wykręcił, Koła przejechały przy samej krawędzi nabrzeża. Pisk hamulców, szorowanie opon o kamienie i jakby śmiech z oddali. A przy tym odgłos uderzającego o maskę ciała mordercy. Mar dojrzał jeszcze, jak podnosi się z ziemi i ucieka.

Potem widział niebo i fale. Usłyszał potężny łoskot, szyby zakryła ciemność. Woda wlewała się półotwartym oknem. Uderzenie. Byli na dnie rzeki. Wykrzywione w paroksyzmie bólu wargi Rika, głowa jego kołysana przez wodę. Mar ostatkiem sił odkręcił do końca szybę. Nogi miał jak uwiązane, ręce zaczepiały o klamki i kierownicę. Woda lała się potężnym strumieniem. Szarpnął. Wydostał nogi. Strach paraliżował mu umysł. W tej nieprzebranej ciemności nie znalazł już ciała kolegi. Po omacku, wolno wyplątując się z pułapek zamkniętego wraku, wydostał się na zewnątrz. Objęły go wodorosty. Czuł, że traci przytomność, a jednak resztkami sił, z palącymi płucami, pruć w górę nie zamykając oczu. Serce podeszło do gardła. Błyskawicznie przelatywały myśli. Wiedział, że jeśli za chwilę nie zobaczy jaśniejszego fioletu rzeki i nie zmniejszy się nacisk

wody - zginie Wierzgnął głową jak zabijane zwierzę.  
Chciał krzyknąć... .

I nagle poczuł tlen. Rozgarnął jeszcze raz. Światła, tafla rzeki... powietrze. Odetchnął trzy razy. Zanurkował. Po kilku metrach zawrócił na powierzchnię. Nie był w stanie dotrzeć do samochodu. Jak szalony płynął do brzegu. Po wąskich stopniach wy dostał się na jezdnię. Wtedy zaczął krzyknąć. Cisza. Pobiegł do budki. Po chwili z niej wyszedł. Chodził szybko po krawędzi nabrzeża i wpatrywał się w kręgi na wodzie. Płakał. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Po dwóch minutach umysł zaczął dopuszczać do siebie pierwsze myśli. Szok minął.

Nadjechały dwie karetki i wóz policyjny. Sygnały napełniły echem sklepienia mostu.

-Gdzie oni są? - pytał sierżant.

-Kto? - nie rozumiał Mar.

-Napastnik i napastowany.

-Nie-wiem, nie wiem - powtarzał. - Tam jest Rik.

Utkwił błędny wzrok w rzece. Lekarz i policjant spojrzeli.

-Nie pomożemy mu już, panie Mar.

-Ja go zabiłem!

Przynieśli mu koc i wódkę. Nie mógł przełknąć. Usiadł, zwieszając nogi nad wodą i ciągle patrzył w jednym kierunku,

-Zabiję go.

Policjant zbliżył się.

-Czy pan coś powiedział?

Mar spojrział na policjanta, ale nie zobaczył twarzy.

-Zabiję go - powtórzył.

-Tego, który strzelał? - policjant wskazał ręką rzekę.

-Nie miałem nikogo prócz Rika - mówił Mar. - I ten złośliwy pyszałek, głupek i łamaga też nie miał nikogo prócz mnie. Był odważny jak jasna cholera, odważniejszy sto razy od innych. Ode mnie, od ciebie i tych tam łapiduchów.

- Można tylko powiedzieć, że miał lekką śmierć - powiedział policjant.

-Lekką? - Mar jakby nie pojął tego słowa - lekka, mówisz, miał śmierć?

-Druga kula, jak pan rzekł, trafiła w skroń. Miał lekką śmierć.

Mar wstał.

-Ale za to - chwycił policjanta - za tę lekką śmierć, ja przygotuję tamtemu tysiąc razy cięższą. Tak ciężką, że patrzącym będzie niedobrze... I... co ja gadam... i... Gdzie sierżant, pletwonurkowie, dźwig, haki? Co jest? - wpadł w histerię. - Rozwalę was, czemu nie ratujecie go? Jeszcze żyje!

Siłą zatrzymano Mara na brzegu,

-Niech się pan uspokoi, inspektorze.

Cztery, minuty później pletwonurkowie wyciągnęli ciało Rika. Lekarz stwierdził zgon. Położono zwłoki na noszach. Karetka odjechała na sygnale.

-Jedziemy, panie inspektorze.

-Gdzie? - zakrzyknął.,

-Do komendy.

-Nie. Jedziemy do willi. Zostawcie tu dziesięciu ludzi, niech idą tyralierą przez skarpe i strzelają do wszystkiego, co się rusza. Nie - umilkł. - Plotę bzdury.

-Tak - uprzejmie zgodził się sierżant.

-Zawiadomcie wszystkie komisariaty w mieście.

-Tak jest.

-Karetka odjechała?

-Tak jest.

-Zabrali tamtego drugiego?

-Zabrali.

Mar oddał koc policjantowi.

-Denerwuje mnie, że pojechali razem. Dlaczego musieli leżeć obok siebie? Przecież były dwie karetki.

-Śmierć to śmierć, inspektorze.

-Jedziemy do willi. Do Twista. Następnie do Rady. Zawiadomił pan komisariaty? Patrole przeszukują miasto?

-Oczywiście.

-Ilu ludzi?

-Dwudziestu.

-Ilu? - zielone z gniewu oczy inspektor wpił w sierżanta, poczerwieniał cały.

-W górach jest wojna - tłumaczył sierżant. - Posłałem już po posiłki...

-Wojna? A co robi wojsko?

-Okupuje pałac.

-A policja?

-Z nimi.

-Wszyscy?

-Wszyscy.

-Sierżancie, ja osiwieję: Zrobiliście w górach defiladę? Sto tysięcy wojska w górach? Przeciwko garstce partyzantów?

-Ruszyły, siły z miasta. Koszary na prowincjach pewnie są pełne.

-Wysłaliście wozy tym bulwarem? Morderca mógł gonić ofiarę.

-Jeden samochód pojechał.

Ruszyli. Sunęli bulwarem wolno. Mar rozkazał policjantom obserwować drzewa po lewej stronie. Kilka latarek oświetlało liście i trawę. Nie przyspieszali. Za nimi, jechała karetka.

-Co, sierżancie? Jak się panu podoba nasza policyjno-wojskowa zabawa?



-Uważam - sierżant podrapał się w głowę - że z tymi spod znaku Księżyca należało zrobić porządek. Fakt - źle, że siły w mieście są niewystarczające.

-Cały zamek Quell, ich siła ognia, jest niczym w porównaniu z tym mordercą.

-Pan wie, kto to jest?

-Intuicyjnie. Zabił troje ludzi. Stań!

Mar wyszedł, sierżant i policjant za nim.

-Ten jest czwarty.

Ren leżał, przygwożdżony do ziemi czterema kulami.

-Kto to jest? - sierżant ukląkł.

-Jeden z tych księżycowych.

-Nic nie rozumiem. Wszyscy są w górach. Przedarł się? Nic nie rozumiem.

-A ja wszystko - splunął Mar. - Gdy następną ofiarą będzie pijana dziwka, dziecko lub na przykład pan, nikt nie każe mi, abym sondował burdele, szkoły i komendy.

-Co pan mówi?

-Że wszelkie logiczne rozumowanie jest diabła warte. Widziałem twarz tego człowieka.

-Jak wyglądała? - ze strachem zapytał sierżant.

Wsiedli. Karetka z ciałem Rena odjechała.

-Wierzy pan w duchy?

-Miał twarz ducha?

-Gorzej, sierżancie. Nawet boję się, że pan nie uwierzy, jak powiem. - Odwrócił się do kierowcy. - Możemy jechać szybciej?

-Czekałem na to - z zadowoleniem wrzucił bieg.

Twist siedział na schodkach willi. W rękę miał pistolet. Obserwował ulicę. Podniósł się, gdy usłyszał szum silnika. Samochody wjechały. Opuścił lufę.

Mar wysiadł...

-Załatwione, Mar?

-Tak. Załatwione. Zginął Rik i więzień.

Twist zaniemówił. Wprowadził inspektora do środka. Sierżant i dwóch policjantów weszło za nimi. Mar usiadł w krześle.

-Jest pan wolny, sierżancie. Przyślijcie mi samochód za godzinę.

-Tak jest.

-Sierżancie - Twist wziął go na bok - w garażu mam samochód. Spróbujcie coś z nim zrobić.

Zostali sami. Twist czekał, aż odezwie się inspektor.

-To było żniwo... - zaczął.

-Nie strzelaliście? Jak to się stało? Jak zginął Rik?

-W rzece. Strzelaliśmy, Twist. Jednego z nich trafiłem. Ale ten nasz...

-Widziałeś go?

Mar, kiwnął głową.

-Odpocznij, jesteś mokry...

-Nic. Zaraz wezmę kąpiel i położę się. Widziałem mordercę, Twist. To człowiek... nie, to nie człowiek. Lucienne miał rację...

-Czemu zabił Rena?

-A Rika, dziewczynę, starca? Bez, kretyński Bez - zaśmiał się nerwowo - będzie znowu opowiadał o chemicznej broni i wojskowych porachunkach.

-Samochód naprawiony zameldował sierżant.

-Dziękuję.

-Gdzie się wybierasz? - zapytał inspektor.

-Po Elię. Wyszła z domu. Boję się o nią.

Mar wstał z krzesła i położył mu ręce na ramionach.

-Gdybym miał żonę, zamknąłbym ją na klucz. Ollon nawiedziła śmierć. Człowiek, który w nim grasuje, jest wrogiem publicznym, jakiego jeszcze nie znano. Na miłość boską, jedź.

Przywieź tu żonę i swojego chłopaka. Gdzie on jest? Nie mieszka z tobą?

- Jest w mieszkaniu Beza, z Elią.

- A ty służyłeś j ako...?

- Właściciel kryjówki...

- Opowiesz później. Ruszaj teraz.

Odjeżdżając spojrzał jeszcze raz na Mara.

Inspektor do spraw zabójstw siedział przed willą pomimo zimnego wiatru, wiejącego od gór. Palił papierosa i patrzył gdzieś w niebo, powyżej wierzchołków drzew.

Miasto było jak wymarłe. Mieszkańcy siedzieli w domach, dyskutując na polityczne tematy. Słuchali relacji spikerów i falami okrzyków przyjmowali komunikaty, płynące z pałacu Quell. Zmagania wojenne kończyły się. Rozentuzjasmowane głosy sprawozdawców podniecały umysły i serca ollończyków. Uliczki, place, bary i restauracje opustoszały. Z okien budynków dolatywały wyraźne dźwięki odbiorników, mieszały się ze sobą, wypełniały ulice monotonnym hałasem.

Twist zajechał przed dom Beza. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Wszedł i zobaczył nie posłane łóżko, zwisający z wysokiej półki sznur ze słuchawką, dwie butelki turlające się po podłodze, cicho grający telewizor. Elii nie było. Zajrzał do drugiego pokoju. Chłopiec zniknął również. Poprawił słuchawkę, zgasił telewizor i wyszedł.

Znowu jechał samochodem, przeczesując uliczki. Czasami takie objazdy kończyły się sukcesem, najczęściej jednak Elii nie znajdował. Wzrastający niepokój o losy żony i dziecka kazał poszukiwania przyspieszyć, sprawdzać każdy ślepy zakątek, skrupulatnie notować odgłosy kroków. Pistolet leżał na siedzeniu obok. Wystarczyło tylko sięgnąć ręką.

Elia opuściła bar nadrzeczny i długo szła chodnikiem, nie napotykając po drodze nikogo. Była dobrze wstawiona i roześmiana. Zabawiała rozmowami samą siebie i wymachiwała torebką. Chciała dotrzeć do najbliższego postoju i jak najszybciej porozmawiać z mężem. Gdy była pijana, miała mu zawsze wiele do powiedzenia. Nie słyszała kroków za plecami. Chłopiec, kryjąc się za latarniami, szedł za nią. Wiedział, że musi pilnować Elii. Niepostrzeżenie wymknął się za nią z mieszkania, oczekiwał cierpliwie przed barami, choć Elia zmieniła ich tego wieczoru niemało.

Mały mężczyzna rozcierał nogi rękoma, bolały stopy. Z kilku dni spędzonych w willi, ze zdawkowych słów przybranych rodziców, z podsłuchanych rozmów i własnych obserwacji, poczynionych z niezawodnym instynktem dziecka, zorientował się, kto tu jest opiekunem, kto musi strzec i bronić spokoju nowego, życia. Wiedział na pewno, że Twist będzie z niego dumny.

Skrecała w wąski przesmyk, biegnący do placu. Opustoszałe domy przy tej ciemnej uliczce wcale jej nie przstraszyły. W połowie drogi zauważyła mężczyznę, idącego w jej kierunku, po drugiej stronie chodnika. Utykał.

- Dam ci trochę drobnych - zbliżyła się do niego. - Jesteś kaleką? Żebrakiem? Dobrze, że cię spotkałam, szczęście mnie spotka - roześmiała się. - No weź!

Ze sposobu, w jaki na nią spojrział, zorientowała się, że zaczepiony żebrakiem nie jest.

- Nie chcesz? - zmartwiła się. - Nie, to nie. Wracam do domu.

Chciała odejść, ale stało się inaczej. Chwycił ją i pchnął na ścianę. Po chwili stała przy skrzynce na listy, wewnątrz schodowej klatki.

-Coś takiego. Mój ojciec jest szefem Rady, kulasie. Uważaj, co robisz.

Patrzył, tylko patrzył. Blisko czterdzieści lat w samotności w zamknięciu żelaznego ptaka. Nienawidził kobiet i pragnął ich. Już nawet takich - pijanych dziwek, nietoperzy, zwierząt. Oceniał jak umiał białe włosy, ramiona, piersi. Dotknął ich. Wymierzyła mu policzek. Roześmiał się. Zasłaniał ciałem przejście. Był wyższy od Elii o więcej niż głowę.

-Jeśli mnie dotkniesz, zginiesz.

On ginał. Była w nim. Poznał ją oddechem, wilgocią palców, dotknięciem warg. Obił ją i nachylił się.

-Precz!

On tu zostanie do końca życia. Gdzie ma odejść?

-Nic... nie... .będzie z tego. Puść mnie!

Jeśli nie, to rozbierze ją zaraz, albo zbije, albo zabije. Zabić...

-Złapią cię.

Szukają od dawna. W tym mieście zabronił ktoś mordować. Kto zabronił?

-Boże!

Bogiem jest on. Kobieta nie przebyła takiej niebieskiej podróży. Kobieta nie zapanowała nad niebem. Ma swój pokój, kuchnię... nic... nie ma. Zabrać ją, żeby też zapanowała nad światem. Z góry kula ziemską jest jak zniszczona piłka.

-Czego ode mnie chcesz?

To ludzie chcą. Jego złota, umiejętności, siły. Artur mówił o tym, że dadzą mu tu żyć. Teraz chcą złapać...

-Ratun...

Może pozwolić jej krzyczeć. Nawet krzyk snu nie przeszkadza. Ale lepiej niech nie krzyczy. Boi się krzyku, drażni go...

Przez plac jechała kolumna wojska. Prowadzili czterystu jeńców. Ludzie wjechali na ulice. Wiwaty, śmiechy, gąsienice czołgów miażdżyły plac. Coraz więcej gapiów napływało z domów, ale nie z tej uliczki. Tu nikt nie mieszkał. Domy czekały na zburzenie. Z zardzewiałych skrzynek nie wyjmowano listów od lat, po drewnianych stopniach nikt nie chadzał.

Elia bała się śmiertelnie, zamroczenie alkoholowe minęło w jednej chwili, jakiś tępy ból ścisnął żołądek. Myślała o mężu i ojcu, swoim domu daleko stąd.

Człowiek, który stał przed nią, miał długie, jasne włosy. Oczy mogące podniecać młode dziewczyny, chowające głowy pod poduszki w księżycowe noce. Marzące o takim mężczyźnie, na który potem je zgładzi... I ona kiedyś, o tym. tak samo, ale tu, teraz, on... Ścisnęło ją w gardle, miała suche podniebienie, wargi i język. Nawet bała się krzyczeć. Chwila, w której, mogła się na to zdobyć, minęła.

-Czego chcesz?

Pytanie głupie, ostatnie. Mogła zapytać o kolory, datę, rok i godzinę. O imię jego, swoje, męża... Opowiadać o synu, którego nie mieli, klócić się jeszcze o okruchy życia...

-Puść ją .

Mały chłopiec stał na tle ścian przeciwległego domu. Elia spojrzała.

-Zostaw ją. To moja matka.

Jezus zbliżył się do chłopca.

-Uciekaj - usłyszała Elia.

Przeskoczyła między nimi. Chłopiec rzucił się całym ciałem pod nogi człowieka. Potłuczony podniósł się. Elia uciekała. Ucieszył się. Nie dogoni jej. Był gotów jeszcze raz przeszkodzić człowiekowi. Uczepić się nogawek, gryźć. Poczul straszne uderzenie na

twarży. Upadł. Widział dachy domów i gwiazdy  
Powieki zamknęły się...

Elia krzyżąc wpadła na plac. Minęło jednak dość czasu, nim w radosnej wrzawie rozróżniono krzyk przerażenia. Wokół Elii uczyniło się zbiegowisko. Trzymała się za włosy i pokazywała w kierunku ciemnej uliczki.

Nadjechał Twist. Już wcześniej, z drugiego końca placu, zobaczył biegnącą żonę. Czekał na przemarsz piechoty, potem lawirował między ulicami i ciężkim sprzętem, jadącym powoli na platformach. Na koniec, doprowadzony do ostateczności, włączył sygnał i wjechał w sam środek kłębówiska. Tłum rozstał się z trudem, samochód brnął jak spychacz przez pustynię. Twist podniósł szyby, chroniąc się przed gradem wyzwisk. Tak przejechał przez środek placu. Wysiadł i puścił się biegiem w uliczkę. Tłum, za którym biegł, stanął nagle. Twist przepchał się do pierwszych szeregów, chwycił. Elię w ramiona. Zaraz ją puścił i popatrzył na leżącego chłopca.

-Odsuńcie się.

Dwóch żołnierzy z kolumny i posterunkowy przedostali się do nich.

-Co tu się stało?

-Zaatakował dziecko.

-Łajdak! Sadysta!

-Szukajcie go!

-W tym tłumie?

-Sprowadźcie karetkę!

Twist pobiegł z żołnierzami do policyjnego samochodu, stojącego na placu. Wylegitymowany chwycił mikrofon radiostacji i wezwał profesora Hala do szpitala miejskiego.

-Może wreszcie nam pan powie, co tam się stało?

- Skąd mogę wiedzieć, kapitanie! - krzyknął odbiegając.

- Co to za chłopiec?

- Moje dziecko - powtarzał, biegnąc z powrotem na miejsce wypadku.

Gdy tylko tam przybył i objął pochyloną nad chłopcem Elię, z dachu kamienicy padły strzały. Dwóch żołnierzy i policjant osłonili ciało, które Twist momentalnie przeniósł do swojego samochodu. Elia pobiegła za nim i usiadła obok chłopca na tylnym siedzeniu.

- Nie dotykaj go! - krzyknął Twist, zapalając silnik.  
- Połóż to na jego twarzy.

Krew wsiąkała w cienki bandaż. Rozcięty policzek chłopca zaczynał przypominać twarz dziewczyny z gospody. Elia, wychylając się zza kierowcy, obserwowała drogę.

Tłum po pierwszych strzałach rozbiegł się z dzikim wrzaskiem. Na uliczce pozostało tylko trzech ludzi, z czego dwóch strzelających - policjant był już ranny w nogę. Oczom żołnierzy ukazał się skaczący przez dach mężczyzna. Cztery kule przeszły powietrze. Dach był pusty.

Twist wyjechał uliczką na skrzyżowanie, Przejechał na światłach dla pieszych, skręcił w lewo i w niespełna dziesięć minut zajechał pod szpital. Hal czekał na nich przed wejściem, Odebrał chłopca z rąk Twista i sam niósł go przez korytarz do sali operacyjnej. Asystował mu lekarz w białym kitlu.

- Hal, czy ten środek...

- Zaraz wrócę, Bru.

Profesor zniknął za drzwiami. Twist spojrzął na Elię.

- Jak to było, kochanie? - objął ją.



-Chłopiec szedł za mną - nie mogła powstrzymać łez. - Gdy ten człowiek mnie zaczepił, rzucił mu się pod nogi.

-Nie płacz. Wytrzymaj twarz. Już po wszystkim.

-Moja wina, Bru.

-Tak, twoja wina, Elia - odetchnął. - Masz rację, to twoja wina.

-Czy Hal go wyleczy?

-Tak, kochanie.

Hal wyszedł z sali.

-Ten sam rodzaj...?

-Ten sam - odparł profesor. - Jedźcie do domu. Zadzwoń.

-Poczekamy tu.

-Powiedziałem, do domu! Nie pomożecie mu teraz. Jeśli będę was potrzebował, dam znać.

Odeszli. Profesor wrócił na salę.

Pojechali do willi.

Mar wciąż siedział przed frontem domu. Ucieszył się widząc wysiadających.

-Odesłałem wóz. Pomyślałem, że mogę zostać z wami na tę jedną noc, o ile się zgodzicie. Nie mam po co wracać do domu.

Zwrócił uwagę na bladość Elii. Zapytał wzrokiem Twista. Ten nic nie odpowiedział. Objął ich i wprowadził do środka. Elia od razu położyła się na łóżku. Twist poszedł do kuchni i mimo że nie pił nigdy, wychylił od razu pół szklanki wódki. Mar stał w progu pokoju i patrzył na leżącą. Nadszedł Twist. Inspektor już wiedział, że stało się coś złego. Nie padło z jego ust pytanie, uprzedził go Bru.

-Teraz opiszcie go.

Po trzech słowach Elii i trzech skinieniach głową Mara wiedział, że atakował ten sam człowiek. Inspektor zostawił Elię z mężem i odszedł do kuchni.

Patrzył na ciemność za szybą. Odsunął firankę i usiadł na stołku, podpierając głowę rękoma. Usłyszał, jak drzwi do pokoju Elii zamykają się, jak Twist idzie na górę, schodzi, krąży po domu.

- Siedzisz tutaj? - zapytał wchodząc do kuchni.

- Tutaj.

- O czym myślisz, Mar?

- Tropimy przestępców, a w chwili, gdy nas spotyka coś złego, nie mamy się do kogo zwrócić. Gina, przyjaciele i pusto się robi wokół.

- Sami musimy walczyć.

- We dwóch?

- Jestem winien coś mojemu dziecku, ty masz dług wobec Rika.

- Powiedz mi dokładnie, co się stało - uśmiechnął się smutno - bo nie miałem odwagi zapytać.

- Opowiem ci - Twist siadł przy nim.

Inspektor słuchał z zamkniętymi oczami. Nie odezwał się słowem. Dopiero gdy Twist skończył, odwrócił w jego stronę zmęczoną twarz.

- Strzela do ludzi... - zamyślił się.

- Czy nie sądzisz, że powinienem zadzwonić do szpitala?

- Zrobisz to za chwilę, jeszcze nie. Tymczasem spróbuj się uspokoić.

- Próbuję.

- Jak się czuje żona?

- Pytała, kim jesteś, potem zasnęła.

- To dobrze. Skończyli wyprawę w góry, wiesz?

- Widziałem powrót.

- Chwała i cześć. Masz trochę wódki?

Twist podał mu butelkę. Mar pił chciwie.

- Chciałbym się upić, ale nie mogę.

- To nie jest wyjście.

- Dzisiaj jest - wstał - każde dobre, które daje zapomnienie.

- Rozumiem cię.

- Nie - pokręcił głową. - Trzeba było tam być. Szukać go w tym piekle. Płynąć samemu do brzegu... Nie pójde jutro do pracy.

- A ja tam nie wrócę.

- Wróc. W biurze, na trzecim piętrze, pod numerem 278 stoją dwa stoliki.

- Bez mnie wyrzucił.

- Bez? - roześmiał się Mar.

Samochód zajechał przed willę. Zastępca szefa Rady Kryminalnej wysiadł i zastukał do drzwi.

- Nie chcę z nim rozmawiać - Twist wyszedł z kuchni i zamknął się na strychu.

Szefowi otworzył Mar. Nie wpuścił go od razu. Skierował spojrzenie na stojącego za

plecami Beza kierowcę.

- Mar? - zdziwił się Bez.

- Ja, we własnej osobie. Odpraw kierowcę, szefie, porozmawiamy trochę.

Bez skinieniem dłoni odprawił kierowcę, a sam wszedł do willi.

- Nie wiem, czy pan wie, inspektorze, że niejaki Bru Twist zachował się w stosunku do mnie po chamsku - usiadł z przyjemnością w krześle. - Przyjechałem prosto z pałacu Quell, by mu donieść, jak również obwieścić jego żonie, a mojej córce, że stosunki nasze ograniczą się do minimum. Stracił pan pracownika, to już postanowione, inspektorze Mar, ale na pana miejscu nie smuciłbym się zbyt. - Krzyknął: - gdzie on jest?

- Ciszej, panie Bez. Pańska córka śpi.

- Przyjęli pana na domownika, Mar. Pan w szlafroku?

Inspektor siadł naprzeciwko szefa.

-A jak tam akcja w Quell, panie Bez?

Bez roześmiał się. Przypominał grubego myśliwego, który dopiero co wrócił z polowania na jelenie.

-Znakomicie, doskonale. - Przechylił się do Mara i wskazał teczkę, którą trzymał na kolanach. - Nasi rewolucjoniści prowadzili świetny spis, z niemal pedantyczną dokładnością zanotowano w nim wszystkie dane pracowników i żołnierzy organizacji Księżyc.

-Doprawdy? - Mar patrzył mu uważnie w oczy.

-Doprawdy. - Bez nie zwrócił uwagi na znaczący ton podwładnego. Otworzył księgę.

-A więc mamy wszystkich według spisu. Generał Ramz, dwudziestu oficerów, pułkownicy... Dalej idzie rubryka szeregowców. W tej brakuje mam Dela Alejandro - uśmiechnął się - nieszkodliwy, Ren Sari - mamy go. W następnej i ostatniej rubryce najemnicy - aresztowani lub zastrzeleni, prócz jednego, kolorowego Coli Vara. Prawdopodobnie to jakiś złodziejasek, przy tym nazwisku figuruje litera U. Oznaczają tak ludzi do lżejszych zadań. Tak więc - Bez zamknął księgę - z tysiąca stu dwudziestu czterech spiskowców mamy tysiąc stu dwudziestu trzech.

-Tysiąc sto dwudziestu czterech, szefie. Coli Vara również jest zidentyfikowany. Nie żyje.

-No, znakomicie - powiódł triumfalnym wzrokiem po salonie - ludzie sprzyjający tej bandzie również zostali aresztowani według spisu.

-Był pan w Radzie lub w jakimś komisariacie w mieście?

-Nie, wracam prosto z pola walki. A dlaczego, Mar?

-Niech pan otworzy jeszcze raz księgę i sprawdzi coś.

-Co? Gadaj pan.

Ze schodów schodził Twist.

-O, Twist! Obudź moją córkę, mój panie. Chcę wam obojgu coś powiedzieć, A poza tym, może to trochę za wcześnie na tę nowinę, ale zwracajcie się do Beza, tytułując go sędzią najwyższym Ollońskiej Rady Kryminalnej i Wojskowej.

-Prosiłem cię, żebyś otworzył księgę. Bez - powtórzył spokojnie Mar.

-Pan wybaczy, inspektorze, ale podałem do wiadomości mój nowy tytuł.

-Otwórz ją człowieku - stanął nad Bezem. - I sprawdź, czy w kartotece nie znajdziesz jeszcze jednego nazwiska.

-Jakiego nazwiska? - krzyknął szef.

-Nie znam go - rzekł Mar w dalszym ciągu spokojnie - ale podam kilka bliższych danych tego człowieka.

-Nie rób pan sobie żartów, panie Mar. Nie ma tu żadnego innego nazwiska.

-A ten, morderca, który morduje starego ze stacji i topi w wodzie? A potem masakruje tę dziewczynę w górach. I Rena Sari dziurawi czterema kulami. Strzałem w skroń morduje twojego podwładnego, Rika. Chce zgwałcić twoją córkę, rani śmiertelnie dziecko Twista, wali ogniem do tłumów z dachów przy placu Neversille? Nie ma tam tego mordercy? Jak to, Bez? Chcesz nam wmówić, że ktoś z pałacu przedarł się? Przecież to wojskowa akcja... I broń chemiczna w jego ręku. Zapomnieli o tak wspaniałym agencie? Nie wpisali na listę?

-Co... ty... mówisz? - twarz zmieniła się, ręce zaczęły dygotać.

-To ty powiesz - wskazał palcem. - Ty powiesz żonie i dzieciom Rika, kto zlekceważył raport z 135

dnia 1959 roku. Ty i twoi myśliwi z gór będziecie szli za trumną tego dziecka. Proponuję ci teraz wstać, wyjść i czekać w domu na zwołanie specjalnej komisji, która zajmie się twoją sprawą. Jeśli nie Twist, to ja wyślę wniosek i ozdobię setkami podpisów rodzin pomordowanych, lekarzy, profesorów i zwykłych policjantów. A oskarżę cię sprytnie, Bez, o karygodny stoi policji w mieście. I zlekceważenie raportu. Oskarżę cię z pełną świadomością i z takim stekiem faktów, że przykryją cię z głową. Ciebie i twoich szefów kryminalno-wojskowych. To będzie druga bitwa, szefie, większa od dzisiejszej i dająca mi pełniejszą satysfakcję, choć spadnie tylko jedna głowa.

-Mar... opanuj się... Mar - powtarzał cicho szef.

-Jeśli zaś twoi koledzy, szefowie, wyjdą jakoś z tego i ciebie wyciągną, wtedy ja wyciągnę rewolwer. Dostaniesz trzydzieści dwie kule, cały magazynek, w brzuch. Więc módl się, Bez, o surowy wynik Komisji Rządowej.

-Co się stało? - nieprzytomne oczy Beza plątały się po twarzy Twista i Mara. - Strzelał? Kto go widział?

-Z bliska ja i Elia - Mar odwrócił się do szefa plecami. - Widzieli go też inni, ale nie żyją. Tobie to może nie wystarczać.

-Wystarcza, wystarcza - przerwał przestraszonym głosem. - Zwołam Radę jutro, dziś? Jadę do pracy. Zrozumiałem, co przeżyłeś, Mar, Jak się czuje moja córka?

Chodził nerwowe po pokoju. Z teczki posypały się kartki, ale nie zważał na to.

-Opowiedzcie mi coś! Dlaczego milczycie?

-Jedź, Bez.. U siebie dowiesz się wszystkiego.

Ciągle miotał się między meblami, wreszcie wszedł do córki. Wszedł jeszcze bardziej zdenerwowany i

wzburzony. Krew uderzyła mu do głowy. Pytał Mara i Twista o szczegóły. Oni milczeli...

-Jadę... - zakreślił się w miejscu. - Mar, a ty? Twist? Bądźcie ze mną. Proszę was. Czemu tak stoicie? Żaden z was nie powie słowa? Stały się rzeczy straszne, musicie... jadę... Obiecuję wam, ktokolwiek to jest, nie minie go kara. Użyję wszystkich sił i środków, choćbym sam miał go ścigać. Zaufajcie mi. Postawię pod broń takie siły, jakich Ollon nie pamięta. Zapłaci mi za to. Bądźcie pewni

Odjechał. Mar i Twist spojrzeli na siebie, W milczącym porozumieniu rozeszli się do pokojów.

Po półgodzinie Twist podniósł słuchawkę telefonu i po raz trzeci wykreślił numer Miejskiego Szpitala.

-Szpital? Z profesorem Halem.

-Hal. Kto przy aparacie?

-To znowu Bru.

-Widzisz chłopcze... jak by ci tu rzec... Czy możesz przyjechać zaraz?

Nie powiedział Elii, że jedzie do szpitala. Wyszedł po cichu, zamknął drzwi.

Hal miał bardzo zmęczone oczy. Twist szukał w nich pomyślnych nowin. Nie znalazł. Siedli w gabinecie, udostępnionym profesorowi przez ordynatora. Było tam ciemno. Jedyne lampka nocna oświetlała skąpe włosy profesora.

-Synu - zaczął Hal - zastrzyk już powinien zacząć działać, ślady ustępować. Ogólny stan zdrowia dziecka jest dobry, ale... wiesz...

-To znaczy, że nic? Nie ma nadziei?

-Dziesięć godzin, Bru. Musi upłynąć dziesięć godzin. Wtedy dam ci odpowiedź.

-Daj mi teraz! - krzyknął Twist. - Za dziesięć godzin będzie za późno.

-A jeśli ci powiem teraz, że nasz środek nie działa?  
Co zrobisz?

-Nic nie mogę zrobić - odparł głucho Twist. -  
Próbuj Hal, zmieniaj składniki, masz cały szpital do dyspozycji.

-Nie mam nic, Twist - powiedział profesor. -  
Chcesz go zobaczyć?

Twist kiwnął głową. Chłopiec leżał w tej samej sali, co kiedyś dziewczyna. Był przytomny. Poznał Twista i ucieszył się.

-Jak się masz, chłopcze?

-Jak się masz, Twist? - odpowiedział raźnie chłopiec.

-Nie za bardzo, a ty?

-Ja dobrze - roześmiał się chłopiec.

Twarz przewiązaną miał bandażem. Widać było, że cierpi.

-Nie możecie dać znieczulenia? - zapytał Twist, gdy Wyszli.

-Nie działa - rzekł profesor. - Jedź do domu.

-Nie.

-To chodź do mnie.

W gabinecie przeczekali następne pół godziny. Siostra miała czuwać cały czas przy łóżku chorego i dać znać, gdy tylko gorączka zmniejszy się lub z ciała zaczną znikać pęcherze. Nie nadchodziła.

-Powiem ci szczerze, Bru. Mamy dwudziestą drugą, gdy o dwudziestej trzeciej...

-Ktoś idzie - Twist podniósł głowę.

Profesor zerwał się z miejsca. Do pokoju weszła Elia.

-Bru! - krzyknęła i przytuliła się. - Wstałam w nocy, ciebie nie było, Mar spał. Dlaczego mi nie powiedziałeś, że jedziesz do szpitala?



-Elio, chciał dobrze - uspokajał ją profesor. -  
Zrozum.

-Rozumiem - cicho przytaknęła. - Nie mam prawa  
do niego, ale musiałam tu przyjść.

-Mówisz głupstwa - Twist objął ją mocniej.

Na korytarzu rozległy się kroki. Ktoś biegł, zbliżał  
się do gabinetu.

-Profesorze - siostra stała w progu - proszę za  
mną.

Elia i Twist zastali w gabinecie. Hal długo nie  
wracał.

-Może on już...?

-Nie mów tak...

-Oddałabym wszystko.

-Ciii...

Wszedł profesor, nawet nie spojrzał na  
małżeństwo.

-I co?

-Hal, i co?

Usiadł ciężko. Zgasił lampkę nad głową. Ciemność  
zalała gabinet.

-Pytacie i co? - cisza. - Temperatura podniosła się.  
Na ciele robią się rany. - Cisza. - Wszystko jak wtedy.  
Organizm walczy, ale...

-Na miłość boską, Hal.

-Co? - krzyknął w ciemności. - Co ja mogę zrobić?

Umilkli.

-Niepotrzebni już tu jesteście.

-Poczekamy do końca.

-Już nadchodzi koniec.

-Już? - zakrzyknął Twist. - Nie upłynęła godzina.  
Dlaczego tak szybko? Co się dzieje?

-Serce nie wytrzymuje. Chłopiec jest słaby...

Po korytarzu znowu ktoś biegł. Ta sama  
pielęgniarka otworzyła drzwi.

- Profesorze, to niesłychane. Proszę iść za mną.

Minęły trzy godziny niepewności, strachu, nadziei. Hal nie wracał. Wyszli z gabinetu i stali przed drzwiami sali.

- Idzie - Elia odsunęła ucho od drzwi.

Stanął przed nimi. Odetchnął raz i drugi, zdjął rękawiczki.

- Bru, chciałem ci pogratulować. Jesteś ojcem. Masz syna. Chłopak czuje się świetnie. - Roześmiał się. - No, możecie go zobaczyć. Idźcie...

Opuszczali szpital żegnani przez profesora. Elia pocałowała go gorąco, zarzuciła ręce na szyję i nie chciała puścić. Wsiadli do samochodu.

- Za cztery dni odbierzecie go, ręczę wam.

- Jesteś wspaniały, Hal.

- Dzwon do mnie, Bru... od jutra rana.

- Nie zostajesz w szpitalu?

- Zostaję, do cholery, ale chcę spać! - wrzasnął Hal. - Spać! Nie będziesz mnie teraz budził. Zamykam się w gabinecie i nie robię nic. Rozumiesz? Nic!

- Zbudzę cię jutro rano - roześmiał się Twist.

- O to właśnie chodzi - mruknął Hal. - Bądźcie zdrowi.

—

Ich powrót był najszczęśliwszym wydarzeniem, jakie razem przeżyli od czasu ślubu. Twist prowadził wolno. Elia, oparta na jego ramieniu, wpatrzona w przydrożne fosforyzujące kamienie, rozmyślała.

- O czym myślisz?

- O niczym. A ty?

- O niczym.

I powiedzieli sobie wszystko.

Ani Elia, ani Twist nie zwrócili uwagi na taksówkę jadącą za nimi. Śledziła ich od samego szpitala.

Przejechała obok willi i skryła się w ciemnościach nocy.

- Wróc.

Kierowca wzruszył ramionami.

- Z powrotem do miasta?

- Do miasta.

—

Nazajutrz w dużej, wygłuszonej sali rozpraw Rady Kryminalnej odbyło się walne zgromadzenie przedstawicieli wszystkich okręgów policyjno-wojskowych w kraju. Za długim stołem siedział między innymi szef Rady Ollońskiej - Tarner, jego zastępca - Bez, prezes ośrodka wojskowego - Mijevs, dalej - Lorenes, wysoki i chudy agent do specjalnych poleceń, o twarzy mordercy, Sawari - kierownik oddziału miasta, Talay, Garnach - wiceadmirał marynarki południowego wybrzeża, Liv, Stern, Irland, Paievai, Honski - szefowie prowincji.

Oprócz nich cała chmara wyższych oficerów, czołówka wywiadu, przedstawiciele rządu i kierownicy placówek administracyjnych.

Drzwi, jak strojne w skóry córki milionerów, broniły przed wstępem na salę niepowołanych ludzi. Zebrani otrzymali czterdziestopięciostronicowy tekst oświadczenia i dołączony do tego raport, które to ubiegłej nocy niestrudzenie pisał Bez, a przed wybiciem ósmej rano przepisywały już cztery maszynistki.

Milczenie, jakie od dłuższego czasu panowało na sali, wróżyło przeciągnięcie się zebrania, mającego planowo skończyć się przed południem.

- Czy wszyscy panowie przeczytali? - spytał Tarner. - Sprawa jest poważna.

-Dla niepoważnych spraw nie zrywam się o szóstej rano - nadmienił zaspany Honski. - Jechałem dwieście kilometrów po wyboistej drodze.

-Pan Garnach przybył wprost ze statku, zakotwiczonego trzysta kilometrów stąd.

-Czy dostaniemy obiad?

-I koniecznie coś do pisania. Papier, dużo papieru.

Ktoś się roześmiał, ktoś inny ziewnął skrycie. Liv wytarł ręce chustką. Bez wypił szklanek wody. Zaszleściły kartki.

-Pierwszy projekt! - Palevai podniósł rękę. - Każde miasto powyżej stu tysięcy mieszkańców podzielić na dzielnice, powiedzmy pięć- nastotysięczne. Skierować do akcji w każdy rejon dwudziestu cywilnych agentów i wzmocnić komendantury policyjne. Nasz X będzie się przemieszczać z miasta do miasta.

-Czemu rysopis mordercy nie może być podany do powszechnej wiadomości? - spytał Honski.

-Wczoraj skończyła się wojna. Opinia publiczna, spokój mieszkańców... - zaczął Mijevs.

-Ja odpowiem panu Honskiemu - Bez wstał. - Jeżeli tak zrobimy, w mieście wybuchnie panika. Czy pan sobie wyobraża, co to będzie, gdy oświadczymy, że wśród nas żyje człowiek zarażony, z którym najniewinniejszy kontakt jest jak wyrok śmierci?

-Podobno zaraza daje się leczyć?

-Był jeden przypadek uratowania zarażonego. Profesor Hal z Akademii Badań ITI opracował środek na zwalczanie choroby. Nie mamy jednak gwarancji, że zawsze będzie równie skuteczny.

-Poczekamy na następnych - ponuro zażartował Irland.

-Pominać fakt zarazy - zaproponował Tanner. - Szczegółowy opis i nagroda za wskazanie miejsca pobytu poszukiwanego.

-Ja zgadzam się z pierwszym projektem, jest najrozsądniejszy.

-Ja również proponuję przyjąć propozycję pana Tarnera - podlizzał się szefowi Bez. - Dysponujemy wielkim atutem w ręku, mając rysopis ściganego.

-Jeszcze nikt nie zaczął go ścigać, panowie - rzekł z wyrzutem Honski. - Oczywiście podział na dzielnice wchodzi w grę. Jednakże centralizacja sił policyjnych jest konieczna i wskazana. Proponuję przedłużyć czas pracy w Radzie do dwudziestu ośmiu godzin na dobę, wyznaczyć zmiany. Policjantów, którzy mieli kontakt z mordercą, skierować do służby w najciemniejszych zakątkach miasta. A poza tym posłużyć się tą napadniętą dziewczyną jako przynętą.

-Po pierwsze - Bez zerwał się jak oparzony - to nie byli policjanci, lecz inspektorzy. Po drugie - nikt nie będzie posługiwał się moją córką. Nie zgadzam się!

-W porządku, Bez - Tarner uspokajał podwładnego. - To zły pomysł - zwrócił się do Końskiego. - Przedłużymy godziny urzędowania Rady, jednakże zastawianie takich pułapek na X-a mija się z celem. Napady są dziełem szalonego umysłu. Właśnie ich przypadkowość niezwykle nam utrudnia tradycyjne działanie.

-Ilu mamy agentów w służbie czynnej?

-Ollon - pięćdziesięciu dwóch, Tawalia - dwudziestu, Houk - dwudziestu ośmiu...

-Sprawdzić sprzęt, rozdzielić instrukcje, rysopisy pomiędzy agentów i policjantów. Zachować spokój. Życie kraju toczy się normalnie.

-Drugi projekt - Polevai ponownie podniósł rękę. - Zamknąć i strzec przejazdów, stacji, portów.

-Przyjmuje - zgodził się, Tarner.

-A pomoc wojska? - wtrącił Mijevs.

-Konieczna - uspokoił go Tarner. - Właśnie wojsko się tym zajmie. Proponuję zrzucić winę na sprawę Księżyca. Mieszkańcy są do niej przyzwyczajeni, nie zdziwi ich większa ilość mundurów na ulicach.

-Oczywiście, panie Tarner.

-Zgadza się.

Po krótkiej przerwie, wypełnionej żarliwymi rozmowami, paleniem papierosów i piciem szklanek lodowatej wody, narada rozpoczęła się na nowo. Odbyło się sześciokrotne głosowanie, dwa razy odebrano głos Honskiemu za niestosowne żarty, cztery razy Stern wychodził do telefonu, dwa ołówki w gniewie połamał Mijevs. Zrezygnowano z listów gończych i tę ewentualność zostawiono na koniec. Przyjęto dwa projekty Palevaia z poprawkami natury ekonomicznej i błogosławieństwo Tarnera. Zebrani rozeszli się na obiad zadowoleni.

Godzinę później Bez przyjął u siebie Mara i Twista.

-Siadajcie, panowie.

-Postoimy - odparł Mar.

-Wyznaczam was do pilnowania rejonu willi Twista.

-Najmniejsza dzielnica w mieście - zauważył Twist. - Jakież dziesięć kilometrów kwadratowych.

-Tak - zgodził się Bez. - Chodzi mi o Elię i ciebie, Twist. A także wasze dziecko.

-Co on się taki dobry zrobił? - zapytał głośno Mar.

Bez pominął tę uwagę i ciągnął dalej:

-Mogę dać wam do ochrony dwóch „aniołów stróżów”. Zajmą stanowiska w willi.

-Nie. Dość mam twoich gości w moim domu - przerwał Twist. - Mar zamieszkał z nami, możesz być spokojny.

-A, to świetnie - ucieszył się Bez. - We dwóch dacie sobie radę. Masz przy sobie pistolet, Twist?

-Mam.

-Pan także, panie Mar?

-Także.

-Oddajcie je - położył na stole dwie lśniące kabury i następnym ruchem obu dłoni wyjął dwa pistolety.

-Co to jest?

-Broń udostępniona nam przez Olloński Ośrodek Wojskowy. Przeszła wszystkie próby.

-Którędy się strzela?

-Lufa, panie Mar. Broń lekka, kaliber duży. Celna, wyważona broń. Pociski rozrywające.

-To przypomina działo.

-Bo to jest małe działo. - Z odległości dziesięciu kroków rozwali pan tym połowy gmachu Rady.

-Niezły pomysł - przytaknął Mar.

-Po sześćdziesiąt sztuk nabojów dla każdego. Jeśli macie ochotę poćwiczyć...

-Nie-mamy ochoty poćwiczyć. Musimy wracać.

-Elia została sama.

-A to jedźcie, oczywiście.

Wychodzili.

-Jeszcze jedno - Mar odwrócił się. - Jak cię tytułować, Bez?

Oparł ręce na stole. Zaniemówił.

-Zastępcą szefa Rady Kryminalnej. I tak pozostanie.

-Tak myślałem. Cześć, szefie.

-Wiesz co? - Twist zawahał się. - Daj nam jednego człowieka do willi. Mamy zamiar pojeździć z Marem trochę po mieście. Przyda się podczas naszej nieobecności.

-Naturalnie. Przed wyjściem będzie na was czekał.

-I proszę o służbowy wóz. Ten, który dostałem, nadaje się na złom.

Bez wypisał szybko zlecenie. Odetchnął spokojniej, gdy wyszli.

Przed gmachem już czekał na wychodzących Lorne - wysoki i chudy agent do specjalnych poleceń. Bez wybrał dla nich najlepszego. Lorne przywitał się z nimi chłodno. Pojechali do willi.

Profesor Hal, któremu tą noc dała się porządnie we znaki (Bez telefonował trzy razy), udał się wreszcie do swojego mieszkania. Lucienne, spragniony wiadomości o losach chłopca, z którym w czasie swojej bytności u Twistów zdażył się zaprzyjaźnić, nie dał koledze odpocząć. Hal opowiadał chętnie, wyjaśniał szeroko medyczne zawiłości, choć oczy kleiły mu się ze znużenia.

-Droga dla nauki stoi otworem, Lucienne - wyrzekł nieopacznie,

-Nie rozumiem - przyznał Lucienne.

-Bez zmiękł. Wszystko, co ma związek z tą sprawą, rozpatrywane jest natychmiast.

-Przeszukanie rzeki? - Lucienne przy- dreptał do Hala.

-Myślę, że też - ziewnął Hal. - Gdzie idziesz?

-Wybieram się do tego, jak mu tam...

-Beza?

-Do niego. Jeszcze dziś stanę się posiadaczem naukowej fortuny. Ty jeszcze nie znasz Lucienna.

-Czym pojedziesz?

-Och właśnie, Hal. Jakby tak karetka z kierowcą, co? Na sygnale, co?

Hal westchnął i podniósł słuchawkę.

Lucienne wysiadł z karetki, kopniakiem sprawdził odporność opon, łaską odsunął łańcuch' przy bramie i, przykazawszy kierowcy czekać, wdrapał się na



schody dostojnego budynku. Bez posadził go naprzeciwko i zapytał w czym rzecz. Po kilku minutach wydał nakaz dla służby specjalnej Mijevsza.

- Proszę, zrobiłem dla pana wszystko, tylko wymagam dyskrecji. Nawet policjanci nie wiedzą, o co tu naprawdę chodzi. Kierownictwa wie, lecz inni nie powinni.

- Dziękuję, dziękuję. Przedłożę w Akademii projekt, by odznaczono pana orderem ITI.

- Co to za order? - Bez aż podniósł się zza biurka.

- Za wybitny wkład w rozwój nauki. Przyznawany pośmiertnie.

- Aaa - machnął ręką Bez. - Nie zależy mi na tym.

- No, to jadę - Lucienne chwycił laskę.

- Może pan będzie łaskaw, profesorze, skorzystać z naszego wozu. Karetkę odeślemy do szpitala. Wie pan, w obecnej napiętej sytuacji sygnał źle działa na nerwy pracownikom.

- Załatwione - otworzył drzwi laską. - Order ITI, pamiętaj pan - zaznaczywszy z powagą, wyszedł.

Cztery czarne limuzyny i półciężarowy samochód zatrzymały się na wrzosowisku w pobliżu stacji benzynowej. Lucienne patrzył z podziwem na sprzęt podwodny, z uśmiechem myślał o nie istniejącym orderze ITI.

Na wzgórzu było cicho i dość mokro. Roztopiony śnieg wsiąkał w ziemię. Kilku wieśniaków z pobliskich chałup przywędrowało na wzgórze w poszukiwaniu sensacji. Pułkownik, kierujący żołnierzami, chciał gapiów usunąć, lecz Luciennowi nie przeszkadzali.

Zszedł nad sam brzeg i laską wskazał przypuszczalne miejsce w wodzie, gdzie znajdować się mogły szczątki pojazdu. Skoczyli. Długie i silne latarki podwodne rozjaśniły dno rzeki. Ostrożnie, by nie zahaczyć o kolczaste druty, kłębiące się tam zapewne

od czasów ostatniej wojny, przeszukiwali dokładnie każdy metr dna. Lucienne stał na brzegu i patrzył bez przerwy na brązowo-czarny odcień wody.

Po jakimś czasie na powierzchni ukazał się pierwszy nurek. Trzymał w dłoni okazałych rozmiarów skrzynie. Następnie wypłynęli drugi i trzeci z fragmentami ścian pojazdu. W miarę przybywania znalezisk wyobraźnia Lucieny pracowała coraz intensywniej. Miał już w pamięci kształt promu, jego wielkość i barwę.

Rzeczy wyciągnięte z rzeki odbierali na brzegu żołnierze i zanosili do samochodów, zatrzymując się w czasie drogi tylko raz: przed Luciennem, który ruchami głowy wskazywał samochód lub pobliskie wysypisko śmieci.

Nurkowali bezustannie. Pod wieczór obładowany samochód i cztery limuzyny opuściły teren przy stacji. Wieśniacy rozeszli się rozczarowani.

Podwodne skarby przewieziono prosto do mieszkania Lucieny, wniesiono na górę, za co profesor był bardzo wdzięczny policji i wojsko, i zostawiono tam sam na sam z oszalałym ze szczęścia profesorem. Ledwie drzwi zamknęły się, naukowiec zadzwonił do Hala.

- Hal? Tu ja. Mam je, stary wariacie. Mam je.

- Cieszę się, stary wariacie, że je masz. Jest coś ciekawego?

- A nie obudziłem cię przypadkiem?

- Oczywiście, że mnie obudziłeś, ale postanowiłem nie spać w ogóle. Nie uważasz, że sen to strata czasu?

- Kpisz ze mnie, Hal?

- Gdzieżbym śmiał. Trzeci dzień nie mogą zmrużyć oka. Jak myślisz, dociągnę do tygodnia?

- Zły jesteś? - zapytał astronom cicho i niepewnie.

- Zły? - wrzasnął Hal. - Zły, na miłosierdzie boże? Na wszystkie zarazy i trupy, do jasnej cholery, do diabła...

- Przyjedziesz?

- Przyjadę.

Olbrzymi żyrandol w pokoju profesora Lucienna nie zgasł tej nocy ani na chwilę. Dwaj przyjaciele, pochyleni nad szczątkami wraku, rozbijający plastikowe i metalowe skrzynie, dyskutujący zażarcie, nie spostrzegli, jak upłynęła noc i świt zastał ich w ubraniach.

- Nie omyliłem się, Hal.

- Nie omyliłeś się, Lucienne. Wszystko przepowiedziałeś dokładnie - przetarł oczy. - Moja czwarta noc - westchnął.

- Ale opłaciło się, powiedz przyjacielu.

- Pewnie, pewnie - pokręcił głową. - Co to za metal?

- Nie znamy go. To jakiś metal z ich planety.

- Nieźle by było go nazwać „Lucienne”. A to? Co to jest? - wskazał kwadratową, płaską kasetę. - Otworzymy.

- Ostrożnie, Hal.

Lekko podważone wieczko kasety odskoczyło. Lucienne spojrzał i zamarł.

- Zamknij natychmiast!

Lucienne oddychał szybko, doktor był nie mniej przestraszony.

- Co najlepszego zrobiliśmy...

- Może nie wszystko stracone?

- Zniszczone, Hal. To przekłete słońce, ma zasłonięte zasłony - ukrył twarz w dłoniach - ale spróbujmy. Wywołamy ten film.

Mały, terkoczący projektor ustawili w poprzek pokoju. Prostokątny biały ekran zawiesili w odległości kilku metrów. W ciemni pracowali dwie godziny.

-Spójrz, Lucienne.

Astronom przyjrzał się kliszy. Trzasnął drzwiami, wychodząc z ciemni.

-Jedyna szansa zobaczenia czegoś. Film, nie wywołany film. Może nakręcony na tamtej planecie? Albo w czasie podróży pojazdu?

-Daj spokój.

Siedzieli na podłodze.

-Pojadę do szpitala.

Żaden z nich nie poruszył się.

-Nie mówmy o tym nikomu.

-Lepiej dla nas.

-Dla innych też. Dwa cholerne staruchy - zdenerwował się Hal.

-Spróbuję sporządzić szkic pojazdu - spojrział na pudła leżące w mieszkaniu - myślę, że materiałów mi wystarczy.

-Pracuj, Lucienne. - Hal nałożył płaszcz.

-Dwa cholerne staruchy - powtarzał wychodząc.

Lucienne po wyjściu przyjaciela nie zabrał się do pracy. Długo siedział przed pustym ekranem. Czuł, że popełnił największy błąd swego życia.

Upłynął dzień. W willi zmieniono niemal dokładnie zastosowanie pomieszczeń. W kuchni urządzono sypialnię, przeznaczoną dla Loma. Pokój gościnny był w posiadaniu Mara. Strych Ełia wymyśla i wysprzątała, zamieniając w przytulne i kolorowe gniazdko dla dziecka. Jedynie pokój Elii, który dostawione łóżko Twista zagrabiło kompletnie, pozostał ich dawną, starą sypialnią.

Leżeli.

-Może Hal da się przebłagać i pozwoli nam jutro zabrać chłopca?

-Spróbujemy.

Elia położyła się na wznak. Pod głową miała rękę męża.

-Trudno zasnąć czekając.

ma

-Trudno - potwierdził Twist.

-Przywieź go jutro, Bru. Postarasz się?

-Skoro świt pojedę do szpitala.

Mar wszedł do kuchni. Lorne siedział ubrany na łóżku i bawił się pistoletem. Inspektor popatrzył na agenta.

-Kogoś mi przypominasz, kolego. Czemu nie śpisz?

-Nie płacą mi za sen - Lorne przełożył pistolet do lewej dłoni i celował w ścianę.

-Papierosa? - Mar wyciągnął paczkę w jego kierunku.

Agent zapalił i rzucił zapalki inspektorowi. Mar zaciągnął się dymem i usiadł naprzeciwko Lorna.

-Wiem, kogo przypominasz. Jesteś podobny do niego.

-Do kogo? - zapytał bez zainteresowania.

-Do tego, na którego czekamy. Jesteś tak podobny, że gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że siedzi przede mną jego brat.

-Gdy go spotkam, zastrzelę. Skończy się pokrewieństwo - filozoficznie odparł Lorne.

-Zresztą może to obsesja. Nie mogę uwolnić się od obrazu tamtej twarzy.

-Uwolnię cię.

-Jak długo pracujesz?

-Piętnaście lat.

- Ostatnio nad czym pracowałeś?
- Strzelałem w Quell. Nie lubię mówić o pracy - uciał szybko.
- Przepraszam - bąknął Mar. - Ja też nie mogę spać. Możemy rozmawiać o czym tylko zechcesz.
- Mogę tylko o morzu. Przez dziesięć lat służyłem w piechocie morskiej.
- Dobrze, o morzu.
- Wiesz co to kliwer?
- Nie.
- Bezantopsel?
- Nie.
- Baksztag? Latacz? Wiesz, co to sejner?
- Nie. Raczej nie.
- A ty o czym możesz rozmawiać?
- O ptakach. Widziałeś kolibra?
- Nie.
- Albo żółtą papugę? A kiwi?
- Nie. Raczej nie.
- Idźmy spać.

Zapadła głęboka noc. Na uśpione miasto spadł gęsty, puszysty śnieg.

Tej nocy profesor Hal również nie spał. Około drugiej zerwał go z domowego łóżka ostry warkot telefonu. W komisariacie był pół godziny później. Obejrzał dwóch zabitych policjantów. Nie miał wątpliwości, że uczynił to ten sam morderca. Opuchlizna i siniejące w szybkim tempie rany wskazywały na to wyraźnie.

Dwaj policjanci rozpoczęli swój nocny obchód od ulicy sklepowej, widziano ich jeszcze na placu Ollon. Meldowali piętnaście minut później z ulicy giełdowej. Znalezione ich w pobliżu tarasu nadrzecznej restauracji. Ciała były masakrowane jeszcze po

zastrzeleniu. Morderca zabrał ich broń. Świadców zbrodni nie było, odcisków palców nie znaleziono.

Bez obudzony z kolei przez Hala, przyjechał natychmiast. Podjął decyzję powiadomienia mieszkańców o grasującym przestępcy. Już przed świtem radio nadało pierwszy komunikat. Następne pojawiały się na falach z coraz większą częstotliwością. Telewizja rozpoczęła program od podobnego komunikatu, uzupełnionego podobizną poszukiwanego, sporządzoną przez laboratorium kryminalne. Ostrzegano przez prasę i z megafonów. Małe biura i urzędy świeciły pustką. W większych zakładach i instytucjach zabezpieczono bramy wjazdowe. Zamknięto przedszkola. Niektórzy sprzedawcy nie otwierali swoich sklepów. Choć komunikat był ostrożnie zredagowany, uczynił piorunujące wrażenie w całym kraju.

-Gdzie ich zawieziono. Hal?

Bez siedział z profesorem w swoim biurze. Samopoczucie miał nie najlepsze.

-Do kostnicy.

-Dziś pogrzeb Rika. A za kilka dni z kolei ci powędrują na cmentarz.

-Dziwna rzecz, Bez, wszystko wskazuje na to, że morderca się mści. Zabija z niesłychaną wściekłością i okrucieństwem.

-Dlaczego, na kim, jak długo jeszcze?

-Na razie zabił trzech policjantów i trzy osoby prywatne,

-Morduje, jakby chciał wyniszczyć całe miasto.

-Ale jest w pułapce, Hal. Z miasta się nie wydostanie.

-Do widzenia, Bez.

-Odwagi, Hal. To nie potrwa długo.

-Przyznam się, że odwagi mi brakuje. Naprawdę zaczynam się bać.

Pod szpital zajechał Twist. Chłopiec był już ubrany. Właśnie rozmawiał z Halem, gdy dostrzegł nadjeżdżających.

-Niech dużo śpi i wypoczywa. - Profesor nachylił się do kierowcy. - Ta sama recepta dla ciebie i żony.

-Nie zaszkodzi mu mała przejażdżka po mieście?

-Ostrożnie, Bru,

Hal patrzył długo za nimi. A gdy zniknęli za rogiem domu, zawrócił do szpitala. Mała

uu

pielęgniarka złapała go za rękaw.

-Doktorze, pan ma do czynienia z policją. Czy oni go jeszcze nie złapali?

-Złapią, moja droga. Być może już dziś.

\* \* \*

-Proponuję - Twist zwrócił się do chłopca, gdy wjeżdżali na autostradę - odwiedzić twój dawny dom. Zabierzemy trochę rzeczy, książki, a potem wybierzemy się do kina, restauracji, na przejażdżkę. Wybieraj.

-Czy ona na nas czeka?

-Elia? Czeka.

-Lepiej ze stacji ruszajmy od razu do willi.

-To mi się podoba. Czuję, że będę miał niezłego rywala w domu.

Zatrzymali się na wzgórzu pod stacją benzynową. Wyszedł z niej wieśniak, którego Bru pamiętał ze swego pierwszego dnia pracy. Wieśniak poznał ich z daleka.

-Co? Odwozisz go pan z powrotem?

-Niech Bóg broni! - krzyknął Twist. -  
Przyjechaliśmy po drobiazgi chłopca.



-Proszę do izby. Gdzieś tu powinny być. Żona poskładała je ładnie i położyła na boku, gdzieś na boku... O, są.

Spory węzełek zaniósł Twist do samochodu. Chłopiec został jeszcze trochę wewnątrz.

-Chodź! - krzyknął Twist z samochodu.

Chłopiec wyszedł ze stacji i usiadł obok Twista. Zatrzasnął drzwiczki.

-Widzę, że tęsknisz do tego miejsca,

-Nie tak bardzo. Wszystko, się już teraz zmieniło.

Twist sięgnął po węzełek. Dziecko zauważyło kaburę pistoletu pod marynarką.

-Włóż coś cieplejszego.

-Nosisz ze sobą broń?

Twist poprawił skórzany pasek na ramieniu.

-Pokaż - poprosił chłopiec.

Wyjął pistolet i podał mu.

-Ciężki - przyznał ten. - Dziadek opowiadał, że w czasie wojny ukrył się na stacji jakiś żołnierz. Ostrzeliwali go, on też strzelał. Cała stacja wyleciała w powietrze. Należała do ojca dziadka. Po wojnie dziadek ją odbudował...

Oddał pistolet.

-Będiesz mnie uczył strzelać?

-Jeśli chcesz.

-Bardzo.

-Elia coś mówiła o szkole - napomknął Twist.

-Może zapomni - powiedział chłopiec.

-Może tak. Ja w każdym razie nie będę jej przypominał. Jedno pamiętaj: daj się pieścić, a będziesz miał ją z głowy.

-Od kiedy zaczniemy strzelać?

-Jak tylko nabierzesz sił.

-No to w drogę, Do domu. Tak?

-Do domu - Twist zapalił silnik.

W wili czekała na nich Elia, Mar i Lorne. Chłopiec był dość skrępowany obecnością tylu ludzi, ale spisał się dzielnie przy powitaniu. Elia ucałowała go kilkanaście razy, Mar z powagą uściskał małą dłoń, a Lorne zapytał go, czy wie, co to jest kliper i otrzymawszy odpowiedź wycofał się do kuchni tak szybko, jak się z niej wyłonił.

Mar, strojny w bogatą czerń garnituru i śnieżnobiałą koszulę, wybierał się na pogrzeb Rika.

-Zostań w domu zaproponował Twistowi. - Nie musisz iść ze mną.

Twist zgodził się. Wieczór z Elią i chłopcem zapowiadał się cicho i przyjemnie.

Godzinę później Mar wyjechał pożegnać przyjaciela. Lorne siedział swoim zwyczajem w kuchni, zaś młode małżeństwo z dzieckiem zamknęło się w sypialni i nie opuszczało jej przez długie popołudniowe godziny.

\* \* \*

Bez kończył w łazience toaletę. Spieszył się. Pogrzeb miał rozpocząć się za kilkanaście minut. Gdy zapinał guziki mankietów, odezwał się gong przy drzwiach.

Otworzył. Został wepchnięty na środek pokoju z taką siłą, że przewrócił się na dywan. Jezus zamknął drzwi. Bez patrzył w twarz mordercy. Zrozumiał, dlaczego nie dotarł ani jeden meldunek o znalezieniu tropu mordercy. Człowiek ten zgolił brodę. Również oznaki choroby zmieniły twarz mordercy w zupełnie inne oblicze, nie mniej odrażające, lecz całkowicie niepodobne do rysopisu policji. Włosy miał krótko przystrzyżone, biała ich barwa ściemniała, czoło powiększyło się przez wypadające kosmyki. Zgarbił

się. W ręce trzymał pistolet. Bez rozpoznał w nim nową broń policjantów, z której nie zdążyli już wystrzelić.

-Pełno ludzi u niej - odezwał się.

Bez podniósł się z podłogi. Nie rozumiał.

-Telefon... weź - skierował lufę na aparat.

Zastępca szefa Rady Kryminalnej podniósł posłusznie słuchawkę.

-Czego chcesz ode mnie? Chcesz mnie zabić? - ciekawość walczyła ze strachem. - Skąd jesteś? Przybyłeś z innej planety? Dlaczego nas zabijasz? Widzę, że męczy cię choroba. Jeśli odłożysz broń, nasi lekarze mogą cię jeszcze wyleczyć.

-Dzwoń.

-Gdzie, człowieku?

-Tam, do niej. Każ tym ludziom przyjechać tu. Żeby ich tam nie było, nie było, nie było...

W jednej chwili zrozumiał. Kazano mu dzwonić do Elii, ściągnąć pod byle pozorem Lorna,

Twista i Mara. Chciał z nią być sam. Widocznie widział jego córkę z Twistem, znał wilię i osoby tam przebywające.

-Dzwoń.

Głos miał głuchy i groźny. Palec naciskał lekko cyngiel. Bez pocił się obficie. Słuchawkę przyłożył do ucha. Palce wybierały numer. Nie miał wątpliwości, co trzeba uczynić. Przełknął ślinę. W słuchawce sygnał. Widocznie sekretarka z Rady wyjechała na pogrzeb. Śmierć odwlekała się o kilkanaście sekund. Nakręcał inny numer - najbliższego komisariatu. Jeszcze miał nadzieję, że zdąży do stolika, w którym spoczywał pistolet, nim ten człowiek strzeli. Stał nad nim z lufą wycelowaną w jego szyję. Ostatnia cyfra numeru krótka, wołałby dziewięć, a to było dwa. Sygnał. Za chwilę skończy się wszystko.

Nagle odłożył słuchawkę. Pot zalał mu oczy, rękawem otarł powieki.

-Nie dodzwoniłem się. Zajęty. Jeszcze raz spróbuje.

Przedłużał tę chwilę. W pewnym momencie strach zwyciężył. Szybko wykręcił numer willi. Ale nie zdobył się na podniesienie słuchawki. Cisnął nią w mordercę i przebiegł dwa kroki. Jezus szybko znalazł się przy nim. Uderzył rękojeścią pistoletu w kark. Powtórzył. Bez charczał Bił coraz silniej... Gdy leżący na dywanie ucichł, oddał strzał.

Bez zakończył życie. Krew wsiąkała w dywan. Człowiek odciągnął trupa za nogi pod ścianę pokoju. Wyszedł, zamykając delikatnie drzwi.

\* \* \*

Pogrzeb rozpoczął się. Nie mogli dłużej czekać na Beza. Śnieżne groby otaczały stojących. Mar, wdowa, dzieci Rika, koledzy z Rady.

Nad trumną przemawiał Tarner:

-W naszym szczęśliwym kraju istnieje śmierć. Nie ma radości bez smutku. Ale ta śmierć nadeszła zbyt wcześnie. Zabrała człowieka, który nigdy nic nikomu nie zrobił. Żył skromnie, odważnie, po ludzku. Usłyszałem niedawno słowa, których sensu nie wolno mi zapomnieć. Nie zapomnę, i wy nie zapomnijcie: Człowiek żyje na naszym świecie dopóki istnieje w sercu drugiego człowieka - wtedy śmierć jest pozorna, nie następuje. Tracimy bliskiego naszemu sercu, lecz on nie umiera. Odchodzi tylko, gdzieś niedaleko, patrzy na nas, myśli i czuwa nad nami. Żyje, bo my o nim pamiętamy.

Rik Oldrich pozostawił rodzinę, przyjaciół, kolegów. Wszyscy którzy tu się zebrali, nad ostatnim

posłaniem, przedłużą Twoje życie, przyjacielu. Podadzą ci rękę i przyciągną do nas. Na tę resztę naszych chwil.

Dlatego nie płaczcie, łzy nie pomogą, nawet nie uspokoją nas. Tylko te- słowa mogą przy nieść nam pociechę.

Jedno jest pocieszające - rozmawiamy z tobą, nasz wspólny przyjacielu.

Słyszysz?

Zebrani na cmentarzu pochylili głowy, a potem szybko podnieśli je w górę.

Cicho się zrobiło i tylko szelest kartek przemówienia Tarnera ciszę tę przerwał. Wdowa zachowywała się dzielnie, dzieci chlipały pod nosem i wycierały twarze rękawami płaszczy, Tarner przysunął się jeszcze bliżej grobu, odchrząknął i kontynuował:

- Trudno mówić o kimś, kto jeszcze niedawno był wśród nas. Jedno jest pociechą i, wierzcie mi, ważną. On nas widzi i słyszy. Tak, pamiętajcie. Tak.

-A morderca?

-Zbiegł. Mamy rozkaz, aby natychmiast powiadomić pana Tarnera.

-Idźcie.

Pobiegł do samochodu. W mieszkaniu była już policja. Przykryto zwłoki kocem. Nowy, pracownik z wydziału śledczego wypytywał sąsiadów z piętra.

-Jestem inspektor Mar, z Rady. Jak to się stało?

-Strzał z bliskiej odległości, oddany z nowego typu pistoletu... - podał rękę Marowi - Pan był przyjacielem Rika?

-Tak, tak - odparł z roztargnieniem. - Zmasakrowany?

-Owszem. Ślady uderzeń w szyję.

-Niech pan prowadzi śledztwo.

-A pan? Nie pomoże mi pan?

-Moja pomoc nie będzie panu potrzebna. Zna pan rysopis mordercy. Wiadomo, że ukrywa się w tym mieście. Reszta jest niewiadomą.

-Znajdę tę niewiadomą osobę.

Mar przyjrzał się nowicjuszowi.

-Na pana miejscu zachowałbym trochę więcej skromności. Zobaczysz pan, jak się przyda. W raportach. Żegnam.

-Pan mnie nie zrozumiał, panie Mar. Nie może pan odejść. Ja zostałem oficjalnie przydzielony do pracy z panem. Na miejsce Rika. Bez przydzielił mnie dziś rano.

-To powiedz mu pan, że ja się nie zgadzam. Nikt nie zajmie miejsca Rika. Tak mu pan powiedz. I napisz pan raport na mnie. Z góry oświadczam, że żadnej odpowiedzi nie będzie.

-Umarli nie piszą odpowiedzi - z naciskiem rzeki nowy inspektor.

-No właśnie - bezczelnie odparł Mar. - Pracuj, synu. Zbierz odciski palców z klamek.

-Powiadomię o tym pana Tarnera.

-Powiadom kogo chcesz, kolego. Ode mnie się odczep. Mam dość tej sprawy. A poza tym twoja osoba wybitnie mi nie odpowiada.

Nowy atak śniegu zatańczył nad miastem. Inspektor Mar jechał do willi. Widział po drodze silnie obsadzone posterunki policji, kilka razy musiał zatrzymać samochód na kontrolnych przejściach i oddawać do przeglądu swą legitymację. Wśród policjantów panowało poruszenie, sporo było krzyków, rzucanych komend, repetowania broni, tupotu butów. Jakiś przejezdny stanowczo mógł posądzić ten kraj o przygotowania do wojny. Opuścił ostatni posterunek w centrum miasta i jechał cichą, posypaną śniegiem, podmiejską szosą. Domów było coraz mniej,

zamieniały się w niższe, ogrodowe wille. Zaparkował przed garażem. Śnieg przestał padać już w czasie drogi, zrobiło się jasno, księżyc i gwiazdy świeciły.

Wszedł. Chłopiec już spał. Bru siedział w fotelu gościnnego pokoju i czytał gazetę. Szum wody w łazience wyjaśniał, co robiła Elia.

Na widok inspektora Twist opuścił gazetę.

- Wiem o wszystkim. Dzwonili do mnie z Rady.

Mar rozebrał się z płaszcza, wziął gazetę z kolan Twista i schował za nią twarz.

- Elia wie? - zapytał nagle.

- Jeszcze jej nie powiedziałem. Za dużo jak na jeden dzień.

- Nie zdążył dożyć procesu Księżyca. Wszystkim opowiadał, jak wykrył aferę dwudziestego ollońskiego wieku.

- Strasznie zginał.

- Teraz znowu twoja żona przeżyje piekło. Gdybym był kobietą, załamałbym się.

- Jest silną dziewczyną - rzekł Twist.

- Tarner zabrał Lorna? - domyślił się.

- Siedzi w kuchni.

Mar zerwał się na równe nogi.

- Wyjeżdżałeś gdzieś?

Twist również wstał.

- Nie.

- A Lorne?

- Nie, nikt. Co się stało?

- Lorne! - krzyknął Mar.

Agent wypadł z kuchni. W dłoni trzymał gotowy do strzału pistolet.

- Mar, o co chodzi?

- Na dworze, przed willą, są świeże ślady opon. Jeszcze nie zasypane śniegiem!

- O Boże!

-Cisza. Lorne, przejdź dookoła domu.

Twist przystanął pod drzwiami łazienki.

Przez szum wody dało się słyszeć stukanie otwartej ramy okiennej o ścianę.

-Oknem!

Lorne z błyskawiczną szybkością znalazł się na zewnątrz domu. Twist chwycił pistolet i nogą wyłamał drzwi łazienki. Elia zniknęła. Woda przelewała się z wanny na szklane kafle podłogi.

Mar, który wpadł do środka razem z Twistem, pędem puścił się przez pokój do drzwi wejściowych. Nie zdążył dobiec do Lorna, gdy padły pierwsze strzały.

Twist przelazł przez okno łazienki na dach przybudówki. Położył się i wyciągnął rękę- z pistoletem. Widział kontury samochodu pomiędzy pobliskimi drzewami, słyszał zapalany silnik. Nie mógł ryzykować strzału. Jeśliby trafił, cały samochód wyleciałby w powietrze.

Mar również opuścił broń. Jedyne Lorne klęczał ciągle za drzewem i mierzył do samochodu. Trzy mocne, niesione echem strzały skierowane były w Lorna. Wstał jeszcze, odskoczył od drzewa na ścianę domu, oddał ustami krew i osunął się szybko, szorując głową o chropowatą cegłę. Zginał na miejscu.

Samochód, ukryty wśród drzew, wytoczył się na szosę, uderzył w drzewo, zahamował, ruszył ostro w stronę miasta. Kierowca nie był najlepszy. Wóz znajdował się co chwila o krok od katastrofy.

Twistowi pociemniało w oczach, gdy wsiadał do służbowego samochodu, by ruszyć w pościg. Mar znalazł się za kierownicą, włączył syrenę...

-Bierz radio i nadaj do wszystkich posterunków i punktów kontrolnych: zakaz strzelania do czarnej



limuzyny - nie zatrzyma się na przejazdach - dyktował. - No, bierz się w garść, gówniarzu.

Rozpoczął się pościg.

-Tu posterunek XVI Nadjeżdża z dużą szybkością...

-Wstrzymać ogień! - krzyczał Twist.

Limuzyna roztrzaskała roгатki, niemal zmiażdżyła wartowniczą budkę.

Jezus zatrzymał się, wyciągnął rękę z pistoletem. Wystraszeni mieszkańcy okolicznych domów naliczyli jedenaście strzałów.

Elia leżała nieprzytomna na tylnym siedzeniu. Posterunek płonął. Wybuchły dwa gaziki. Dwudziestu ludzi straciło życie od ognia, dwóch od kul. Jezus patrzył na ogień. Odbijał się w lusterkach i szybach samochodu. Runął budynek posterunku, drewniany dach spadł na żyjących jeszcze rannych. Śmierć przeszła nagle, nie zostawiając prawie nikogo wśród żywych. Limuzyna rozjechała oponami pożarowisko. Popiół porwał wiatr.

-Posterunek przy komendzie X dzielnicy. Tu porucznik Livandont. Samochód zbliża się.

-Nie strzelać!

-Mamy instrukcję. Tarner rozkazał przywitać go ogniem.

-W samochodzie jest moja żona...

-Chyba pan wie, co się stało z XVI posterunkiem? Trzydziestu policjantów i żołnierzy straciło życie.

-Niech pan połączy się z Tarnerem i powie, że w samochodzie znajduje się Elia Twist. Odbiór.

Limuzyna nabierała szybkości. Uciekinier widział przed sobą sieć drutów. Reflektory oślepiły go. Znajdował się w odległości pięciuset metrów od obiektu wojskowego. Nacisnął gaz. Skurczona z bólu twarz Jezusa, dręczonego chorobą, wypalanego

ogniem od środka, majaczyła na szybach. Ładował pistolet, otwierał szybę. Elia nadal nieprzytomna.

Trzysta metrów od posterunku, dwieście metrów.

-Porucznik Livandont. Rozmawiałem z Tarnerem.

Odbiór.

-Mów pan.

Sto trzydzieści metrów od posterunku. Prędkość limuzyny maksymalna. Żołnierze i policjanci za zasiekami. Karabiny gotowe do strzału.

-Tarner rozkazał strzelać.

-Strzelać? Powiedział mu pan...?

-Tu chodzi o życie tych żołnierzy.

Sto metrów. Reflektory oblepiają białą barwą przednią szybę limuzyny.

-Proszę mnie połączyć z Tarnerem.

-Nie zdąży pan... Oni już są.

-Połącz mnie!

Pięćdziesiąt metrów... Czterdzieści... Trzydzieści...

-Tarner.

-Tu Twist. Jadę za nimi.

-Słyszałem o pana proście. Odmawiam. Odbiór.

-Ty gabinetowa kukło, draniu! Ryzykowałem dla was życie, przyjmując u siebie Rena! Mówisz, że moje życie nie jest nic warte?

Ostatnie metry. Żołnierze pochylili głowy. Mar odwrócił głowę do Twista.

-Modlisz się?

-Chcę, by mu się udało wydostać, tak, chcę! Nie obchodzi mnie nic, tylko ona. Modłę się, by samochód przejechał.

Mar nie odpowiedział nic. Gdzieś, kilometr przed nimi, huknęła karabinowa salwa. Limuzyna wpadła w zasieki, podskoczyła, skręciła ostro w mur jakiegoś domu. Głowa Elii uderzyła o ramę szyby, popłynęła

krw. Dwa reflektory zbite od strzałów z samochodu. Jeden żołnierz trafiony śmiertelnie.

Samochód przejechał przeszkodę, silnik nie zgasł. Z lewej strony stłuczona szyba, lekkie draśnięcie odłamkiem szkła. Jezus wjechał na most. Tu miał się rozegrać dramat zgromadzonych na moście policjantów. Kryli się przy barierkach z obu stron. Strzelali. Jakaś niewidzialna siła, otaczająca nadjeżdżający samochód, broniła go przed kulami. Szaleniec z głośnym śmiechem kręcił kierownicą w lewo, puszczał, w prawo... Miażdżył policjantów zderzakami. Liczni, chcąc uratować się przed zgnieceniem, wybierali skok do rzeki. Czasami trzymali się barierek po zewnętrznej stronie, zawieszeni nad przepaścią czekali na uderzenia samochodu o poręcz. Spadali nie krzycząc. Mało który wynurzał się z odmętów fal i docierał do brzegu. Pogubiona broń, turlające się po moście hełmy. Rannych nie było. Ginęli wszyscy. Trzydziestu dwóch ludzi.

Mar i Twist, jadący za limuzyną, widzieli dokładnie...

Tarner rozkazał zablokować wszystkie główne drogi ciężkim sprzętem. Do akcji wjechały czołgi.

Pętla nad krótkim ziemskim życiem syna Roberta i Harriet zaciskała się. Elia Twist nie odzyskiwała przytomności. Jezus wybrał rozkopaną, ciemną ulicę, prawie nie uczęszczaną, kończącą się przy autostradzie, jakieś trzysta metrów od stacji benzynowej. Zgasił światła, jechał wolniej, uważając na rozpadliny i doły. Słyszał z oddali sygnały karetek, warkot silników samochodowych, szum gąsienic.

Elia odzyskiwała przytomność. Wyrzucił pistolet przez okno, gdyż stwierdził w nim brak nabojów. Wydobył drugi. Zatrzymał się na chwilę. Ładował

magazynek kulami wyjmowanymi ze schowka przy tarczy zegarowej i liczniku. Śmiał się do siebie dziko. Naładowaną broń wsadził do schowka i ruszył dalej. Benzyna kończyła się. Mógł nabrać w stacji lub zostawić samochód i przejść koło wioski w góry. Znał kilka łańcuchów, gospodę, Quell Tam trudno byłoby go znaleźć.

Mar i Twist jako jedyni ruszyli tą ulicą.

-Powiadom Tarnera, gdzie jesteśmy i dokąd jedziemy.

-Nie - rzekł Twist. - Przyślą nam czołgi i samoloty na pomoc. Nie, nie. On chce zabić Elię.

-Tarner?

-Tarner - odrzekł Twist. - I on, i ten w samochodzie, i wszyscy.

Mar po raz drugi nie odpowiedział nic. W duchu przyznał mu jednak rację. Wyjął radio.

-Trzymaj się, Bru. Tylko się trzymaj.

-Trzymam się, Mar. - Twist przyłożył palce do skroni i wzrok wbił w ciemną drogę przed nimi.

Usłyszeli za sobą zgrzyt gąsienic. Twist zapalił radio.

-Tarner? Mówi Bru Twist. Znajdujemy się czterysta metrów od limuzyny. Widzimy ją. Jeśli nie nadjadą czołgi, mojej żonie nie grozi niebezpieczeństwo,

-Podaj pozycję.

-Nie. Każ wstrzymać kolumny. Dostaniemy go sami. Słyszysz, Tarner? Odbiór.

-Przyjmuję. Meldować co jakiś czas. Wstrzymuję akcję. Odbiór.

-Dziękuję.

-Czekam dziesięć minut, potem szukamy go sami.

Jezus zatrzymał się przy stacji. Coś kazało mu wrócić do miejsca, skąd przybył. Wyciągnął Elię z

samochodu i położył na śniegu. Sam usiadł przy niej, opierając plecy o samochód. Księżyc oświetlił jej bladą twarz. On zwiesił głowę na piersiach, dłonie złożył na pistolecie, Wpatrywał się w Elię badawczo.

Leżała z zamkniętymi oczami. Bała się podnieść powieki, poruszyć. Tylko raz widziała tę twarz nad sobą, potem zaraz straciła przytomność. Tak było lepiej, leżała na śniegu, udając nieprzytomną. Jeżeli ma paść strzał, przynajmniej nie zobaczy tej twarzy, wycelowanej w nią broni...

Robert Bar II spojrział w niebo. Zdawało mu się, że widzi jasny kształt promu, zawieszzonego pod chmurami. Skierował spojrzenie na Elię. Podniósł rękę, celował. Oddał cztery strzały tuż koło jej głowy. Śnieg przysypał włosy kobiety. Nie została trafiona.

Wieśniak uchylił drzwi stacji. Usłyszał skrzypienie, odwrócił się, strzelił. Drzwi zamknęły się natychmiast; W wiosce, położonej opodal, zapaliły się światła. Nie znosił wrzawy, jaka napływała stamtąd. Chciał być z nią sam, w ciszy, spokoju. Była taka piękna na śniegu...

Latarnie, znicze, pochodnie migotały światełkami. To ludzie ze wsi spieszyli na ratunek. Mar i Twist zostawili swój wóz. Szli uliczką, potem kryjąc się za pagórkami podchodzili pod wzgórze. Zarysy stacji, szum rzecznych fal, w oddali głosy wieśniaków...

Przypadli do ośnieżonej ziemi. Twist widział, jak morderca podnosi Elię, chwyta wpół i niesie. Przyłożył policzek do ręki. Na muszce pistoletu zamajaczyły plecy szaleńca. Nacisnął spust. Strzał niecelny. Naraz ujrzał, jak Elia wyrzywa się z rąk człowieka i potykając się ucieka po śniegu.

- Padnij! - krzyknął.

Upadła, nim rozległ się strzał. Zaraz potem podniosła głowę - żyła. Jezus również upadł, czołgał się.

Teraz do akcji wkroczył Mar. Przykleknął, strzelał z biodra. Łuski sypały się na śnieg. Cień pełził ciągle. Raptem poderwał się i wpadł do stacji. Mar przestał strzelać.

Twist podbiegł do żony, wziął na ręce, biegł niosąc ją do samochodu. Z okienka stacji padały strzały, ale Mar pilnował. Zmusił przeciwnika do wstrzymania ognia. Twist szczęśliwie doniósł Elię do limuzyny. Zapalił silnik, szybko odjechał za wzgórze. Zostawił ją w samochodzie na poboczu autostrady i sam wrócił do inspektora.

-Tam jest dwoje ludzi - inspektor wskazał pistoletem stację. - Wieśniak i jego żona.

-Nie strzelaj, Mar.

-Nie strzelam.

Czekali. Do rosnącej wrzawy dołączył się odgłos nadjeżdżających pancernych wozów, Turner wkraczał do akcji, upłynęło dziesięć minut.

Przykucnęli, wpatrując się w małe okienka stacji.

-Na ich miejscu nie ryzykowałbym ucieczki.

Ledwo wymówił te słowa, drzwi rozwarły się. Wybiegł wieśniak, za nim jego żona w nocnej koszuli. Nie zdążyli przebiec pięciu metrów. Dwa strzały, jeden po drugim, odbiły się echem nad rzeką.

Ludzie z wioski stanęli w odległości stu metrów od stacji. Po asfalcie zgrzytały gaśienice, motory wyprzedzały czołgi. Wojsko napelniało wzgórze.

Twist położył dłoń na ramieniu inspektora.

-Chodź. Mar. Oni to zrobią.

Mar pokręcił przecząco głową. Odsunął się metr od przyjaciela, wyciągnął rękę z pistoletem.

Wtedy Twist przypomniał sobie opowieść chłopca o człowieku, który spłonął na stacji,

Inspektor zaczął strzelać. Rytmicznie, celnie, nieprzerwanie. Twist odszedł trochę na bok. Dopiero teraz odczuł chłód wiatru. Był tylko w marynarce. Odwrócił się od strzelającego inspektora i zaczął biec w kierunku samochodu, Zaczepił go żołnierz:

- Co on robi? - wskazał Mara.

- Strzela.

- Proszę go zabrać z tamtego miejsca. My to zrobimy.

- Nie mam prawa.

Wtem słup ognia rozdarł nocne niebo, wbił się żółtoniebieskim jęzorem w chmury, plunął iskrami naokoło, zatoczył łuną nad głowami stojących. Powiększał się. Kłęby ognia obejmowały drewno, plastik i metal, smugi pożaru rozwarły się przy samej ziemi. Stacja wyleciała w powietrze.

Ucichły silniki wojskowe. Mar opuścił rękę, pistolet wypadł mu z dłoni. Ogień oświetlił twarz inspektora, zlepione włosy, zmęczone, zimne oczy.

Nagły podmuch górskiego wiatru porwał niedopalone strzępy, stoczył z pochyłości wzgórza i zwałił do rzeki.

Spalony syn Harriet Anderson i Roberta Bara, nazywający siebie imieniem Stwórcy, legł na dnie rzeki. Tam, gdzie niedawno woda kryła szczątki jego pojazdu. Zaczął padać śnieg. Szybko gasił małe płomyki na wypalanej ziemi, gdzie stała stacja. Dym sączył się cienkimi strużkami i uciekał z wiatrem w stronę rzeki.

Wieśniacy opuścili latarnie, latarki, znicze i pochodnie. Wojskowe motory jeździły naokoło nie istniejącej stacji, ślady kół otaczały kręgami miejsce śmierci.

Mar wciąż stał na wzgórzu, zapatrzony w górski las po drugiej stronie rzeki. Nie odchodził, nie reagował na wołania żołnierzy. Odciągnął go stamtąd adiutant Mijejsa. Poprowadził do Tarnera, siedzącego w samochodzie. Twist już tam był.

- Nic się nie stało pańskiej żonie? - Turner zwrócił się do Twista.

- Nie - odparł Twist.

- A pan nie jest ranny? - spytał Mara.

- Nie - głucho odpowiedział inspektor.

Ludzie rozchodzili się ze wzgórza. Karabiny maszynowe i małe działka przeciwpancerne ładowano z powrotem na samochody. Dwóch pielęgniarzy i lekarz, który opuścił karetkę, wrócili z pustymi noszami. Wiatr i ogień pogrzebały wieśniaków ze stacji.

Czarna limuzyna została na wzgórzu, nikt się po nią nie zgłosił. Rdza pokryła lakierowaną blachę. Deszcze, słońce i śnieg zniszczyły żałobny kolor.

W drodze powrotnej samochód prowadził Mar. Elia i Twist siedzieli z tyłu. Bru obejmował żonę, całował jej ręce. Inspektor zerkał co jakiś czas do lusterka i kiwał głową z zadowoleniem. Jego dostojne, pogrzebowe ubranie było pobrudzone i porwane. Trzymał kierownicę niedbale, z wysiłkiem patrzył na oświetloną drogę...

Elia posiniaczona, nadal przestraszona, nie mogąca jeszcze wydobyć z siebie głosu, położyła głowę na piersi męża. Palcami kurczowo chwyciła koszulę Twista i przybliżyła do niej usta.

Uspokajał ją jak umiał, choć sam nie ochłonął jeszcze po ostatnich zdarzeniach na wzgórzu.

- Jedźmy do ojca - wyszeptała Elia.



-Do domu, kochanie - poprosił ją Twist, jednocześnie spoglądając w lusterko przed sobą. Napotkał w nim wzrok inspektora.

-Do Beza - powtórzyła. - Martwię się o niego.

-Czemu? Niebezpieczeństwo minęło - z trudem wypowiedział to zdanie.

-Nie wiem. Tak czuję - przyznała Elia.

Mar chciał zatrzymać samochód, lecz Twist dał mu ręką znak, by jechał dalej.

-Wiesz... - zaczął, kładąc dłoń na oczach żony,

-Tak - odpowiedziała cicho. - Wiem.

Nie musiał jej niczego wyjaśniać, bo cisza, jaka zapanowała w samochodzie, powiedziała wszystko. Odkręciła szybę, wiatr rozwał włosy, śmiała się i płakała na przemian. Śnieg moczył jej policzki, wargi, powieki. Ukrywała przed nimi swoją rozpacz. Otuliła się ciaśniej marynarką męża i już nie pytała o nic.

Przed willą czekał na nich chłopiec. Pomimo zawieruchy, wypadł w piżamie na schodki. Zapalił w domu wszystkie światła. Elia wysiadła pierwsza i podbiegła ku niemu.

-Pojadę do domu. Nic tu po mnie - za wyrokował Mar.

-Wejdz do domu - poprosił Twist. - Przenocuj z nami.

O północy zabrano sprzed domu ciało Lorna. Lekarz, który przyjechał formalnie stwierdzić zgon, zbadał przy okazji Elię.

-Ogólnie dobrze. Niepokoić może tylko rytm serca. Należy się jej odpoczynek.

-Będzie go miała, doktorze.

Była to może najspokojniejsza noc w ich życiu, bo przyszła jak odwilż po strasliwym mrozie. Noc bardzo jasna i ciepła. Lecz Elia nie mogła spać. Stała przy oknie sypialni, zapatrzona w dal.

- Połóż się, kochanie. Doktor zapisał ci dużo snu.

Nie odpowiedziała. Twist wstał z łóżka, podszedł, posadził żonę na kolanach.

- Zamierzałam zdjąć szlafrok i wejść do wanny. On już był w łazience. Złapał mnie, położył rękę na ustach, uderzył w głowę i ciągnął. Ciągnął mnie, Bru.

Zrozumiał, że ona musi o tym mówić.

- W samochodzie zobaczyłam znowu tę twarz...

- Nie ma już jej. On nie żyje, kochanie.

- Będę potrzebowała dużo czasu, żeby o tym zapomnieć. Gdy leżałam na śniegu, jeszcze nim zaczął do mnie strzelać, zdawało mi się, że powiedział ko...cham.

- Tak powiedział?

- Kochm... Kchm.. nie umiał tego wymówić. Tak słyszałam. Potem nastąpiły te strzały... pożar.

Gładził ją po włosach.

- Myślisz, że ja z tego wyjdę? A może już jestem szalona?

- Musisz być silna. Czas wyleczy.

- Czas - opuściła głowę. - No dobrze,

- Widzisz, malutka, przeżyliśmy coś przypominającego niesamowity sen. Ale obudziliśmy się.

- Chciałabym się budzić nie zasypiając. Zrozum mnie, boję się kłaść do łóżka. Wiem co będzie mi się śniło. Z taką świadomością nawet nie mogę podejść do łóżka.

- Rozumiem,

Siedzieli,

- Czy ja będę zdrowa, Bru? Czy będę znowu normalną kobietą?

Milczał.

- Sińce znikną z mojego ciała - mówiła - ale czy zapomnę?

-Nie wiem - odparł szczerze. - Raczej nie zapomnisz. Lecz wspomnienie będzie rzadko przychodziło w snach, zacierało się, gasło. W końcu będziesz o nim mówiła bez lęku, ot tak.

-Tak? - uśmiechnęła się z przymusem. - Nasze dziecko śpi? Jestem niespokojna o nie. Boję się, czy śpi?

-Chcesz sprawdzić?

Poszli. Pochylili się nad chłopcem. Spał mocno i spokojnie.

5.

Życie Ollonu toczyło się jak dawniej. Rytm dni przerywany był tylko czasami muzyką żałobnych kotłów i stukotem końskich kopyt. Zwierzęta ciągnęły karawany wzdłuż najszerszych ulic miasta. Wstrzymywano ruch pojazdów, ludzie zdejmowali czapki. Gazety pisały szeroko o wypadkach ostatnich dni. Na różne sposoby zmieniano opis zmagania z mordercą, zamieszczano zdjęcia Elli, Twista, Mara. Karmiono opinię publiczną kłamstwami i fantastycznymi hipotezami, do czasu gdy temat ten ustąpił miejsca sprawie procesu wyznawców Księżyca.

Powoli zapomniano o historii z szaleńcem. Jedyne kilku sklepikarzy mimo zapewnień władz zwlekało z otwarciem swoich sklepów. Ale i to minęło. Bezpieczne, spokojne życie miasta. Dreszczu emocji szukano już tylko w drobnych skandalikach przedstawianych na ostatnich stronach ilustrowanych magazynów i w nagłówkach codziennej prasy, z werwą relacjonującej przewód sądowy żołnierzy z pałacu Quell.

Mar i Twist nie odwiedzali Rady. Inspektor przeniósł się na stałe do willi i zaczął być uważany za

członka rodziny. Elia poświęcała dużo czasu chłopcu, profesor Hal zaglądał często i pytał o zdrowie, służąca, Dora Yale, zaczęła na nowo służbę u państwa Twist. Dość wysoki spadek odziedziczony po ojca Elii dopomógł młodemu małżeństwu w gospodarstwie. Twist zaczął nawet przebąkiwać o powrocie na uczelnię. Elia nie zabierała głosu w tej sprawie. Po dziesięciu dniach od pożaru stacji benzynowej inspektor Mar nie mówiąc nikomu zaszedł do gmachu Rady. Nieodwołalnie wycofał się ze swego stanowiska. Oddał miejsce w samochodzie służbowym, stolik w pokoju, broń, galony mundur na okoliczność świąt, legitymację. Opuścił raz na zawsze dostojny gmach Rady Kryminalnej i uczynił to bez żalu. Zbyt wiele stracił pełniąc tu funkcję inspektora, by mógł żałować decyzji. Młody detektyw, którego poznał w mieszkaniu Beza, przejął stanowisko po nim. Inspektor spotkał detektywa w narożnej kawiarni obok Rady, gdzie pierwszy raz od tygodnia wstąpił, by spokojnie i w samotności pomyśleć o dalszym życiu.

Młodzieniec zbliżył się do stolika, Mar uniósł głowę.

-Słyszałem, że odchodzi pan. z pracy?

-Odszedłem - poprawił Mar. - Proszę niech paru siada.

-Myślałem, że przy panu nauczę się czegoś. Stał się pan sławny - mówił nowy pracownik siadając. - A pan odchodzi.

-Kolej rzeczy - inspektor rozłożył ręce.

-Lecz pan Twist przybył dzisiaj do pracy.

-Jak to? - Mar nie mógł uwierzyć.

-Widziałem go.

-Nadal będzie pracował?

Drzwi kawiarni otworzyły się. Wkroczył Twist. Z daleka pomachał przyjacielowi. Przepchnął się między

stolikami a ladą baru i siadł obok inspektora i nowicjusza.

- Nie spotkałem cię w Radzie - powiedział Twist.

- Widocznie wyszedłem przed tobą.

- Chcę ci coś oznajmić,

- Powiedz.

- Złożyłem rezygnację.

- I co? - zapytał niby od niechcienia

- Tarner przyjął.

- W takim razie i ja coś ci powiem - zaproponował

Mar.

- Powiedz.

- Złożyłem rezygnację.

- I co?

- Przyjął Tarner.

Mar podrapał się po brodzie - strzelił palcami na barmana.

- Dwie kawy dla sławnych bezrobotnych - zawołał.

- Jak zamierzasz pędzić resztę życia?

- Właśnie, przyjacielu - inspektor przechylił się do Twista - o to samo cię chciałem zapytać.

- Może odkupimy plac m wzgórzu i postawimy stację?

- To złe miejsce. Wolałbym hodować róże.

- Róże są nieopłacalne. Lepiej trzymać lisy brązowe i złote.

- Wiem. Założymy prywatną psiarnię.

- Mój ojciec miał mleczarnię za miastem, Świetnie mu się powodziło.

- Można by założyć wspólnie z Halem prywatną lecznicę. Mam jakie takie pojęcie o medycynie... Albo, bez pomocy Hala, prywatna biuro śledcze...

Młody detektyw z zapartym, tchem przysłuchiwał się rozmowie dwóch przyjaciół.

-Biuro byłoby najlepszym wyjściem - namyślił się Mar.

-Pozostaje tylko kwestia miejsca i pieniędzy - poddał Twist. - Słusznie, Bru. Nad tym musimy się zastanowić.

-Jakoś nic nie przychodzi mi do głowy. Co prawda jest spadek Beza, ale wątpię czy Elia...

-Musimy coś wymyślić.

-Moje pomysły w tej sprawie nie są najlepsze.

-Konkretnej propozycji na razie nie mam, lecz...

Zamilkli na parę minut, Twist pił kawę, inspektor rysował na obrusie tajemnicze znaki. Detektyw spoglądał to na jednego, to na drugiego. Twist odezwał się pierwszy.

-Pensja w Radzie nie była najgorsza.

-Usytuowany budynek jest nieźle.

-Na co nam prywatne biuro, do diabła? Ta sama praca...

-Mało papierkowej roboty.

-Przestępstwa od przypadku do przypadku.

-Chcę ci coś zaproponować, Mar.

-No?

-Jakby Turner nas przyjął...

Jeszcze tego samego dnia siedzieli w pokoju na trzecim piętrze i przez ogromne, szklane okna spoglądali na ruchliwe ulice Ollonu. Otrzymali znowu miejsca w samochodzie służbowym, stoliki w pokoju, broń, galowe mundury na okoliczność świąt, legitymacje. Nowy pracownik - detektyw, pisał na maszynie raport z dzisiejszego dnia, a Twist i Mar, siedzący naprzeciwko siebie za identycznymi stołami, wodzili wzrokiem po ścianach odzyskanego śledczego biura. Połączyli swe siły i odtąd nazywano ich pierwszą sekcją brygady do praw kradzieży, zabójstw i włamań.

Po pracy Mar i Twist pojechali do willi służbowym wozem. Elia zauważyła ich z okna kuchni.

- Witajcie, chłopcy!

- Witaj - odpowiedzieli, a miny mieli niepewne.

Uniknęli rozmowy z Elią, uciekając z gościnnego pokoju pod pozorem sprawdzenia garderoby i rozpoczęcia toalety. Profesor Lucienne urządzał dla nich dzisiaj małą kolację.

Pojechali we czworo, zabierając chłopca. W mieszkaniu zastali gospodarza i śpiącego Hala - odsypiał zaległe noce jeszcze z zeszłego tygodnia.

- Chciałbym coś państwu przeczytać - oznajmił Lucienne.

Zasiedli do bogato zastawionego stołu. Astronom chrząknął, nałożył okulary, wydobył spod sterty papieru dość duży, złożony we czworo arkusz.

- Przyszedł dzisiaj rano.

- A co to jest? - zapytał Mar.

Hal poprawił się z zaciekawieniem w fotelu. Lucienne chwycił łaskę opartą o stół.

Co to jest? - profesor potarł policzki kościstą dłonią. - List. A właściwie odpowiedź na mój list, przysłany z Akademii przy Okręgu Astronomicznym.

Jedną ręką chwycił arkusz, drugą podniósł łaskę i wybijając rytm zdań o stół, czytał z wściekłością:

- „W odpowiedzi na pismo pańskie, dotyczące niezidentyfikowanego obiektu latającego, który pojawił się rzekomo na niebie w okolicach wsi Sagnac, jak i licznych materiałów nadesłanych do kancelarii Okręgu, uprzejmie informujemy, że obserwatorium astronomiczne i stacja badawcza Rady Astronomicznej miasta Ollon nie zaobserwowały w podanym dniu żadnych tego typu wydarzeń, ani też podobnych przypadków nie zanotowały na przełomie ostatnich kilkudziesięciu lat.

Dziękując w imieniu Okręgu Astronomicznego za nadesłane fragmenty pojazdu informujemy, że sympozjum naukowe przesyła szereg uwag na temat stopów metali wydobytych z rzeki, środków chemicznych tam znalezionych, taśmy filmowej oraz domniemanego wyglądu pojazdu opisanego na szkicu sporządzonym przez pana. Uwagi te przesyłamy w oddzielnym liście, dziękując jednocześnie za żywe zainteresowanie sprawami astronautyki i astronomii.

Obserwacje pańskie, jakkolwiek wysoce nieprawdopodobne, zostały należycie przeanalizowane. Materiały za zgodą pańską zostaną przekazane instytutowi badań morskich”.

-Instytutowi badań morskich - powtórzył.

Zgiął przeczytany arkusz i rzucił na stół.

- Oto, co mi odpowiedzieli: Kup pan sobie astrolabium, poczytaj o procesach metalurgicznych i nie przysyłaj więcej prześwietlonych taśm. Niby kłaniają się i dziękują, a syczą: zjeżdżaj do domu, wariacie.

-O jaką taśmę chodzi? - spytał Twist

-To nasza słodka tajemnica - Lucienne popatrzył na Hala - z profesorem.

- Słuchaj, Lucienne - przerwał profesor Hal, chcąc jak najszybciej zaniechać kontynuowania sprawy taśmy. - Mogę dołączyć do twoich materiałów moje uwagi o ofiarach w szpitalu. Wojsko i policja...

-Wojsko i policja walczyły z człowiekiem. Nie przekonam nikogo z nich, że chodziło przybysza z innej planety.

-Tak - Mar uśmiechnął się. - Bez poprowadził sprawę ostrożnie. Tak ostrożnie, za nawet na zebraniu w Radzie nie padło ani jedno słowo o wszechświecie.

-Żyjemy w cywilizowanym kraju, bardzo mądrym kraju, który wszystko wie, tłumaczy, a rzeczy



niezrozumiałe, zgoła niepojęte - odrzuca. Nauka rozwija się w jednym kierunku, jak kolejka wąskotorowa, i nigdy nie wypadnie z szyn. Opinia publiczna nie lubi być na poważnie straszona duchami.- Dziwne - rzekła Elia, te może istnieje Świat, gdzie takich ludzi jest więcej,

Żyją jak my...

-Kto wie - Lucienne podszedł do okna - gdzie w tym olbrzymim roju gwiazd, na której planecie ukrywa się szatan?.,.

-Nie tak pesymistycznie, profesorze - odezwał się Twist.

-A jednak nie zejść z tego świata spokojnie Moje notatki, obliczenia, szkice wskazują na coś.

-Na co?

-Na wiele spraw. Między innymi na niezwykłą zbieżność myśli technicznej ollończyków i ludzi, którzy zbudowali tamten pojazd. W procesie cywilizacyjnym nie stoimy od nich daleko niżej.

-Szansa poznania nieba przybliży się.

-O nie. My tego nie dokonamy. Może za trzy, cztery wieki.

-Nie mówmy już o tej sprawie.

-I uważajmy ją za zakończoną.

-Jesteśmy w żałobie.

-Żałoba przystoi głupcom - zakrzyknął niewzruszony profesor. - Choćbyśmy mieli poświęcić jeszcze nie jedno życie ludzkie, warto złożyć ofiarę. Poznać... zrozumieć... przeniknąć... dociec...

-Nasza ofiara - powiedział inspektor - zastała złożona.

Obecni przyznali słusność inspektorowi w milczeniu.

Profesor Lucienne odsunął od siebie talerz i szklanke. Położył na serwecie grubą księgę. Zaśmiał się cicho, otwierając ją.

-Według wierzeń ludów z wyspy Orm, ten który pierwszy zauważy świetlistą kulę na niebie i wskaże kierunek lotu, pierwszy musi ponieść ofiarę.

-To pan, profesorze - odgadł Twist.

-Jestem przygotowany na przyjęcie złych mocy - Lucienne rozparł się w krześle. - Moje życie się kończy, czekam na coś, co na starość przyniesie satysfakcję. Może prośby moje zostaną wysłuchane. Kilkadziesiąt lat obserwowania nieba, lunety, teleskopy, marzenia, każda chwila poświęcona jednemu. Każdy zarobiony grosz szedł w przyrządy. A dzisiaj spotykają mnie wyzwiska, ślepotą męczy, plecy dorobiły się garbu. Dlatego bez obawy, a z nadzieją, mogę krzyknąć: Przychodźcie, złe moce!

-Dobranoc, profesorze!

-Tak, idźcie już. Dobranoc. Ja jeszcze trochę dzisiaj popracuję.

Opuścili mieszkanie profesora Lucienna. Starzec, gdy tylko goście wyszli, poczuł się niezwykle samotnie. Wstał od stołu, zostawiając sprzątaną brudnych naczyń na później. Opuścił małą jadalnię i podpierając się laską, przeszedł do biblioteki. Mieściła sześć drewnianych regałów z czterema tysiącami książek. Usiadł wygodnie we wspaniale rzeźbionym, rodowym fotelu i oddał się przyjemności czytania. Noc była bezwietrzna. Okrągły Księżyc wchodził przez okno do biblioteki, pomagając malej lampce oświetlać stronic dzieł.

Lucienne pochłonięty czytaniem nie usłyszał cichego skrzypienia drzwi. Kroki przybliżały się.

Obcy w domu przeszedł jadalnię i nacisnął klamkę bibliotecznych drzwi.

- Proszę pana...

Struchlał, zdjął okulary.

- Proszę pana, to ja.

Chłopiec stał przed nim z uśmiechem patrzył na rozłożoną książkę.

- To ty? Jak się tu dostałeś?

- Przyszedłem. Wszyscy zasnęli i udało mi się wymknąć. Nie pilnują mnie tak bardzo.

- Nie pilnują? - powtórzył zdumiony jeszcze bardziej Lueienne.

- Pan się nie cieszy, że przyszedłem?

- Ależ naturalnie, cieszę się, ale ta pora, twój strój...

Chłopiec był ubrany dość skąpo. Droge od willi do domu profesora przebył piechotą. Buty były zabrudzone i mokre.

- I co ja mam z tobą zrobić? - zapytał astronom.

Pytanie skierowane było raczej do niego samego, lecz chłopiec odpowiedział natychmiast!

- Porozmawiać,

- Porozmawiać? O czym?

- O niebie.

- Tak cię to interesuje? - uśmiechnął się, - Myślałem, że to złe moce przybyły na moją prośbę.

- Przybyłem na pana prośbę. Będę pana pomagał.

Lucienne nie odpowiedział. Posadził chłopca w ciepłym miejscu, zdjął przemoczone buty z nóg, okrył kocem. Przez cały czas coś powtarzał pod nosem, kręcił głową, śmiał się do siebie.

- Skoro świt zawiadomimy rodziców. Teraz nie ma powodu ich zrywać,

- Tak, teraz nie ma powodu ich zrywać - zgodził się gość. - Śpią sobie.

-Ale my także musimy iść spać - stwierdził Lucienne. - Przygotuję ci łóżko. Mam w domu składane, zapasowe, myślę że będzie ci wygodnie.

-Ale ja przyszedłem porozmawiać, nie przyszedłem spać.

Profesor podniósł oczy w górę, ręce opuścił bezwładnie wzdłuż dała. Z westchnieniem przyciągnął krzesło i usiadł przy nocnym gościu.

-.Dobrze, porozmawiamy, a potem pójdziemy spać.

-Dobrze. Niech pan pyta.

-Nie bardzo rozumiem - jąkał się przestraszony profesor,

-Niech pan mnie pyta o życie pod ochroną atmosfery słonecznej, o przebieg linii sił naszego pola magnetycznego, zapyta, czy istnieje czas absolutny?

Lucienne zdziwił się i zaciekawił niezmiernie. Chwilę mrugał powiekami, przez moment pocierał dłonią policzki. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Wzrokiem poszukał zostawionej gdzieś w bibliotece laski. Poszedł po nią. Trzymając laskę w dłoniach czuł się pewniej.

-A skąd ty wiesz o takich... kto ci opowiadał... z kim rozmawiałeś na te tematy? A może

czytałeś, dużo czytałeś?

-Czytałem i rozmawiałem. Ja wylecę w kosmos.

-Oho, to nie takie proste.

-Dla pana i dla mnie proste.

-Wiesz co, mały? Jesteś dla mnie największą zagadką mego życia.

-Na strychu często podglądałem pana. Przychodziłem tam kilka razy w ciągu dnia.

-A ja myślałem, że to myszy buszują po strychu, ściągają koce, przestawiają lunety.

-Nie - stanowczo odparł chłopiec. - To byłem ja.

- Teraz wiem, że to ty.

Chłopiec poszukał czegoś w kieszonkach swetra. Podał profesorowi małą kartkę papieru. Lucienne nałożył okulary.

- Tak wyobraziłem sobie pojazd.

Lucienne długo przyglądał się kartce. Przekreślał ją w rozmaite strony, oddalał, przytykał pod nos. Wstał nagle i odszedł.

- I ja coś ci pokażę - szperał w bibliotecznych regałach. - Mój szkic. Ostateczną wersję ukończyłem wczoraj.

Podał malcowi rysunki. Z nim pochylił głowę nad papierami.

- Zaznaczyłem linią przerywaną kształt promu kosmicznego, widzisz? Na podstawie sylwetki promu stworzyłem cały pojazd. Zwróć uwagę na skalę i zaznaczone miejsca. To włązy. Na drugim rysunku jest wnętrze statku. Na trzecim całość widziana z góry. Resztę planów mam schowane w pokoju...

- Niech pan przyniesie.

- Przyniesie? - Lucienne szukał wzrokiem niewidzialnych osobników, którzy mogliby razem z nim dziwić się tej rozmowie. - Zaraz po nie pójde. Chwileczkę.

Po jakimś czasie rozmówców otoczyła sterta szkiców, notatek, map. Przerzucali je zapamiętane, tworzyli mniejsze i większe kupki, dochodziło nawet do kłótni.

- A co mi tam będziesz gadał, mały! - krzyczał profesor. - Poświęciłem na to zbyt wiele czasu. Ja się nie myślę, wybij to sobie z głowy. Nie mogę się mylić.

- Ale to bardzo drobna pomyłka. Wykryje ją nawet dziecko.

- Ale nie taki mądrała, jak ty.

- Właśnie taki.

Chłopiec posiadał spory zapas wiedzy, podstawy matematyczne, jakieś pojęcie o fizyce, niezłe rozeznanie w astronomii. Potrafił rozmawiać swobodnie o zjawiskach magnetycznych, pyłe kosmicznym, działaniu radioteleskopów, promieniowaniu słonecznym, ośmiomiliardowej historii Słońca. Lucienne tak był niezmiernie uradowany i podniecony, że wybaczał mu nawet ataki na jego osobę. Profesor nie mógł zrozumieć, jakim cudem chłopiec stał się posiadaczem takiej wiedzy, a jeszcze bardziej dziwiła go owa niezmierną bystrość umysłu, graniczająca błyskotliwością i inteligencją z umysłem geniusza. Gotów był nawet powiedzieć, że został na stare lata wysłuchany, przez niebo.

-Pójdę już - powiedział w pewnej chwili chłopiec.

-Poczekajmy do rana. Przyjadą po ciebie rodzice.

-Nie. Jeśli teraz wrócę, niczego się nie dowiedzą i będę mógł częściej przychodzić.

-Będziesz uciekał?

-Urywał się ze szkoły. Zrezygnuję z nauki strzelania u Twista.

-Czekaj, odprowadzę cię.

Starzec nałożył płaszcz, owinał szyję szalem, wcisnął chłopcu na głowę jakiś beret. Ujął go za rękę, laską otworzył drzwi. Złapali taksówkę i niebawem byli pod willą.

-Oddaj beret. Nie mogą się niczego domyślić.

-Przyjdę jutro, proszę pana.

-Masz klucz do drzwi wejściowych willi?

-Mam, proszę pana. Do jutra,

-Do jutra chłopcze. Będę na ciebie czekał.

Wracając Lucienne nieraz odwracał się za siebie, jakby chciał przypomnieć sobie niknącą w willi postać chłopca. Nie miał wątpliwości, że odkrył dar zesłany mu w ostatnich latach życia przez Stwórcę.

„Mój drogi Lucienne - mówił do siebie po powrocie, krzątając się po pokoju - Ha, drogi Lucienne. Zapłacono ci należycie za twoje trudy. Och, stary wariacie, musiałeś spotkać tego chłopca. Lepszy on od latarni dla ślepcy, laski kulawego. Ciesz się, Lucienne. A może on zobaczył tę jaśniejącą na niebie kulę i został zarażony tak samo jak ty? Ten metal wydobyty z rzeki ma działanie hipnotyczne. Człowiek, który go dotknął, do końca życia owładnięty zostaje ideą lotu. Nie opuszczają go myśli, zaczyna szukać drogi. Tak, chłopcze, razem wylecimy w przestrzeń. Nam było dane otrzymać sygnał z zaświatów, przyjmujemy go wzywamy...

Mój drogi Lucienne. Miałaś pieniądze, plany konstrukcyjne, możliwości. Brakowało ci tylko tego jednego: Młodego człowieka, który poprowadzi twój statek. Obecnie masz wszystko. Do pracy, Lucienne!

A jeśli chłopiec nie zechce wyruszyć? Bo to oznacza pożegnanie z Ziemią na zawsze. Nie, nie. Dopóki nie będzie miał nikogo, odda staremu profesorowi tę przysługę. Będzie mógł wyruszyć, jeśli ktoś nie zatrzyma go na ziemi. Rodzice, ukochana. Nie, nie. Nie ma nikogo. Twist i Elia kochają, go, ale to nie są prawdziwi rodzice. Nie kocha ich tak mocno. A przy tym w oczach chłopca tli się ogień. Rozpoznaje takie płomienie...”

Czekał na chłopca cały następny dzień. Zaczął się niecierpliwić, a późnym wieczorem stracił ostatnią nadzieję, Ale nie. Chłopiec przybył w podobnym czasie.

-Przyszedłem, proszę pana.

-Nie domyślili się niczego?

-O, nie. Byłem ostrożny.

-Niepokoiłem się o ciebie, chłopcze.

-A ja nie mogłem się pana doczekać.

Lucienne postanowił przeprowadzić z chłopcem rozmowę.

-Chłopcze, czy byłbyś gotów wyruszyć w podróż?

-Tak.

-Zastanów się dobrze, a potem odpowiedz. Opuścisz Ziemię, przybranych rodziców i bardzo wątpię, byś powrócił... Jesteś, jeszcze zbyt młody, by mi na to pytanie odpowiedzieć.

-Zgadzam się.

-Być może staniesz się podobny do człowieka, który na naszą Ziemię przybył. On może był dobry, kochający, lecz samotność i wędrówka przez ten niespokojny ocean zmieniły go.

-Chcę polecieć.

-Nie żądam od ciebie kategorycznej odpowiedzi. Nie chcę, abyś mnie zapewniał, przysięgał. Dzielę się z tobą moim planem. Nie ma prawa zabierać nikomu życia, ciekawego, pięknego, ziemskiego życia. I dawać w zamian innego, obiecywać sławę. Przymknij jedno - gdy to nasze małe, nijakie, ziemskie życie zniechęci cię, gdy będziesz czuł absolutną pewność, posiadał wiarę, jakiej nie ma nikt, przyjdiesz tu?

-Tak.

-Będę na ciebie czekał.

Mijały dni. Lucienne zmienił się nie do poznania. Wyprostował kark, chód jego stał się szybszy, pewniejszy, włosy przestały siewić t wypadać. Odmłodniał o dwadzieścia lat. Gdy przyszła wiosna, zjeździł wynajętym samochodem cały kraj w poszukiwaniu potrzebnych materiałów. Brano go wszędzie za lekkiego wariata, nie interesowano się nim i nie czyniono krzywdy. Jego konto w banku malało proporcjonalnie do upływu czasu. Wynajął za miastem



obszerny młyn. Przeniósł się tam z całym swoim laboratorium. Wiecznie zasłonięte okna młyna i nieprzejednana wrogość do obcych sprawiły, że nie odwiedzano Lucienna w jego kryjówce. Okoliczni wieśniacy wiedzieli, że coś buduje, we wsi nazywano go „starym modelatorem”. W pracach pomagał mu mało rozwinięty miejscowy chłopak. Załatwiał zwykłą fizyczną robotę, ograniczona zdolność pojmowania tego, co się naokoło mego działo, pozwoliła utrzymać w tajemnicy, przedsięwzięcie profesora.

W willi nie zmieniało się wiele. Chłopiec nie otrzymał w końcu żadnego imienia, bronił się przed tym zaciekle i wygrał. Było już chyba na to za późno. Pozostał więc chłopcem dla domowników, a i liczni znajomi odwiedzający willę nie zwracali się do niego inaczej.

Twist i Mar dzielnie trwali na swych stanowiskach i wiele wskazywało na to, że doczekają się w Radzie niezłych emerytur. Ich praca przebiegała spokojnie i łatwo, nuda była częstym gościem w pokoju trzeciego piętra. Elia spełniała bez zarzutu obowiązki matki, zapisała chłopca do szkoły, interesowała się żywo jego postępami w nauce, tkwiła przy dziecku i po stronie dziecka w każdej sytuacji. Chłopiec rósł, Bru Twist starzał się, inspektor Mar starzał się, profesor Hal od pewnego czasu chorował na reumatyzm, Elia zamieniała się z każdą chwilą w poważną panią domu. Chłopiec, gdy tylko mógł, odwiedzał profesora Lucienna w jego młynie. Tylko on wiedział o nowym miejscu pobytu starca. Dla reszty Lucienne nadal przebywał w swoim mieszkaniu w mieście. Starał się jak najmniej mówić z rodzicami o swojej przyjaźni ze starym człowiekiem. Tajemnica ich związku przetrwała wiele lat.

Ollon rozbudowywał się, powstały nowe drogi, Tunirę uregulowano, przedmieścia poczęto dołączać do miasta. Otwarto najnowszą, napowietrzną kolej, łączącą prowincję Haukastil i Ollonem.

Gdy chłopiec liczył dziewiętnaście lat, umarł nagle profesor Hal. Opłakiwał go szczerze. Na cmentarzu spotkał Lucienna.

- Witaj, chłopcze. Nie widzieliśmy się dobrych kilka miesięcy.

- Sądziłem, że cię tu spotkam - przyznał chłopiec.

Lucienne laską odgarniał liście z grobu.

- To był wspaniały człowiek, chłopcze. Niejednemu uratował życie. Zapytaj kiedyś mnie o jego wojenne wyczyny. Pamiętam ze szczegółami. To był wspaniały człowiek. A gdzie Bru? Mar? Elia?

- Już poszli.

- A ty?

- Chciałem z nim jeszcze chwilę zostać sam na sam.

- Pojedziesz ze mną do młyna?

- Teraz?

- Choćby i teraz - przytaknął starzec. - Mam samochód. Kupiłem sobie własny samochód. Lucienne otworzył drewniane wrota młyna. Oczom chłopca ukazał się dziwny wehikuł. Przypominał ptaka z rozpiętymi skrzydłami, blask bił od niego, pachniał świeżą farbą, olejem.

- To twój pojazd. Jest twój.

- Żartujesz, Lucienne,

- Nie. Daleko mi do żartów.

Weszli. Przystanęli pod „brzuchem” ptaka.

- Nie mogę uwierzyć.

- Uwierz - Lucienne uderzył laską o rękę - to rzeczywistość.

-Jak człowiek mógł sam coś takiego zbudować...?

-Lucienne mógł, jak widzisz.

-Jeszcze niedawno sądziłem, że nie mówisz poważnie.

-Okazało się inaczej.

-Masz przy sobie dane, obliczenia?

-Obok, w pomieszczeniu mieszkalnym. Wstąpmy tam.

Do późnej nocy przerzucali setki stronic zapisków. Spora, szkolna tablica i kilka pudełek kredy przydały się tej nocy bardzo.

-Nie mogę dłużej siedzieć. Nie powiadomiłem rodziców'.

-A tak, tak - profesor wstał z krzesła, - Jedź.

-Wróć jutro. Postaram się być jak najwcześniej.

-Chciałem cię jeszcze o coś zapytać.

-Zapytaj, Lucienne - powiedział chłopiec, myjąc ręce pobrudzone kredą.

-Pamiętasz naszą rozmowę sprzed lat? Pierwszą między nami rozmowę?

-Pamiętam bardzo dobrze. Przyszedłem wtedy do ciebie. Uciekłem z domu...

-Właśnie. Chciałeś mi coś wtedy przyrzec...

Chłopiec popatrzył na profesora. Zrobił dwa kroki ku niemu.

-Chcę więc powiedzieć: Będzie mi żal mojego domu, moich przybranych rodziców, ciebie i przyjaciół. Krajobrazu, Tuniry, nowej kolejki, kawy o poranku, dziewczyny, której jeszcze w życiu nie spotkałem i już nie spotkam. Gdy o tym wszystkim pomyślę, ogarnia mnie żal, gdy spojrzę na ten pojazd, otacza lęk, a jednak ufam ci i chcę tego. Nie jesteś szaleńcem, moje postanowienia nie zmieniły się. Nie jesteś szaleńcem, a może jesteśmy nimi obaj...

Profesor odprowadzał go do samochodu.

-Wezmę twój wóz, Lucienne, wrócę nim rano. Może już nim nie odjadę.

-Chłopcze, jeszcze raz powtarzam, wysyłam cię na spotkanie ze śmiercią.

-Wiem, Lucienne.

-I musisz jeszcze wiedzieć, że wyruszam z tobą.

-Razem?

-Tak. Bez ciebie na Ziemi nie pozostanę. W pojeździe są dwie kabiny. Nie polecisz sam...

-Jesteś bardzo stary, Lucienne..

-Zakończę życie tam, gdzie zawsze chciałem.

-Jutro.

-Jutro, chłopcze.

Samochód ruszył. Profesor długo stał na drodze.

Światła pogaszone. A jednak senność w willi była pozorna. Podjeżdżając samochodem pod garaż chłopiec zobaczył w ciemnym kuchennym oknie sylwetkę ojca. Twist wyszedł przed dom. Nim otworzył garaż, był przy nim.

-Gdzie byłeś, chłopcze?

-Jeździłem .samochodem Lucienna po mieście. Dlaczego nie śpisz, tato?

-Mama zasnęła - relacjonował - a ja wałęsam się z kąta w kąt. Pojedziemy do miasta ?

Twist, nie czekając na odpowiedź, wsiadł do samochodu. Chłopiec na niego spojrział.

-Pojedziemy poszaleć - wytłumaczył. - Mężczyźni w moim wieku miewają takie zachcianki. Odwiedzimy jeden lokal, może dwa.

-Lokal? - uśmiechnął się chłopiec. - Pijesz, tato?

-Od czasu do czasu. Pomaga i uspokaja.

-Coś cię gnębi, tato? Myślałem, że jesteś szczęśliwy.

-Nie mów do mnie „tato” przy ludziach, gdy ich spotkamy w mieście. Ostatecznie nie wyglądam na

twojego ojca. A szczęśliwy jestem, więc co mi szkodzi się trochę posmucić? Pojedziemy się posmucić przy kieliszku, i muzyce, chłopcze.

-Ma się rozumieć, tato.

Rzeka wciskała się wąskim lejem pomiędzy dwa wysokie brzegi. Na prawym brzegu, wysunięta łukiem nad wodę, nocna knajpka błyszczała tysiącami różnokolorowych świateł. Dźwięki muzyki i śmiech dochodzący przez nie domknięte okna topiły się w rzece spadały na dno z cichym echem, jak rozpryskujące się nitkami na niebie sztuczne ognie. Knajpka, okazała się być przystanią artystów i lunatyków. Stoliki ustawione w półokręgi, na podwyższemu, zajmowały połowę sali. Drugie tyle wypełniała liczna orkiestra. Kelner o nazbyt wesołych oczach przysiągł na swoich ojców, że w jednej minucie obsłuży. Usiedli.

-Jak ci się podoba? - zagadnął ojciec.- Odkryłem to miejsce z Marem, niedawno. |

Ludzie poubierani niedbale i kolorowo, korowody taneczne pro umilające maskaradowe

bale. Wino rozlewało się na stolikach, skapywało na podłogę, parowało pod pułap świątyni grzechu. Butelki krażyły, śmiechy i śmieszki wznosiły się nad głowami, siedzących. Na czerwono ubrana dziewczyna, mogąca dzięki niewinnie zaplecionym warkoczom uchodzić za westalkę domowego ogniska, przeciskała się, obok nich, trzymając w rękach ogromny obraz. Obrazem zawadziła niefortunnie o stół, przy którym siedzieli. Obrus i wino, które zdążyło zostać podane, przestały nadawać się do użytku.

-Przepraszam, panowie...

-Sama to pani wymalowała?

-Samiuteńka, samotna jak palec.

Przysiadła się do nich. Obraz jakimś cudem zmieścił się w przejściu.

-Co on przedstawia?

-Kotka w uścisku tygrysa, tempera - Warkocze zakreśliły się wokoło jej szyi. - Postawię wam coś. Chodźcie ze mną.

Westalka poprowadziła ich do zakrzywionego w kozi róg stołu, oddzielonego od sali ciężką kotarą. Pobrudzeni białkiem, żółtkiem, żywicą i olejami malarze przypominali jaskiniowych Trollów. Byli olbrzymami i karłami. Śpiewali nierówno, fałszywie, jednocześnie podnosili kielichy, zapadali w sen i budzili się w tym samym czasie.

-Karia przyprowdziła dwa glosy - oznajmił kierownik chóru malarzy.

Twista przyciągnęła do siebie skośnooka kobieta. Chłopiec został obok Karii.

-Śpiewajmy.

Ojciec spojrział na syna, syn spojrział na ojca. Dym świec zasłonił widoczność, kelnerzy krążyli, zapach wina upajał. Karia dyskutowała szeptem o witrażach w kościele Gwiazdy Siedmioramiennej. Łysawy malarz o zaokrąglonym nosie wróżył chłopcu z ręki.

-Co widzisz? - dopytywała się Karia.

-On nie dla ciebie. Ty nie dla niego - Wróżył.

-Przyjrzyj się uważniej, Wirmie.

-Nie, nie. On myśli o czymś innym.

-O czym myślisz, chłopcze? - spytała go, posyłając uśmiech przyjacielski.

-Nawet wiesz, jak mam na imię - zadumał się chłopiec.

-Ja wiem dużo. Dlaczego nie jesteś dla mnie? Odjeżdżasz gdzieś? - jej głowa wsparta na rękach przechyliła się zalotnie w bok. - Jestem prądem

morskim o gwałtownych wirach. Karia to nazwa tego strumienia z morza skał. Nie boisz się mnie?

-Nie - odpowiedział chłopiec.

-Zdaje mi się, że jesteś tylko modelem ludzkiego ciała, manekinem. Smutny bywasz często?

-Nie.

Wstrzymywała go dziwna, wewnętrzna siła, a bardzo chciał położyć na jej kolanach głowę. Tylko patrzył w oczy.

-Spoglądasz, jakbyś chciał mi powiedzieć coś ważnego. O czym chcesz mi powiedzieć? Twist zaintonował piosenkę „O starych żabach”. Do chóru przyłączyli się kelnerzy, śpiew

wypełniał salę, porywał milczących. Skośnooka kobieta wtórowała Twistowi, piła z trzech kieliszków” naraz.

-Budzisz we mnie niepokój - przekrzykiwała śpiewających Karia. - I pragnienie malowania zupełnie innych obrazów.

-Co? - krzyczał chłopiec.

-Nigdy nie będziesz mój! Jesteś jak z innego świata! Niby tu, ze mną, a nieobecny...

-Powiesz mi, jak przestaną śpiewać, nic nie słyszę!

-Co?

-Powiesz później, gdy skończą. Ja i ty nie słyszymy siebie!

-Nie słyszę, co do mnie mówisz! Kocham cię! Słyszałeś?

-Co? Nic nie słyszę! Wrzask jest taki, że własnych myśli nie słyszę! Patrzę na ciebie i to mi wystarcza!

-Patrzysz na mnie i nie mogę zrozumiećA co mówisz!

-Co?

-Nic, chłopcze.

-Nic, dziewczyno.

Wstała i zniknęła w dymie świec. Szukał jej oczami, rękami wymachiwał jak ślepiec. Wybiegł za dziewczyną na środek sali. Tam jej nie było. Zatrzymywał śpiewających kelnerów. Nie słyszeli pytań. Przeszukał każdy kąt. Wybiegł przed knajpkę. Pijani rozchodzili się do domów<sup>7</sup>. Okruchy piosenek dolatywały z ławek nad rzeką. Poszedł tam szybko.

-Karia... Karia.

Nie było odpowiedzi, świt budził się nad miastem, rzeka zmieniała swą powłokę jak salamandra. Na ławki padały pierwsze promienie słońca. Dwa samochody na przeciwległym brzegu rozwoziły mleko. Nocne latarnie gasły zbyt późno.

Twist zbliżył się do siedzącego na ławce syna.

-Tu jesteś? Szukałem cię.

-Siedziałem sobie tutaj.

-Czas wracać do domu.

Dla chłopca ten świt oznaczał inny czas. Nie spieszył się z opuszczeniem ławki.

-No, chodźmy - śmiał się Twist. - Elia się obudzi i dostaniemy za swoje. Lepiej być w domu przed śniadaniem.

-Jedź, tato. Samochód nie będzie mi potrzebny. Mam do przebycia krótką drogę.

-To wóz Lucienna.

-Jemu też nie będzie potrzebny. Jedź do domu. I wytłumacz- mamie, powiedz, że wstałem przed śniadaniem i poszedłem nad rzekę.

Ukrywał wzrok przed ojcem.

Wróć na obiad, chłopcze.

-Gdybym mógł tu wrócić...

-Jeszcze dziś wieczór - zatarł ręce Twist - Jeszcze dziś wieczór, chłopcze.



Patrząc na odchodzącego szybkim krokiem Bru Twista pomyślał, że bardzo kocha ludzi z willi. Tego człowieka szczególnie.

Autobus odjeżdżał o szóstej. Zatrzymywał się we wsi Lakame, dwa kilometry od młyna Lucienna. Pospieszył na przystanek. Stąd obserwował wysoki brzeg i wiszącą nad rzeką knajpkę. Na tarasie, na brzegu, na ławkach nie było żywej duszy.

Autobus zatrzymał się na przystanku. Chłopiec wolno wszedł do środka. Z okna pojazdu - brzeg rzeczny stał się niewidoczny.

Wieś Lakame liczyła czternaście chałup, wraz ze stodołami. Przykryte papą i smołą dachy czerniły się na tle zimowego pola. Drzewa rosnące we wsi znaczyły drogę do wzgórza. Za wzgórzem, które przecinała bagnista, szewka droga, stał młyn profesora.

Z wysiłkiem podchodził pod wzgórze, co kilka kroków odwracał się za siebie.

Na horyzoncie przed sobą ujrzał gromadę wieśniaków. Stali z łopatami i grabiami w rękach. Odezwał się niepokój. Przyspieszył kroku. Nie zatrzymał się przy wieśniakach, to co zobaczył ze wzgórza, kazało mu biec dalej.

Osmalone deski rozwalonego młyna leżały porozrzucane wokół spalonej, dymiącej jeszcze dziury w ziemi. Naliczył kilka małych dymiących kopców do złudzenia przypominających wulkany. Nie było śladu po młynie. Zniknął profesor i jego pojazd. Na bezchmurnym niebie nie zobaczył niczego.

Z pochyłości wzgórza biegł mężczyzna. Chłopiec rozpoznał go.

- Wie pan - mówił zadyszany. - Tyle ognia nikt we wsi nie widział. Tyle ognia! Ludzie jechali do sklepów wozami, a tu zza .wzgórza ogień. Pod samo niebo. I młyn się rozpekł. Grzmotnęło, huknęło i po młynie. I

dobrze. Ten młyn we wsi niepotrzebny. Nie miele, zepsuty od dawna. Co to za młyn, pytam pana, który nie miele. Teraz muszą postawić nowy. Wieś, która nie ma w czym maki...

Gadał jak najęty. Brodę wysuwał do przodu, wargi oblizywał językiem i nie przestawał mówić.

-Skończ! -krzyknął chłopiec.

-Dobra, dobra - cichł powoli. - Tyle ognia nikt we wsi nie widział.,,

-Kiedy to się stało? - zapytał chłopiec spokojniej. - Ktoś ze wsi może powiedzieć dokładnie?

-A rankiem - zapewnił mało rozgarnięty pracownik Lucienna. - Tyle ognia nikt we wsi nie widział...

-Widziałeś, pana Lucienna dzisiaj?

-E, nie. Zwolnił mnie wczoraj. Nie było nic do roboty, Tyle ognia nikt we wsi nie widział... - nie mógł przestać.

-Zwolnił wczoraj?

-Tak.

-I czemu tak biegleś do mnie?

-Bo pan znajomym modelatora. Tyle ognia nikt we wsi nie widział... A stary pan kazał oddać panu pismo.

-Jakie pismo? Kiedy ci je dał?

-Wczoraj, Jak mnie zwolnił, to jeszcze przyszedł do mnie, do chałupy. Dzieciaki się pobudziły. Tyle ognia nikt we wsi nie widział...

Wydobył list schowany pod łachmanami płaszcza. Chłopiec rozwinął papier:

„Za wcześnie, chłopcze, Nie gniewaj się. Tak lepiej”.

-I tylko tyle?

-Tylko tyle - odpowiedział miejscowy głupek.

Nadeszła grupa wieśniaków ze wzgórza. Obeszli strachliwie miejsce startu pojazdu. Nikt z nich nie

domyślał się, co wydarzyło się o świcie. Łopatami i grabiami rozgarniali ziemię, kobiety szukały czegoś między kamykami.

-A pan modelator pewnie przeniósł się do miasta?

-Do miasta - potwierdził chłopiec.

-A pewnie wieś znudziła mu się?

-Do reszty. Ziemia mu się znudziła.

-I pewnie dla takiego najlepsze miasto. Kto się gdzie urodził, tam powinien być... Tyle ognia...

-Oczywiście - odparł chłopiec.

Sam nie zauważył, jak schował list, odszedł stamtąd, minął coś krzyczących do niego wieśniaków, zostawił ślady w glinie, wsiadł do autobusu.

Świadomość, gdzie jest, co robi, odzyskał, gdy wjechali do miasta. Przyłożył głowę do zimnej szyby. Przechodniom zaglądał w twarze. Oglądał ulice Ollonu, jakby pierwszy raz w życiu je zobaczył. Tyle rzeczy przykuwało uwagę.

-Mam do przebycia krótką drogę - powtarzał słowa powiedziane ojcu - „Tak lepiej” - zdawał się dochodzić z dachu autobusu głos Lucienna - „Za wcześnie, chłopcze” - słyszał. - Mam do przebycia krótką drogę.

Gdy opuścił autobus i szedł wśród domów, zaplątany w przejścia, uliczki, place - śmiał się z radości. Przy kamiennej, oblodzonej fontannie przystanął i zapalił papierosa. Postanowił pójść do mieszkania profesora. Miał klucz.

Luneta skierowana była w niebo, Porządek na półkach. Kwiaty w doniczkach piły świeżą wodę. Usiadł we wspaniale rzeźbionym krześle profesora.

„ Tak lepiej”.

Mam do przebycia krótką drogę.

Nie gniewaj się. Tak lepiej.

Mieszkanie nie istniejącego już w tym świecie profesora Lucienna zamknął na klucz. Spacerował długo po mieście. Wstąpił do kilku kawiarni na rynku. Gdy mijał knajpkę Karii, serce uderzyło mu silniej. Dochodząc do wilii czuł wzruszenie w gardle. Sople lodu tajały, w wyżłobionych przez śnieg dziurach desek, na ganku wypływała woda.

Inspektor Mar, zajęty czyszczeniem samochodu, odwrócił się na odgłos kroków.

-Dzień dobry, chłopcze.

-Dzień dobry, Mar. Widzę, że masz robotę?

-Samochody są coraz gorsze - westchnął, - A zimy sroższe. Jeśli tak dalej pójdzie, jeździć będziemy bryczkami. A ty gdzie byłeś? Daleko?

-Nie, Miałem do przebycia krótką drogę.

-W taką paskudną pogodę nie warto zapuszczać się dalej.

Chłopiec przyznał mu w duchu rację. Uśmiechnął się przy tym, ale inspektor nie mógł tego uśmiechu zrozumieć. Wszedł na schodki. Otworzył drzwi. Stał na środku pokoju i zawołał:

-Bru

Z niespotykaną wcześniej radością wsłuchiwał się w kroki ojca. Bru Twist nadchodził.

\* \* \*

Profesor Lucienne spotkał nieruchomy wrak „Kruka”. O własnych siłach przeszedł na pokład znalezionej pojazdu. Musiał tam zostać.

Na Ziemię nie zdążyłby wrócić. A przecież tyle mógł teraz opowiedzieć. W korytarzu natrafił na metalowe zwłoki Kama. W bibliotece pokładowej dwa łóżka i zapasy żywności. W kabinie sterowniczej włączył ekran.

Szarobrazowe szczyty gór, jasne plamy betonowych schronów, wysuszone drzewa bez liści. Domy puste, ulice wymarłe. Lasy i pola bez odrobiny trawy. Przez głośniki sączyła się cisza.

-Jakaś planeta, Lucienne - powiedział do siebie starzec.

Zapalił światła pozycyjne, włączył maszyny. Odczytał odległość od dziwnej, nie zamieszkaney planety. Przestraszył się tej liczby.

-Daleka planeta, Lucienne.

Nacisnął przycisk na tablicy. Mapa Układu Słonecznego pojawiła się przed nim. Długo siedział wpatrzony w oznakowanie planet.

Znał je, nie rozumiał tylko ich nazw.

- Ziemia. Lucienne.

„Kruk” płynął przed siebie. Profesor zamieszkał w bibliotece. Przesiadывał od rana do nocy przed ekranem. Zmieniał filmy, wysłuchiwał niezrozumiałych przemówień jakichś obcych ludzi.

Jego życie kończyło się. Ten statek miał zostać cmentarzem astronoma. Lecz do końca swych dni próbował dowiedzieć się choćby cząstki prawdy o planecie, do której zmierzał. Chciał, by droga do odnalezionej Ziemi była w chwili jego śmierci krótsza, jeszcze krótsza.

Przeżył dwukrotnie więcej lat. Samotnia, na jaką się skazał, nie odjęła sił. Pisał w bibliotece pamiętnik, prowadził raport z podróży. Po kilka razy w ciągu dnia włączał ekrany w nadziei nawiązania kontaktu z planetą, do której zdążał. Bezskutecznie. Była cicha i martwa jak skała.

Ostatnie myśli skierował ku chłopcu, Elii. Wspominał Hala, Twista, inspektora Mara, olloński most przerzucony przez rzekę. Swoje mieszkanie,

strych w willi na przedmieściu. Jedyne czego żałował, to braku bliskich w ostatnich chwilach.

Dnia sto osiemdziesiątego trzeciego, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku według ollońskiego czasu, profesor zapisał ostatnią stronę w swoim dzienniku. Zostawił go na widocznym miejscu w kabinie sterowniczej. Następnie zgasił maszyny, udał się do biblioteki i zasnął na łóżku.

Nie przebudził się więcej. Odnalazł wreszcie całą prawdę, połączył się z Robertem Barem i Harriet Anderson.

„Kruk”, pozostawiony w przestrzeni, nie został odnaleziony nigdy.

Kolejne trzy wyprawy kosmiczne z Ollonu, które nastąpiły w pierwszym wieku trzeciego tysiąclecia, nie dotarły daleko. Ollońskie sondy międzyplanetarne, nadające zwrotnie na Ziemię zdjęcia powierzchni planet i sondy miniaturowe, nie natrafiły na ślad pojazdu.

W roku dwa tysiące siedemdziesiątym sprowadzono na Ziemię statek Lucienna zbudowany w młynie wsi Lakame. Na wystawie w Haukastil budził powszechne zaciekawienie. Nikt już nie wiedział, że był kopią promu „Kruka” i nikt nie znał już historii Lucienna.

Wzmianki o ollońskim mordercy można było znaleźć w rocznikach starych gazet i archiwach Rady Kryminalnej. Lecz nikt nie szukał.

Groby mieszkańców willi znajdowały się na cmentarzu za miastem. Obok siebie stały tabliczki z imionami: Elia, Bru, Mar. Karia, pusta bezimienna tabliczka chłopca. Grobów nikt nie odwiedzał, były zaniedbane, porośnięte chwastami. Gdyby leżący na tym biednym cmentarzu ludzie wiedzieli jaką to historię wykuła dla siebie ta druga Ziemia. Gdyby

przeczuwali, że spokojny piasek, w którym teraz spoczywali, zaleje wszechświat. Jak ocean który topi małą wysepkę pośród swoich wzburzonych fal Jak ogromny, wszechwładny stwór, kopiący niczym piłkę olloński świat, zmiatający z mapy gwiazd maleńką kulę ziemską...

Mieszkańcy willi zasnęli snem spokojnym i wiecznym, nie zginął i nie zasnął Robert Bar II.

Mieszkańcy willi nie dowiedzą się nigdy, że walczyli z siłą, która unicestwiona być nie może, nazwaną imieniem ollońskiego mordercy, kradnącą miano największego i najlepszego Boga tej pierwszej, starej Ziemi.

KONIEC